

EWA OSTROWSKA

Między nami niebotyczne góry...

Czytelnik • Warszawa 1974

Teraz mu powie. Zaraz, natychmiast.

Paweł siedzi w fotelu, przy niskim, prostokątnym stoliku, ustawionym w rogu pokoju. Skończył jeść kolację, czyta gazetę. Zawsze po kolacji przegląda prasę. Taki ma zwyczaj.

— Paweł — zaczyna Łucja. Stoi naprzeciwko, oddzielona jedynie wąskim blatem stolika. Widzi swoją rękę sięgającą po szklankę; Paweł lubi pić herbatę parzoną po turecku: fusy pływają w jodynowej zawieszynie, jodynowa plama na białej serwetce; żółte ziarenko pomidora w jasnozielonej osocze; czysta serweta, myśli Łucja. Skrawek różowawej szynki zwisa z brzegu talerza, kropla majonezu rozlewa się powoli na ostrzu noża — i już do prania, myśli Łucja; jej dłoń jeszcze nie sięgnęła szklanki: palce wpół zgięte drżą, przykurczone agresywnie, a jednocześnie bezsilne wobec wzmożonego odruchu niechęci, nawet obrzydzenia, starają się odwlec chwilę, w której będą musiały już nieodwołalnie dotknąć szklanki poznaczonej śliną Pawła, tłustymi śladami jego ust; kropla majonezu pęcznieje jak odwłok sytej gąsienicy, coraz bardziej brzemienna, zaraz spadnie, a dziś wieczorem położyłam czystą serwetę, myśli Łucja.

— I wczoraj też — mówi głośno Łucja, cofając gwałtownie dłoń od szklanki. Gazeta zaszeleściła, Paweł przewrócił stronicę. Ręka Łucji opada protestująco na stół; szklanka podskakuje na spodeczku, skrawek szynki spada z talerza, żółta kropla majonezu ścieka na serwetę.

— Wczoraj też! — krzyczy Łucja.

Paweł opuszcza gazetę na kolana, odśladania twarz. Wysokie czoło, bardzo niebieskie oczy, mały nos, obrzmiałe, wilgotne usta. Włosy starannie przedzielone białym rowkiem: przedziałek równy, nieskazitelny, jak gdyby wyrysowany linijką.

— Co się stało? — pyta Paweł, lekko unosi brwi.

Jak wytłumaczyć, jak powiedzieć, żeby zrozumiał, myśli Łucja, wpatrując się uporczywie w ten wyrysowany na głowie męża przedziałek; serweta poplamiona, wczoraj, dziś, jutro — zawsze; codziennie od lat — piorę, piorę. Powiedzieć: serweta poplamiona?

— Serweta poplamiona — mówi Łucja.

— No, to ją zmień, też problem — Paweł zastania się szczelniej gazetą, podnosi ją wyżej i tytuł, wydrukowany wzdłuż całej kolumny nahałnie dużą, jaskrawoczerwoną czcionką — NASZ SPECJALNY KORESPONDENT DONOSI Z PARYŻA — sięga poziomu wzroku Łucji, która mimo woli czyta: NASZ SPECJALNY WYŚŁANNIK DONOSI; Paweł poprawia się w fotelu, siada głębiej, zakłada nogę na nogę. Nogawka spodni zadziera się odsłaniając nie najczystsze kalesony, wpuszczone w zieloną skarpetkę boncie.

Nie będę nigdy więcej zmieniała serwety — chce odpowiedzieć Łucja, ale widok zszarzałego trykotu powoduje nagłą falę mdłości. Dlaczego on tak brudzi bieliznę, myśli Łucja, przełyka gęstniejącą w ustach ślinę. Widzi swoją rękę: zaciśnięta kurczowo w pięść, z pobielałymi od próżnego wysiłku palcami, leży bezwładnie na poplamionej serwecie, między półmiskiem z resztkami szynki a stoikiem majonezu. Martwa natura, myśli Łucja, próbując rozewrzeć palce. Nie słuchają jej, wczepione w serwetę. To jest moja ręka, to są moje palce, myśli Łucja, czuje kropelki potu na czole, bolesne drętwienie karku; Boże, zmiłuj się nade mną. Lęka się swojej dłoni, która się od niej oddzieliła i leży teraz, porzucona, między półmiskiem a stoikiem, jakby odcięta od przegubu, wyizolowana, zmartwiała, zaciśnięta nie wiadomo kiedy w pięść, nie wiadomo przeciwko komu; komu grożąca i po co?

— Telewizory staniały — odzywa się Paweł zza gazety, przerywając nabrzmiewające milczenie. — Czytałaś?

Na krótki moment opuszcza gazetę, wskazuje palcem jakiś nagłówek i nie podnosząc nawet oczu na tkwiącą za stołem wciąż w tej samej pozycji żonę, szybko przewraca stronę.

Telewizory staniały, myśli Łucja, a ja nie czytałam, mam trzydzieści lat i nie czytałam, ośmieliłam się nie przeczytać, że staniały, a serweta do prania, znowu, i ta, i poprzednia, i następna, trzeba namoczyć pranie na noc, trzeba sprzątnąć ze stołu, dotknąć szklanki, ruszyć ręką, coś zrobić ze sobą, wreszcie coś zrobić. Co zrobić ze sobą?

— Co? — pyta zbyt głośno, może nawet krzyczy, przybita do stołu swoją ręką jak gwoździem.

— Ogłuchłaś? Mówiłem, że telewizory staniały, piszą tutaj — niecierpliwi się zza gazety Paweł.

— Ach, staniały — przytakuje Łucja — świetnie, bardzo dobrze, że staniały, najwyższy czas, aby staniały, właśnie, dawno powinny były stanąć — mówi szybko, prawie szczęśliwa, że zrozumiała, o czym mówił do niej Paweł. — Staniały, tak, rozumiem; teraz, gdy staniały, można kupować — woła, przestraszona, bo widzi, że Paweł opuszcza gazetę. — Dobrze, cieszę się — zapewnia gorączkowo, walcząc ze swoją zbuntowaną dłonią i myślą: co zrobić ze sobą? Telewizory staniały! Poruszyła już

palcami i teraz może udawać, że zgarnia okruszyny chleba ze stołu, zawsze trzeba udawać, nie wolno, aby Paweł cokolwiek spostrzegł, wtedy powie: Łucjo, co się z tobą dzieje? — uniesione w zdziwieniu brwi, dezaprobata w układzie zmarszczek na czole, chłodny wyrzut w spojrzeniu, potem lekki uśmieszek politowania, a może nawet pogardliwego rozbawienia na obrzmiałych, niemal kobiecych wargach: cóż za komedie? i zastoni się gazetą, niewyżyta aktorko, doprawdy, mnie nie nabierzesz, nie lubię — zatoczy łuk dłonią i zacznie oglądać dziennik telewizyjny, twoje zachowanie, moja droga, doda zaraz w następnym zdaniu, a później, nie zmieniając intonacji głosu, dokończy: wychodzę, gdzie mój szalik? wychodzę, podaj mi czystą chusteczkę do nosa, a potem jeszcze, w półobrocie, poprzez ramię, dorzuci wciąż tym samym tonem: co się z tobą dzieje, moja kochana? Właśnie, co? myśli Łucja. Nocami rośnie jej głowa, czuje, jak się rozdyma, przewala przez poduszkę, wypełnia pokój, ciężka bryła stupudowa, i leży przygwożdżona tym ciężarem, bez możliwości walki, bez próby obrony, pograżona w lepkiem strachu — usta, usta! gdzie są usta? Oczy, oczy! gdzie są oczy? — dusząc krzyk, którego nie wolno z siebie wyrzucić, nawet krzykiem sobie pomóc, gdyż Paweł może się obudzić, przyjść, stanąć w drzwiach, powiedzieć: jest noc, pośrodku nocy wyprawiasz komedie? — i wciśnięta w kąt muru, zdemaskowana przez nagle rozpryskujące się światło, już nie szalona, tylko żałosna, nie wie znowu, co ma ze sobą zrobić, i przez chwilę krótszą niż mgnienie oka zapragnie znaleźć się przy mężu, który stoi w drzwiach pokoju, prosić go o schronienie i o litość, lecz on, przyglądając włosy jedną ręką, a drugą drapiąc się po piersiach, mówi: pośrodku nocy, nawet w nocy spokoju? Przemykam oczy, myśli Łucja, jak teraz, w tej chwili, inaczej nie potrafię uciekać, ani od niego, ani od siebie, od swego strachu przed dniem i przed nocą, od wilgotnej ciemności, w której moje ciało olbrzymieje, jak je ujarzmić, jak unieszkodliwić rozpełzające się w nieskończoność ręce, przewyciężyć ich ciężar, co uczynić ze stopami z żelaza, moje myśli i moje ciało są przeciwko mnie, teraz również: stoję przed tym stołem, z dłonią jakby przyssaną do blatu, nie mogę sobie z nią poradzić, a przecież muszę zachować pozory — sprzątnąć po kolacji, dotknąć szklanki, w której Paweł pił herbatę.

— Słuchaj, co ty wyprawiasz? — pyta Paweł, patrząc podejrzliwie.

— Zbieram pokruszony chleb — odpowiada Łucja.

— Wiesz — mówi Paweł, gwałtownie odrzucając gazetę na kolana — doprawdy, czy nie prościej wytrzeć serwetę? I przestań wreszcie powtarzać jak katarynka swoje idiotyczne: staniały, jak dobrze, że staniały! Zapomniałaś, że dopiero przed pół rokiem kupiliśmy nowy telewizor? I za gotówkę, nie na raty! Gdyby na raty, umorzyliby obecnie nam część spłat, a tak straciliśmy około tysiąca złotych. Nie trzeba było się śpieszyć, ale to ty ponaglałaś! Bo Teresa kupiła nowy aparat, suwany, na nóżkach, więc ty nie gorsza, też musisz mieć taki. Przez ciebie pośpieszyłem się, gdybyśmy kupili właśnie teraz, zaoszczędzilibyśmy kwotę, która przecież nie należy do małych. Jedna piąta mojej miesięcznej pensji.

Straciliśmy, kupilibyśmy, moglibyśmy, myśli Łucja, kiwając głową na znak postuszeństwa; ostrożnie rozwiera pięść. Palce są spuchnięte, skóra popękana, obrączka wżarta w palec; jeśli złamię rękę, będą musieli rozpiłowywać obrączkę. A kiedyś była luźna, obwiązywałam ją nitką, aby nie spadła, myśli Łucja. Złamać rękę, palec, niech rozpiłują.

— A ty tymczasem bzdury pleciesz — kontynuuje Paweł — że dobrze. Jesteś, widać, aż tak bogata,

że stać cię na wyrzucanie tysiąca złotych za okno.

To Paweł: wychylony poza fotel, brwi zmarszczone, oczy lekko wypukłe jak u krótkowidza, takie jasne, myśli Łucja, czasami aż białe, dlaczego ja się ich tak bardzo obawiam?

— Nie pracujesz, cóż to jest dla ciebie tysiąc złotych — unosi się Paweł.

— Właśnie — mówi Łucja, przywołując uśmiech na stwardniałe usta. — Tak. Masz rację. Oczywiście.

— Co: właśnie? Co: oczywiście? Czy ty chociaż jesteś łaskawa słuchać, co mówię? Ach, do diabła, lepiej rzucać grochem o ścianę, niż rozmawiać z tobą, przynajmniej ściana milczy i nie udziela kretyńskich odpowiedzi! — urywa, mruży oczy. — Co stoisz, jakbyś wrosła w ziemię? rusz się. Sprzątnij po kolacji. Długo mam siedzieć w tym bajzlu?

— Nie odzywaj się do mnie takim tonem, proszę — Łucja podnosi głowę, prostuje plecy. Nie będę się go bała, myśli.

— Na inny nie zasługujesz — stwierdza Paweł.

— Naprawdę? — Łucja stara się zdobyć na ironię.

— Ja zawsze mówię tylko prawdę — oświadcza Paweł.

— Naprawdę? — powtarza Łucja, uśmiecha się. — No, no, to interesujące. Prawdę, powiadasz? Czy ty kiedykolwiek mówisz prawdę?

— Przestań się mnie czepiać! — wybucha Paweł. — Czego chcesz? Awantury, bo dawno nie było? Wrzasków? Dopiero dzieci położyłaś spać, jeszcze nie zasnęły, pozwól im przynajmniej zasnąć spokojnie! — wyjmuje pudełko z papierosami. — Czego chcę? myśli Łucja, nie wiem, od dawna nie wiem, niczego nie mogę chcieć, oślepnąć, żeby ciebie więcej nie oglądać, ogłuchnąć, żeby nie słyszeć, odejść na sam koniec świata, nie zmieniać codziennie serwety; Paweł błyska ogniem, przypala papierosa, jakie on ma opanowane ruchy, dziwi się Łucja, dokładne, on wie, czego chce.

— Słuchaj, zabierz ty się za sprzątanie — mówi Paweł, wydmuchując powoli dym. — Będzie to dla nas obojga z pożytkiem. Ja skończę czytać gazetę, a ty wykonasz funkcjonalną pracę.

— A ja nie chcę wykonywać funkcjonalnej pracy — mówi wyzywająco Łucja. — Nie mam najmniejszej ochoty. I co?

— I nic — Paweł przekłada gazetę, gasi papierosa. — Nie uda ci się, moja kochana. Nie sprowokujesz mnie do kłótni. Proszę, rób, co ci się podoba. Nie chcesz sprzątać, nie sprzątaj. Niech muchy zlatują się do jedzenia. Niech tu sobie wszystko spleśnieje.

— W październiku nie ma much — odpowiada Łucja, wyciąga rękę po szklankę i zaciska ją mocno: zmiażdżyć, rozgnieść, to jest szklanka, w której Paweł pił herbatę. — Słyszysz? — podnosi głos. — Nie ma much!

Paweł wzrusza ramionami, zasłania twarz gazetą. Siada głębiej, teraz druga nogawka zadziera się, i siedzi tak, pokazując obciągnięte brudnym trykotem nogi. Dlaczego on tak brudzi bieliznę, myśli znowu Łucja; odstawia szklankę na stolik, spocona dłoń pozostawiła ślad na szkle: okrągły, wilgotny — Łucja przygląda się, jak szybko ten ślad po jej dłoni wysycha, blednie — i już go nie ma, a przecież nienawidziła przed chwilą tej szklanki, jakby to nie była najzwyczajniejsza szklanka z grubego szkła, tania, w której Paweł pił jodynowatą herbatę, lecz coś znacznie więcej, niezwykle istotnego, samo sedno sprawy, jej jądro, więc pragnęła je zniszczyć, rozgnieść: poczuć ból; tylko ból mógłby mnie uratować, myśli Łucja, ile jeszcze czasu wytrzymam z tym tchórzliwym dygotem w krtani, odrazą do wytluszczonej szklanki, brudnych kalesonów, nieskazitelnego przedziałka? Nieskazitelny przedziałek jest oszustwem, oszustwem jest gładko wygolona twarz Pawła, woda kolońska „Przemysławka”, którą naciera się co rano pod pachami zamiast mycia, biała koszula non iron, wyglansowane do połysku buty wyjściowe, spodnie z kantem do pracy, cała zewnętrzna staranność, gładkość słów i uśmiechów. A ja pomagam mu w budowaniu tych kłamliwych fasad, pozłoconych na wierzchu, frontalnie wspaniałych, myśli Łucja, raz na tydzień prasując spodnie, czyszcząc cierpliwie plamy od sosów, herbat; podając codziennie o godzinie siódmej piętnaście, czasem dwadzieścia świeżą koszulę, czystą chusteczkę do nosa, skarpetki i krawat, zmieniając nieomal do każdego posiłku serwetę na stole, pucując ten dom, aby lśnił jak jego buty wyjściowe, nigdzie plamki, nigdzie pyłku, wysprzątane, wylizane, wyczyszczone, nawet próg wyszorowany, nawet pod słomianką zapastowane, wizytówka państwa Gąsiorowskich, mosiężna, wyglansowana lśni jak złota, cóż za czystość, cóż za dom, cóż za wspaniała żona-gospodyni, wszystko wspaniałe, cudowne, błyszczące; nieskazitelny przedziałek, wymanicurowane paznokcie, czysta koszula non iron na zewnątrz, a pod nią aż szary podkoszulek, bo raz na tydzień to aż za często zmieniać bieliznę, cóż to, mydło do prania nie kosztuje? czy ty nie za wiele zużywasz gazu, Łucjo, nikt nie płaci takich astronomicznych rachunków za gaz jak my, bojler się popsuł, bardzo dobrze, przynajmniej będziesz mniej zużywała gazu, dla kogo znowu ta kąpiel? przecież dopiero kilka dni temu kąpałaś dzieci, co za dużo to nie zdrowo, nie lubię przesady, rano można się umyć w zimnej wodzie, zimna woda zdrowia doda, myśli Łucja, trzeba było zmiażdżyć szklankę, Jezus, zimna woda zdrowia doda, oszczędnością i pracą ludzie się bogacą, ziarno do ziarnka i zbierze się miarka, nie od razu Kraków zbudowano, opamiętaj się, Łucjo, na litość boską, bo przecież musisz koniecznie sprzątnąć ze stołu, namoczyć serwetę, inaczej zostaną plamy, skończyć zaległe prasowanie, uezbiała się cały stos, chociaż zrobić małą przepierkę, nastawić zupę na jutro, bo jutro musisz podwiórkować parkiet w hallu i umyć okno w kuchni, i dziesiątki innych rzeczy koniecznie załatwić, niecierpiących zwłoki, bo chociaż: co się odwlecze, to nie uciecze, ale czas to pieniądz, jak poucza mnie niekonsekwentnie Paweł, toteż jeszcze dziś trzeba ugotować zupę, aby jutro nie gonić z obiadem i mieć czas na umycie okna, wywiórkanie podłogi, na wszystko, co koniecznie należy zrobić, jak codziennie, jak zawsze; proszę, koszula, proszę, chusteczka, proszę, krawat, śniadanie na stole, bułeczki świeże, kawa osłodzona, dmuchaj, jeśli gorąca, nic nie poradzę, że gorąca, ja też się śpieszę, proszę, nie poganiaj mnie i nie krzycz, skąd mogłam wiedzieć, że chcesz dziś chleba, a nie bułeczki jak zwykle, nie jestem duchem świętym, słuchaj, weź sobie sam ser z lodówki, dziecko płacze, i tak zawsze, i nigdy nie będzie inaczej, śpieszyć się, aby zdążyć, od rana do wieczora, dzień po dniu.

— A wiesz, chyba ci jeszcze nie mówiłem, telewizory poważnie staniały — odzywa się Paweł zza gazety, jakby nie pamiętał, że mówił o tym przed dziesięcioma minutami, a może nie pamięta? myśli Łucja. — Pośpieszyliśmy się z kupnem, gdybyśmy poczekali, zaoszczędzilibyśmy około tysiąca złotych.

Powraca znów do lektury. Czy czyta drugi raz to samo o telewizorach? zastanawia się Łucja. Ustawia na tacy naczynia; pestka pomidora zawieszona w żółtozielonej osoco ześlizguje się z półmiska na rękę Łucji.

— Mógłbyś choć raz w życiu sprzątnąć po sobie! — krzyczy Łucja, wyciera rękę o serwetę. — Choć raz!

Paweł odkłada gazetę. Jest zaskoczony wybuchem Łucji, zaskoczenie maluje się na jego twarzy. Marszczy czoło.

— Z tobą i święty by nie wytrzymał — mówi. — A ja nie jestem świętym, tylko zwykłym człowiekiem. Udało ci się, wyprowadziłaś mnie z równowagi.

— Choć raz sprzątnąć po sobie!

— Od sprzątnania w tym domu jesteś ty — mówi Paweł, wysuwa dolną wargę na znak protestu. — Każdy na swoim miejscu.

— O, Boże! — krzyczy Łucja. — Schowaj! schowaj tę swoją dolną wargę, nie znoszę, gdy ją w ten sposób wysuwasz! Mam dość jej i ciebie! Mam dość wszystkiego! — Po co tak krzyczę, myśli Łucja słysząc swój własny krzyk, który świdruje gdzieś pod czołem, rozsadza oczy; po co, bez sensu. Nie krzyżeć, nie mówić: milczeć i wyjść stąd. Szybko, koniecznie wyjść, postanawia Łucja, lecz nie rusza się z miejsca i wie, że dzisiejszy wieczór pomiędzy nią a mężem potoczy się według dobrze im obojgu znanego schematu. Zaczniemy odgrywać przed sobą nasze role, doprowadzone już do perfekcji, myśli

Łucja, z niezaprzeczalną logiką zaczniemy się nawzajem obrażać — zadrećzać i oskarżać. Ja jego, on mnie. Odmówię mu wszelkich racji, on wydrwi moje. Dawno zatraciliśmy równowagę pomiędzy dobrem a złem, miłością a nienawiścią, pogardą a szacunkiem, radością a cierpieniem. Czy zostanie nam cokolwiek odpuszczone, jeśli niczego nie jesteśmy w stanie sobie odpuścić? Czy zostanie nam cokolwiek zapomniane, jeśli

o niczym nie chcemy zapominać? I wszystko, co powiem, obróci się przeciwko mnie — i jemu.

i wszystko, cokolwiek on nie zrobi — każdy ruch, gest, a nawet myśl, której nie znam — użyję przeciwko niemu. Dorabiam mu intencje do jego czynów, choć intencji tych nie znam, ale chcę, aby były jak najpodlejsze — w ten tylko sposób znajdując usprawiedliwienie dla siebie, tak się oczyszczając ze swoich własnych win i grzechów; pragnę być krzywdzona, by zyskać sobie prawo do cierpienia. Siedzi teraz przede mną — milczy; schował znowu twarz za parawan gazety. Chowa się tak codziennie, dzień po dniu — czy to obojętność? Czy żałosna próba ucieczki ode mnie? Powiem mu więc: wybac, myśli Łucja. Gdybym mogła poznać jego prawdziwe myśli, może wtedy potrafiłabym zmniejszyć tę odległość, jaka narosła pomiędzy nami w ciągu długich, żmudnych lat naszego wspólnego życia. Błagam cię, Paweł, odezwij się. Powiedz coś, byle co, wszystko jedno co, nie udawaj, że cały czas czytasz gazetę; może i ty rozmyślasz właśnie teraz z żalem o tym, że wygodnie jest dorzucać swoje winy do win cudzych. Gdybyśmy potrafili podzielić się choć raz naszą winą — sprawiedliwie?

— Nie mogę tak żyć — mówi Łucja ze łzami. — Paweł. Odsłoń się. Proszę.

— Czy ty dasz mi wreszcie spokój? — woła Paweł.

— Proszę — powtarza Łucja. Nie istnieję w jego milczeniu, on naprawdę czyta gazetę, nie udaje?

— Proszę — ponawia, bo Paweł milczy uparcie. Podczas kolacji odezwał się do mnie dwa razy: przysuń sól, czy słodziłaś herbatę? myśli Łucja. I wyglądał jak człowiek, który zajęty niezwykle ważnymi sprawami właśnie o nich rozstrzyga, decyduje: raz marszczy brwi, raz czoło; to podnosi widelec z szynką do ust i zapomina

o tym, to znowu porusza wargami jakby z kimś rozmawiał; ale to nie byłam ja. Herbata słodzona? — tyle do mnie, i czy na pewno do mnie? W ciągu dnia nie mamy czasu na rozmowy ze sobą. Jedyna chwila wytchnienia, na jaką mogę sobie pozwolić, to te piętnaście minut poświęcone na kolację, które później zresztą odpracowuję. Kiedyś nie jadaliśmy razem nawet kolacji. Dzieci nakarmić, dzieci wykąpać, położyć spać, uprać, uszyć, wyprasować; jedno ledwo chodzi, drugie w pieluchach. Teraz układam je do snu wcześniej; nie chcę już więcej narazić się na zarzut, jaki mi zrobił Paweł: czy po to mam dom, żonę, rodzinę, by jadać jak trędowaty w kącie? Nakrywam do stołu, siadam naprzeciwko swego męża, dlaczego więc milczy? Szukam gorączkowo tematów do rozmowy lub pretekstu: od czego zacząć? Przysuń sól, osłodziłaś herbatę? A jeśli któreś znas wreszcie odezwie się do siebie, re-zirfMD^Cira^e zawsze jest odwrotny do zamierzonego, jak rlgVjorszy — kłótnia wybucha, toczy

się lawina słów, myśli Łucja. Dziś, gdy spostrzegła, że Paweł skończył jeść, odłożył nóż, widelec i sięga po gazetę, ogarnęła ją taka wściekłość i taka rozpacz, że postanowiła: zaraz mu powiem, natychmiast — nienawidzę. I wstała od stolika tak gwałtownie, że talerze zadźwięczały. Nawet nie wyjrzał zza gazety, myśli Łucja. Teraz również: milczy. Cały czas — milczy. Przysuń sól, słodziłaś herbatę? oto nasze rozmowy. Przysuń sól: wyznaczył mi moje miejsce w swoim domu — jestem do posług i do sprzątanía.

— Do sprzątanía wynajmij sobie służącą! — krzyczy. — Bo ja nią nie jestem!

Paweł siedzi nieporuszony.

— O, Boże — krzyczy Łucja — kiedyś stanie się coś złego. Nie panuję nad sobą!

— To widzę — mówi Paweł, wychyla twarz — nie od dzisiaj. Ja również przestaję panować, chociaż staram się udawać, że twoje obelgi są zachwycającymi komplementami. Żebyś wiedziała, jak bardzo mam dosyć: ciebie, twoich urojeń, hysterii, pretensji, wrzasków, jęków, szlochów. Ale dzieci muszą mieć ojca i matkę. Dzieci — w naszym przypadku — muszą mieć zwłaszcza ojca.

I już, zasłonięty gazetą, dodaje: — A co do kwestii: kim jesteś? Cóż, mnie nie płacą za sprzątanía. Każdy robi to, na co go stać. I otrzymuje tyle, na ile zasłużył.

Siedzi w fotelu, zasłonięty, zakryty stronami wyfłuszczonej gazety. Zawsze wszystko dookoła siebie wyświni, myśli Łucja, nawet gazetę. Koszule poplamione, marynarki, serwety.

Paweł podnosi jeszcze wyżej gazetę. Ponad nią sterczy jedynie sam czubek głowy z nieskazitelnym przedziałkiem, myśli Łucja. Dam mu w twarz, postanawia Łucja, i zburzę wspaniałość jego przedziałka; uderzę z całej siły — zaraz, natychmiast; serce zaczyna tłuc w piersiach, zbyt głośno: zupełnie szalone, myśli Łucja, uderzę, natychmiast — i przetyka ślinę, czuje krople potu na czole, tchórzliwą słabość kolan, lecz rozpiera ją radość: uderzę! Paweł szeleści gazetą; i powiem mu wszystko. Po co wszystko, powiem: nienawidzę. Serce coraz głośniejsze, spokój, powiem — masz, na tyle sobie zasłużyłeś, na nic więcej, niech odsłoni tylko twarz, niech ją wychyli zza gazety, jak długo można czytać gazetę, myśli Łucja, czytał przy obiedzie i po obiedzie, czytał przy kolacji, czyta teraz, jedną i tę samą, sylabizuje o tych telewizorach, że staniały, uczy się na pamięć o tym, co donosi nasz specjalny wysłannik z Paryża? podejdę, stanę przy nim, powiem to wreszcie, niech on opuści gazetę, Boże, i z całej siły, no, opuść, chcę mu to powiedzieć, muszę przecież kiedyś powiedzieć — Łucja siada wolno, ostrożnie, opiera się o stół, moje serce, myśli, dlaczego jest przeciw mnie? urządza demonstracje; po cóż te demonstracje, powiedział Paweł kilka tygodni temu, gdy upadła w łazience i niósł ją na rękach jak małe dziecko do pokoju, miała nad sobą jego twarz pochyloną, blisko, nawet nie obojętną — wrogą, wargi docisnięte, jedna na drugiej; potrafię na szczęście odróżnić histerię od ataku serca, dodał jeszcze podczas czytania gazety, a może w trakcie jedzenia, przeżuwania plastra szynki posmarowanego majonezem, jeżeli jesteś chora, idź do lekarza, bierz krople walerianowe, ale czy ty naprawdę sądzisz, że mnie na to nabierzesz? demonstracyjne histerie, żałosne; pamięta Łucja, stara się więc powstrzymać, uciszyć rżęzenie oddechu, wpatrzona w rozłożoną szeroko płachtę gazety, zapewniającej teraz jej bezpieczeństwo, osłonę przed bladoniebieskimi oczami męża, niech ją czyta, czyta aż do śmierci, prosi, grzebiąc sztywnymi palcami w kieszeni, nie chce być żałosna, pragnie być również wspaniała, silna, obojętna; fiołka z eucardiną jest tak mała, tak trudno wyciągnąć z niej koreczek, w razie silnego bólu pod język, wsunąć pod język.

— Zrób mi jeszcze herbaty — odzywa się Paweł. Czyta gazetę. Wciąż czyta gazetę. Jak to dobrze, że wciąż czyta gazetę, myśli Łucja, spostrzega, że siedzi na brzegu krzesła, z głową odrzuconą na oparcie, a więc to tak, mam zrobić jeszcze herbaty, po prostu, jak zwyczajnie, jak okrutnie: zrobić herbaty; fiołka leży na podłodze, maleńkie pigułki rozsypały się wianuszkami wokół nogi stolika, jedna potoczyła się dalej, koło stopy Pawła, trzeba podnieść, myśli Łucja, schować, pozbierać, nie zostawić ani jednej, nie zgubić żadnej, jeśli potrafię na czas otworzyć fiołkę, wyjąć pigułkę i wsunąć pod język, wtedy zdążę nie być żałosna, i będę mogła wstać, zrobić herbaty, potem sprzątnąć ze stołu, pozmywać naczynia po kolacji, nastawić na jutro zupę, wyprać, wyprasować i coś tam jeszcze, co jeszcze potrafię zrobić, aby nie być żałosną? — podnosi rękę do czoła, ociera je z potu, policzki są mokre: płakałam? dziwi się Łucja.

— Może być z cytryną. Albo z sorbovitem — dodaje Paweł.

Z sorbovitem albo z cytryną, oczywiście, myśli Łucja, dlaczego nie, i sorbovit jest w domu, i cytryna, sorbovit i cytryny muszą zawsze być w domu, pod ręką, w każdej chwili.

— Tylko zaparz świeżą w czajniku, znudziła mi się po turecku — dorzuca Paweł.

Można i w czajniczku, jeśli znudziła się po turecku, czemu nie, zwyczajnie, proste: zrobić herbaty, najpierw wyparzyć czajniczek, potem wsypać herbaty, zalać wrzątkiem, odczekać, aż się zaparzy; myśli Łucja, a co zrobić ze sobą, co zrobić? kiwa się na krzesło, raz w przód, raz w tył, coś trzeba, na pewno.



— Łucja! Co ty, do diabła, wyprawiasz? — pyta Paweł. Niespodziewanie odłożył gazetę na kolana; Łucja, przyłapaną, zamiera w pół ruchu, podnosi ręce do twarzy, jakby ją zamierzała osłonić przed pogardliwie zmrużonymi oczami Pawła. Co wyprawiam? myśli, co wyprawiam?

— Doprawdy! — mówi Paweł, przygląda się jeszcze chwilę uważnie, wybucha śmiechem. — Doprawdy — śmieje się Paweł ustami, policzkami, brzuchem —? doprawdy! pomyślałby kto, patrząc na ciebie, że jesteś bita przeze mnie trzy razy na dzień. No nie, doprawdy — śmieje się, Łucja podrywa się, depcze po pigułkach, zgarnia na tacę resztę naczyń, szybko, szybko, zabrać, wyjść stąd, odejść, schować się, przepaść.

— Doprawdy! Ale się uśmiełem — woła Paweł. Podnosi gazetę, która spadła mu z kolan. — A to ci komedia. Doprawdy! — sięga po pudełko z papierosami. — A teraz, dosyć zabawy. Skończona. Co robisz, idiotko? — krzyczy, bo talerz wypada Łucji z rąk. — Nie możesz uważać?

— Nie potłukł się — mówi Łucja cicho, schyla się, podnosi talerz.

— Ale mógł się potłuc, prawda?

— Nie potłukł się — odpowiada Łucja, stawia talerz na tacy.

— O Jezu — woła Paweł. Opanowuje się: — Owszem, nie potłukł się. Ale niewiele brakowało, a byłby się stłukł. — Potłukł, nie potłukł, myśli Łucja, byłby, nie byłby. — Niczego nie potrafisz zrobić porządnie, z sensem — kontynuuje Paweł. Potłuc z sensem, potłuc bez sensu, myśli Łucja. — Iz pewnością zapomniałaś o tym, o co cię przed sekundą prosiłem. Mianowicie, że napiłbym się jeszcze herbaty. Dobrej, świeżo parzonej w czajniczku. Z plasterkiem cytryny albo z sorbovitem. Czy teraz rozumiałaś? — Paweł wymawia poszczególne wyrazy wolno, dokładnie stawia przecinki, kropki, wykrzykniki, znaki zapytania. — Bo czasami, moja droga, odnoszę wrażenie, że ty przestajesz rozumieć, co się do ciebie mówi. Twoja zdolność — Paweł wychyla się poza fotel, a Łucja przygląda się jego ustom poruszającym się miarowo, wargą do wargi: zwarty szereg, symetryczny, systematyczny, opanowany, raz, dwa, raz, dwa, lewą marsz — twoja zdolność pojmowania ograniczona — „o”, „e”, „i”, „u”, dykcja prawidłowa, wargi zwinięte w ryjek: „o” z bąbelkiem śliny; dolna warga cofnięta: „e” błyszczące na zębach — zdolność pojmowania najprostszych pojęć ograniczona, nic, niczego, nic do ciebie nie trafia, niczego nie rozumiesz. Jak ty tak możesz żyć? Nic od siebie nie wymagając, odpowiedzialność przenosząc na innych; po linii najmniejszego oporu, bez wysiłku, bez pragnień, bez ambicji, garnki i szczotka, szczotka i garnki, najważniejsza sprawa życiowa dostać w sklepie nietłustą szynkę, świeże masło, chrupiące pieczywo; wywietrzyć pościel, wybłyszczyc parkiety, dzieci nakarmić, wyszorować, położyć spać, niech tylko rosną, będą zdrowe, dobrze trawią, to wszystko, i nic, niczego.

— Właśnie — zgadza się Łucja. — Nic. Niczego.

— Idiotka.

— Nic, niczego — powtarza Łucja. Wywietrzyć pościel, wybłyszczyc podłogi, kupić nietłustą szynkę i nic więcej, tak, to wszystko, to ja, to o mnie; ale jeszcze: umrzeć, zniknąć, odejść w ciemność i już właśnie więcej niczego nie pragnąc, ani szczęścia, ani radości, ani uczucia; odwieść się do szafy, zamknąć

szafę na klucz i do niej nie zaglądać; nie walczyć ze swoimi rękami, nie czuć bólu. — Tak, nic, niczego! — woła Łucja.

— Przynieś lepiej herbaty zamiast pleść bzdury! Powiedziałem! Rusz się! I zrób mi jeszcze parę kanapek. Tkwisz tu przed stołem od pół godziny jak krowa! — Paweł, wściekły, ciska gazetę na podłogę. — Zwariować można w tym przeklętym domu. Zamieniłaś moje życie w piekło! To jest piekło, żyć z tobą, być z tobą, patrzeć na ciebie!

— Słusznie — potwierdza nieomal z radością Łucja: proszę, proszę, zwarty szereg, pedantyczny układ wypadł z szyku, sepleni, a gdzie bezbłędna dykcja? Przecinki, kropki, wykrzykniki? Zawijasy i wykrętasy? Udało mi się wreszcie przerwać tę doskonałą obojętność — taka to moja maleńka, intymna zemsta.

— No, rusz się! — krzyczy rozjuszony Paweł, wali pięścią w stół; naczynia podskakują na tacy.

—

—

Łucja uśmiecha się promiennie, z premedytacją patrząc mężowi prosto w oczy. Wie, że on tego nie znosi, nie wytrzymuje nerwowo, jakby popełnił kiedyś jakieś przestępstwo lub dźwigał śmiertelny grzech na sumieniu — sam również nie patrzy prosto w oczy, myśli Łucja, czy dlatego, że rzeczywiście nie potrafi znieść mego widoku, czy też, że lęka się zobaczyć siebie? W moich oczach jak lustrach? zaraz się płoszy, miesza, ucieka ze swoim spojrzeniem, oczy zaczynają mu biegać jak teraz: chowa się w głąb fotela, marszczy czoło, odwraca twarz, gdyby mógł, zasłoniłby się ręką, ale tylko chwyta widelec, wymachuje nim gwałtownie; nie dam się, postanawia Łucja, tym razem przetrzymam, nie opuszczę oczu, będę patrzała prosto w twarz; nie poddam się.

— Słyszałaś? — krzyczy piskliwie Paweł. — Słyszałaś?

— Wrzeszczysz tak, że trudno cię nie słyszeć — odpowiada Łucja, uśmiecha się; cieszy ją uzyskana przewaga.

— Bo gdy mówię do ciebie normalnym tonem, nie rozumiesz! Są chwile, w których sprawiasz wrażenie kompletnej idiotki! — krzyczy Paweł. — Tylko wrzaskiem, tylko tak można z tobą się porozumiewać. Boże, daj cierpliwość, pozwól zapanować nad sobą!

— Cóż za rozkosz — uśmiecha się dalej Łucja — dowiedzieć się, że ty, rozumny, wykształcony, na stanowisku, z pełnym poczuciem odpowiedzialności, ambicjami; wielki, wspaniały, najwspanialszy, sama wspaniałość i doskonałość, tylko wspaniałość i doskonałość — a nie panujesz nad sobą.

— Albo mdleje, dostając rzekomych ataków serca, albo robi miny, jakby była nienormalna!

Domaga się ode mnie stale współczucia; po to urządza swoje komedie, których znieść nie jestem w stanie, nikt by ich nie zniósł! Czy zdołasz kiedyś wreszcie pojąć, że niszczysz w zarodku każdą próbę

tolerancji: nawet nie czuję się winny, gdy patrzę na ciebie — woła Paweł, wymachując widelcem. — Wracam do domu jak najpóźniej, zostaję po godzinach i wtedy nawet, gdy nie mam już nic do roboty — byle tylko krócej być z tobą, dalej od ciebie. Ale czasem zdarza mi się, śmieszne, wierzyć w szczęśliwą odmianę losu: śpieszę się do domu pełen nadziei, dobrej woli, zrozumienia. Moja wina jest wielka, powiem ci o swojej winie, wybaczymy sobie wszystko złe. Otwierasz drzwi i twarz masz wrogą, wściekłość w oczach, potępiasz mnie z góry, z góry skazujesz. I ręce człowiekowi opadają, odechciewa mu się natychmiast aktów skruchy, obietnic poprawy. A niech to diabli! Jeszcze nie wymówiłem jednego słowa, a już mnie oskarżono. I czego ty się śmiesz? Co cię tak śmieszy, powiedz? Przestań! W tej chwili!

: — Bo co? — uśmiecha się wciąż Łucja. — Uderzysz?

]. — Nie, to jest nie do wytrzymania! — woła Paweł.

— Wytrzymasz, wytrzymasz — ironizuje Łucja; upokorzyć go, postanawia, dotknąć, zranić.

— Łucja, ja proszę. Przestań — mówi z nieoczekiwanym błaganiem w głosie Paweł.

— Pomyślałby kto, że taki nieszczęsny biedaczek — odzywa się Łucja, zaciska wargi.

— Żeby chociaż raz coś do ciebie dotarło — mówi Paweł, opuszczając głowę. — Choć raz. Jedyny.

— Do niedorozwiniętych, rozhisteryzowanych idiotek, jednak, niestety, nie dociera — kontynuuje Łucja — ale widzi: Paweł, udręczony, poddaje się, patrząc prosząco; dosyć, wystarczy, myśli Łucja, przestań znęcać się nad nim, zostaw go w spokoju.

— Nic nie rozumie. To straszne — odzywa się Paweł, a skrucha' Łucji momentalnie pryska.

— Za to ty wszystko rozumiesz: i za siebie, i za mnie! Absolutna doskonałość: oprawić w ramki, powiesić na ścianie, wybudować ołtarz i odprawiać misteria — Łucja przechyla się ponad stołem i nieomal dotykając swoją twarzą twarz męża, zniża głos do tragicznego szeptu: — I nawet ministrów zna, a z jednym jest per ty. Taki ważny, taki wspaniały.

Siateczka drobnych zmarszczek pod oczami Pawła zaczyna drgać. Paweł zamyka oczy, jakby odgradzał się od napastliwej twarzy Łucji.

— Czego chcesz ode mnie? Powiedz, a zrobię posłusznie! — ponawia atak Łucja. Twarz Pawła tak blisko, stargana, milcząca; cienie pod oczami, głębokie, niech będą jak największe; drżenie powiek obrzmiałych, spuchniętych, zaczerwienionych; za mało sypia, myśli Łucja, codziennie kładzie się późno spać, wcześniej wstaje, zmęczony; potrzebny: potrafią wydzwonić go po trzech dniach urlopu; i dobrze, niechaj będzie zmęczony, niech drżą mu zaciśnięte w samoobronie powieki, teraz ja doprowadziłam go do tej granicy bólu i protestu, której nie odważy się przekroczyć upokorzony własnym tchórzostwem; tak trzeba, to jest mój triumf, mój odwet, myśli, a nagle ogarniające zmęczenie przerywa jej w pół słowa: położyć się zaraz, tu, obok tego stołu, na podłodze, choćby przy nogach Pawła, położyć się, myśli Łucja, przestać.

— Czego chcę? Powiem ci: spokoju! — krzyczy Paweł, krzyk uderza Łucję w twarz; cofa się szybko, jak

najdalej. — Tylko spokoju! Niczego więcej! Spokoju we własnym domu! Słyszysz? Domagam się i już więcej niczego od ciebie nie chcę!

— A domagaj się, kto ci broni? — podnosi głos Łucja.

— Ty mi bronisz!

— Cholera — mówi Łucja. — Jeszcze nie zdążyłam sprzątnąć po kolacji, a ten już z powrotem głodny i każe sobie szykować następne jedzenie. Żre tyle, że nie można mu nastarczyć, pewno ma solitera. A potem jeszcze domaga się spokoju. Czy on do końca życia pozostanie nienażarty? Od rana do wieczora zajmuję się myśleniem

o jego jedzeniu, co na obiad, co na kolację, co na śniadanie. Dla kogo ja wystaję w kolejkach po nietłustą szynkę? Cholera, a potem jeszcze człowiekowi powie, że jest zwierzę, że bez ambicji, najmniejsza linia oporu, nic, niczego, a za sekundę powie: zrób jeszcze kilka kanapek. Kolację podałam, nie nażarł się. Obiad zjadł, nie nażarł się, dawaj zaraz herbatę. I tak wiecznie. Jak tylko wróci z tego swojego ważnego dyrektorowania, bez przerwy biegaj mu do kuchni

i podawaj żarcie. A mnie się nie chce robić herbaty ani kanapek. Pocałuj mnie, wiesz gdzie? Kolację zjadłeś niedawno.

— Kolację? Te dwa plasterki szynki na krzyż i to ma być kolacja? Nie wysilasz się, żeby dać coś przyzwoitego do jedzenia, nigdy ci się nie chce. Ja nie wyleguję się całymi dniami do góry brzuchem, ale pracuję, więc muszę zjeść! Zawsze zastanawiam się, co ty robisz w ciągu dnia? — krzyczy Paweł; nie panuje już nad sobą, stwierdza Łucja i znowu się uśmiecha.

— Pluję i łapię — odpowiada. I dodaje: — Uważaj, bo oko sobie wykolesz.

Paweł odrzuca widelec na stół. Czerwienieje, krztusi się. Nienawidzi mnie, myśli Łucja, tak samo jak ja jego, nie może na mnie patrzeć, znosić mojej obecności, tolerować mnie dłużej tu przy tym stole, chciałby uwolnić się ode mnie, uciec jak najdalej, na sam koniec świata, dlaczego nie uciekamy od siebie na sam koniec świata? Dlaczego my sobie tego nie powiemy; Paweł, błagam cię, powiedz, krzyknij: nienawidzę cię. Chociaż raz bądźmy ludźmi. Może ciebie na to stać, żebyś przynajmniej ty był uczciwszy ode mnie. Zamiast: zrób mi herbaty, powiedz: nienawidzę. Brzydzę się cię; zamiast skandować: twoja zdolność pojmowania — powiedz: spójrz, coś z siebie zrobiła, kim chciałaś być, a kim jesteś, zbytecznym balastem, uwieszonym przy moim ramieniu, zależna ode mnie całkowicie; kopciuchem i smoluchem od garów, ćwierć-intelgentką, która przez całe miesiące nie bierze książki do ręki, wrzaskliwą histeryczką w wiecznych pretensjach do świata za swoje własne niepowodzenia, co zrobiłaś z siebie, ze swoją młodością, ambicjami, aspiracjami, gdzie marzenia, wszystko pogubiłaś, nic nie zostało z twoich planów,

blagam cię, Paweł, myśli Łucja, nie uciekaj z oczami, dlaczego mówisz o herbatce parzonej w czajniczku?

— Opuściłaś się w swoich obowiązkach w stosunku do mnie — woła Paweł. — Karmisz mnie byle czym, dziś znowu na obiad zupa pomidorowa, wczoraj pomidorowa, dziś pomidorowa, na kolację plasterki szynki i podgnięte pomidory.

— Plasterki szynki, podgnięte pomidory — mówi Łucja. — Cholera, zjadłeś dziesięć deka szynki, trzy jajka na twardo, pół słoika majonezu, dwie bułki z masłem, sałatkę z pięciu pomidorów i kawałek placka drożdżowego. I to dla ciebie nie kolacja? A co? Może podwieczorek?

— Cóż za dowcip, no, no — Paweł rozluźnia krawat, odpina kołnierzyk koszuli — proszę, proszę, moja żona ruszyła dowcipem. Można się o twój dowcip przewrócić, taki ciężki — krzyczy.

— Więc się przewróć! — krzyczy też Łucja. O, Boże, myśli, opuszcza bezradnie ręce, dość, dość, w co ja się wplątałam, po co? należało pójść i zaparzyć herbatę, nakroić chleba, niech je aż do niestrawności, aż do przeżarcia, do pęknięcia; jedzenie, jedzenie; śniadanie, obiad, kolacja, zupy, drugie dania, sosy, jarzynki, przystawki, surówki, deserki, ciasteczka, kremiki, dom jest restauracją czynną dwadzieścia cztery godziny na dobę, co będzie jutro na obiad, daj mi kawałek ciasta, czemu nie ma, jak to nie ma, dlaczego nie ma, znowu zupa pomidorowa, wymyśl coś nowego, rzygam tymi twoimi obiadami, gdzie jest deser, obiad bez deseru nieważny, jak to nie miałaś czasu, powiedz od razu, że ci się nie chciało, Łucjo, moje złotko, ta sztufada jest cudowna, rozpływa się w ustach, dołóż jeszcze, nie skąp, coś za smak, masz tu za sztufadę, należy ci się, zasłużyłaś, kup sobie perfumy albo coś tam, coś za sztufada, coś za sztufada.

— Całe dziesięć deka szynki aż, no, no — cmoka Paweł. Jest już spokojniejszy, spostrzega Łucja, o wiele spokojniejszy, trzeba to skończyć, wyjść, póki nie za późno, ale to nie moja wina, zachciało mi się rzucać go na kolana, myśli Łucja, jak gdyby jego skrucha lub pokora do czegokolwiek się zdały, nic się z nich nie da zbudować, za każdym razem rozwała je i burzy moja chęć odwetu; teraz zaś Paweł weźmie sobie swój prywatny, maleńki odwet; on zmęczony i ja zmęczona, on zrozpaczony i ja zrozpaczona, a oboje przesyleni obmyślaniami swoich maleńkich odwetów. Łucja wstaje, bierze tacę — wyjść stąd szybko, zamknąć się w łazience, przeczekać do rana, do jutra; a jutro spróbować raz jeszcze od nowa, od początku powiedzieć: przepraszam.

— Proszę cię, przestań. Przepraszam.

— Siadaj! — mówi Paweł.

— Proszę cię...

— Siadaj. Więc aż pięć pomidorów, policzyłaś?

— Proszę cię... Z czym chcesz kanapki: z żółtym serem? Z wędliną? Dżemem? — poddaje się Łucja.

— Nie wiedziałem, że ważysz dla mnie szynkę przed kolacją, liczysz pomidory. A majonez odmierzyłaś

menzurką? A masło? Łucja, bój się Boga, masła nie odważyłaś, cóż za karygodne zaniedbanie.

— Proszę... Z czym: serem, kiełbasą, dżemem? A może ci grzanki zrobić?

— Więc odważasz, a potem pewno zapisujesz w oddzielnym zeszycie, ile kosztuje cię utrzymanie męża za jego własne pieniądze? Siadaj, mówię!

Łucja siada posłusznie. Nie wie, w którym momencie, kiedy opuściła wzrok, przestała mu patrzeć prosto w oczy. I zawsze tak, myśli, a potem jestem gotowa sama paść przed nim na kolana, najpierw w poczuciu winy, której już dłużej dźwigać nie potrafię, aby go zaraz tą winą obciążyć.

— Dnia szóstego października kolacja mego męża: dziesięć deka szynki złotych dziewięć. Mam nadzieję, że zważyłaś dokładnie, chcę bowiem wierzyć, że te trzy cienkie plasterki szynki to było dziesięć deka, szynka dziewięć złotych, trzy jajka, po ile są jajka, droga Łucjo? milczysz? powiedzmy, że po trzy złote, chociaż nie sądzę, żeby aż tyle, ale niech będzie: trzy razy trzy czyni dziewięć. Pomidory. Aż pięć. Będę się jednak upierał, że nadgniłe, pewno z tych tańszych, na supkę, bo i po co karmić swego męża droższymi? Musi coś jeść, więc zje, co mu się da, wszystkożerny. Pięć pomidorów i jeszcze dwa plasterki cebuli, a pieprz i sól? zapomniałaś

o szczypcie soli i pieprzu, a koszt zużycia patelni

i gazu? wszystko przecież kosztuje, jak liczyć, to liczyć, no i woda w kranie na herbatę, och, a cukier? słodzę trzy łyżeczki, musisz koniecznie sprawdzić, ile cukru zużywam do kolacji. Tak — mówi Paweł, zawiesza głos. — A teraz poważnie. Dość mam tych ponurych żartów, koszt kolacji, którą dziś zjadłem, nie przekroczył sumy dwudziestu złotych. Zgadza się?

— Odczep się! — krzyczy Łucja. — Już taka pokorna nie będę, aby to wszystko znosić! Spokój, ale nie za taką cenę!

— Pokorna? — Paweł nie rozumie. — Pokorna? Ty i pokora! Znowu dowcip. Dziś zrobiłaś się dowcipna.

— Odczep się!

— Ale i wulgarna. A ja nie lubię — mówi Paweł.

— Kto tu jest wulgarny? Przed chwilą obrzuciłeś mnie idiotką, krową! — słyszy Łucja swój głos, jest piskliwy, załamujący się jak zgrzyt żelaza po szkło, obrzydliwość, myśli Łucja, to wszystko, ja, on, my, obrzydliwe.

— Nigdy nie używam podobnych epitetów. Jak śmiesz insynuować mi coś podobnego?

— Krowa, idiotka, dzisiaj, przed chwilą. Codziennie: debilka, analfabetka, komediantka, histeryczka — wyrzuca Łucja. — Codziennie. Dzień po dniu.

— Chyba oszalałaś — oświadcza Paweł z niewzruszonym spokojem. — Miewasz halucynacje.

— Może miewam. Tak, miewam! Codziennie! Dzień po dniu! O, Boże — wybucha Łucja i myśli: trzeba było chociaż zmiażdżyć tę szklanę. Uderzyć, zniszczyć, zabić.

— Nie interesują mnie twoje halucynacje — Paweł wydyma wargi — natomiast interesuje mnie koszt mojej kolacji. Na ile ją wyceniłaś? — pochyla się do przodu, koszula rozwiera się szerzej na brzuchu, brzuch, białe ciało, bardzo białe, myśli Łucja, i o tym powiedzieć też.

— Zapnij guzik przy koszuli, brzuch ci widać — mówi.

— Jesteś ordynarna, cóż, czego po tobie można oczekiwać? Ale przepraszam, a jakże, przepraszam — Paweł zapina guzik, ściąga rozluźniony krawat. — Wróćmy do naszego tematu. Temat: kolacja. Pragnąłbym się dowiedzieć od ciebie, czy wyliczając tak dokładnie, co dziś zjadłem, pragnęłaś dać mi do zrozumienia, iż moje utrzymanie kosztuje zbyt wiele? Nadweręża domowy budżet? Podsumujmy raz jeszcze — ciągnie Paweł — i zastanówmy się wspólnie, czy suma, jaką przeznaczam na dom, jest niewystarczająca? Lub ściślej: ty uznajesz ją za niewystarczającą? — wyjmuje notes, długopis, wypisuje równym, buchalteryjnym pismem długą kolumnę cyfr, z których żadna nie śmie uskoczyć w bok, idealnie jedna pod drugą, jak kolumny w wojsku.

— Paweł...

— O, nie. To bardzo interesujące zagadnienie, i wyjaśnimy sobie wiele przy okazji. No więc: obliczmy. Moja pensja wynosi pięć i pół tysiąca złotych. Tobie oddaję cztery tysiące. Z kwartalnych premii oddaję ci uczciwie połowę, przeciętnie dochodzi ci na miesiąc około dwóch tysięcy złotych. Co razem czyni — sześć tysięcy na utrzymanie domu. Czyli dostajesz ode mnie każdego miesiąca sześć tysięcy — wypisuje cyfrą, potem słownie: sześć tysięcy. Podkreśla raz i drugi. Stawia wykrzyknik. — Czy sześć tysięcy nie wystarczy, aby podać mi na kolację do zjedzenia tyle, ile wymaga mój organizm? Jestem mężczyzną w sile wieku i potrzebuję zjeść. Moja kolacja — znowu cyferki w równym szeregu, raz, dwa, lewa, raz, dwa, lewa, który tam rusza z prawej? przypomina się Łucji i gdyby nie przytłoczyła ją tak gwałtownie rosnąca kolumna cyfr, wybuchnęłaby śmiechem: cóż za skojarzenie, Majakowski i sześć tysięcy złotych cyfrą oraz słownie na utrzymanie domu; no, któ

kie ruchy ręki Pawła, wpisującej do notesu: raz, dwa, lewa, lewa.

— Moja kolacja nie mogła kosztować więcej, łącznie ze zużyciem gazu i wody z kranu, niż dwadzieścia złotych; moje utrzymanie dzienne nie przekracza sumy maksimum, tak, maksimum! — Paweł jest wyraźnie podniecony swoimi wyliczeniami — sześćdziesięciu złotych, ach, co ja mówię, ja zaokrąglam, ależ tak; za-o-krą-glam! — wykrzykuje z triumfem, stawia trzy zwycięskie wykrzykniki w notesie — nawet zaokrąglam! — triumf przechodzi w zdumienie i Paweł spogląda na Łucję pytająco, podejrzliwie. — Stąd, zdaje się, wynikną wnioski zupełnie nieoczekiwane, no, no, nawet się ich nie spodziewałem, ciekawe? Chyba ci dziękuję za nasz spór, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, jak powiada mądre przysłowie, a wiesz, że przysłowia są mądrością narodów? — rozszerza usta w cierpkim, chytrym uśmiechu, i Łucja przeraża się: co oznacza ten uśmiech-szparka? czego on chce ode

mnie? nie wyjdę stąd prędko, myśli, Jezu, a mam tyle roboty, zupa, pranie, prasowanie, już po ósmej i o której położę się spać?

— Sześćdziesiąt razy trzydzieści czyni tysiąc osiemset — wylicza głośno Paweł. — Tak — cmoka, zwija usta w ryjek. — Szukajcie, a znajdziecie. Znalazłem. Czarno na białym. Nieodparcie wynika, że wydajesz na mnie z sumy sześciu tysięcy złotych zaledwie tysiąc osiemset — wpisuje cyfrę do notesu, podkreśla trzykrotnie, grubo, kaligrafuje z zapalem duży znak zapytania. — Czy wolno mi, moja droga — sepleni zwinętym rykiem — dowiedzieć się, na co wydajesz pozostałe pieniądze? Całą różnicę? Cztery tysiące dwieście złotych? — stawia kolejny znak zapytania. — No, słucham! Słucham! — wycelowuje długopis w Łucję, Łucja kurczy się, przypada do krzesła, cztery dwieście, cztery dwieście, na co wydaje? na co? o, Boże, nie wiem na co wydaję, myśli, a Paweł kończy: — I ty śmiesz wyliczać plasterki szynki, żądać, abym się najadł tym, co mi łaskawie wydzielisz? Ja chyba wiem najlepiej, kiedy jestem najedzony, a kiedy głodny. A może nie wiem? Może ty wiesz lepiej?

— Czego ty chcesz ode mnie? — pyta Łucja, myśląc rozpaczliwie: na co wydaję, na co?

— Nie udawaj. Co robisz z tymi pieniędzmi?

— Co robię? Co robię? Paweł, zlituj się, przestań, nie znęcaj się nade mną.

— Ciężko pracuję. Na odpowiedzialnym stanowisku. Nie płacą mi za dłubanie w nosie, ale za solidną pracę. Mam chyba prawo wiedzieć, co robisz z moimi pieniędzmi? Jeżeli uważasz, że to jest znęcanie się, wtedy, wybac, moja droga...

— zakreśla łuk długopisem, Łucja chowa głowę w ramiona, kuli się, chciałyby mieć czapkę-nie-widkę, wzrok Pawła oskarża, grozi, długopis kreśli w powietrzu jakieś zawikłane zawijasy; o-skarżona Łucja Gąsiorowska, czy przyznaje się do winy? na co wydałam? usiłuje przypomnieć sobie Łucja, ale w głowie pustka; na co? a może zgubiłam? cztery dwieście, gdzie ja podziałam? długopis nieruchomieje, wycelowany znowu w twarz Łucji wznosi się jak oskarżycielski palec.

— Widzę, słyszy głos Pawła — że będziesz musiała wyliczać się z moich pieniędzy. Powrócimy do naszego starego, niezawodnego systemu. Jak

—

—

wtedy, kiedy dorabialiśmy się mebli czy samochodu, nie stać mnie na luksus podziewania pieniędzy nie wiadomo gdzie. Proszę założyć zeszyt i proszę zapisywać każdy wydatek. Proszę co wieczór przedstawiać mi rachunki, abym na bieżąco orientował się — ciągnie Paweł, Łucja słucha go skulona: kilogram chleba cztery złote, dwie marchewki do rosółu dziewięćdziesiąt groszy, kilo cukru dziesięć pięćdziesiąt, zeszytik w kratkę, rubryka: WYDATKI, rubryka RAZEM, data, swoisty pamiętnik mojego życia, myśli Łucja, zeszyt



w kratkę podzielony na rubryki, bułka paryska cztery złote, można przecież kupować zwykłą, za dwa; trzy budynie czekoladowe po złoty osiemdziesiąt, śmietankowe są o połowę tańsze, po cóż wyrzucać bez potrzeby pieniądze, kreska, suma. Zapisywać, równym rzędkiem, niczego nie opuścić, szukać tańszej marchewki, niczego nie zapomnieć, czarno na białym: moje życie w gospodarskim kajecie.

— Nie będę zapisywać! — krzyczy Łucja.

— Proszę nie podnosić głosu.

— Nigdy w życiu, rozumiesz? Zapisywałam przez tyle lat i jedyne moje zwycięstwo, które udało mi się wywalczyć, jedyną ulgę po ośmiu latach, to ta wolność od zeszytu w kratkę, nie oddam ci jej, nie będziesz czytał mojego życia, podliczał moich dni, wybrzydzał, że za drogo, za dużo, żeby taniej. Nie mogę już żyć taniej, słyszysz? Codzienna spowiedź, rachunek sumienia, kim ty jesteś, abys mnie rozliczał? Matko święta, przez tyle lat zapisywałam, podliczałam i przedstawiałam ci do akceptacji. Oszczędnością i pracą ludzie się bogacą, pamiętasz? pamiętasz, wypisałeś mi w którymś z tych strasznych zeszytów w kratkę, podzielonych czerwoną kredką na rubryki, wypisałeś mi moje memento: suma, w której muszę się zmieścić wynosi osiemdziesiąt złotych. Jeżeli jednego dnia wydasz sto złotych, wtedy następny musisz już tak skalkulować, aby wydać tylko sześćdziesiąt. Bo oszczędnością i pracą! Ziarno do ziarnka! Nigdy w życiu, rozumiesz? Nie zmusisz mnie, abym zapisywała! — krzyczy Łucja.

— Proszę się uspokoić — mówi Paweł. — Natychmiast.

— Nie będę!

— Słuchaj no, Łucja — Paweł rezygnuje z kurtuazyjnego „proszę”. Wstaje. Pochyla się nad stołem. Łucja czuje jego oddech na swojej twarzy. — Będziesz zapisywała. Moje pieniądze, na które ciężko pracuję — na odpowiedzialnym stanowisku, myśli Łucja, mając przed sobą nos Pawła, i wilgotne, z bąbelkami śliny w kącikach, usta, które poruszają się rytmicznie, wolno, dokładnie odsłaniając zęby z resztkami żółtka przy dziąśle — a ty je nie wiadomo gdzie przepuszczasz, bo, jak ci udowodniłem przed chwilą, cztery tysiące dwieście...

— Kupuję sobie lizaki na patyku! I nowe kapelusze! Zjadam po kryjomu kiełbaski z rożna i pieczone gołąbki! — krzyczy Łucja prosto w te zwisające nad nią usta. — I puszczam jeszcze bańki mydlane! Dużo mydła! Mnóstwo słomy! Wszystko za twoje pieniądze!

Paweł cofa się. Siada. Zapala papierosa.

— No, tak — odzywa się, milczy znowu. — Niemniej jednak faktem jest, że cztery tysiące dwieście złotych przepada bez konkretnego śladu i w związku z tym...

Nie będzie żadnego w związku z tym! O, popatrz, jak się spasałam, jakie mam sadło od pieczonych gołąbków! — Łucja wpada w histerię, wali się pięściami po brzuchu. — Zobacz, jaki brzuch! Aż się przelewa!

— To niesmaczne — mówi Paweł, wydmuchuje dym, stara się panować nad sobą, ale i on ma już

dosyć, ręka trzymająca papierosa drży. — Obrzydliwe.

— Ty, esteto — odzywa się Łucja cicho, z nienawiścią, nie umie już jej dłużej ukrywać. — Esteta — i, nagle olśniona jedną myślą, która jakby otworzyła jakąś uparcie zamkniętą klapę pamięci, wybucha śmiechem: — O, Boże — śmieje się Łucja, krztusi się śmiechem, dławi — nie wytrzymam, wyliczył, pięknie, prześlicznie wszyściutko, podzielił na śniadania, obiady, kolacje, nawet zaokrąglił łaskawiec — Łucja zachłystuje się śmiechem, widzi zaskoczoną twarz Pawła — nie, nie zwariowałam! powyliczał, popodliczał, podsumował, pozapisywał, czarno na białym, raz, dwa, lewa, raz, dwa, lewa, i zarządził ścisłą kontrolę — ociera łzy i przestaje się śmiać, mściwie dorzuca: — A udław się ty swoimi pieniędzmi, które zarabiasz ciężką pracą na odpowiedzialnym stanowisku! Boże drogi, a ja zgłupiałam, co się ze mną stało? zupełnie jak na ławie oskarżonych, Łucjo Gąsiorowska, gdzie podzielaś cztery tysiące dwieście złotych? Radzę ci, Paweł, dzwoń na milicję, załóż sprawę u prokuratora, przeprowadź rewizję, sprawdź pod bielizną na półkach, a może zaszyłam majątek w poduszkę? Magnacka fortuna, szynszyle i nurki wiszą w szafie, kolie brylantowe upycham po słoikach z konfiturami, a dzieci karmię powietrzem, dobre powietrze, kaloryczne, zdrowe, pożywne, posilne, o swoim brzuchu pamiętał, tylko o swoim brzuchu, innych nie wziął pod uwagę, siebie podliczył, sześć tysięcy, gdzie cztery dwieście? Sześć tysięcy, majątek na cztery osoby, nakarmić, ubrać i jeszcze zapłacić z tego komorne, gaz, światło, telefon. Już skazał mnie na ciężkie roboty, wysyłał na galery. Wynajmę się do ludzi myć okna, świetnie to robię, ale twoich pieniędzy nie ruszę, sam sobie gotuj, sprzątaj, opieraj się! Ty, esteto.

Zdenerwowany Paweł zapala nowego papierosa. Milczy.

— O, Boże — mówi Łucja.

— Przepraszam, rzeczywiście, zaciętrzewiłem się — przyznaje Paweł; biedaczek, drobna pomyłka, myśli Łucja, zapomniało mu się, że ma dzieci i jeszcze ja od czasu do czasu ośmielę się zjeść kawałek chleba.

— Ale musisz przyznać, że łożę na dom zupełnie przyzwoitą sumę. Mógłbym przecież mniej, inni nie dają tyle, to bardzo dużo pieniędzy, cała pensja i pół kwartalnej premii do dyspozycji domu — odzyskuje równowagę; zaraz przejdzie do ataku, myśli Łucja, nie podaruje mi tego przepraszam, wszystko musimy odrobić, aby, broń Boże, nie pozostać sobie dłużnymi.

— Czy uważasz, że to za mało? — kończy Paweł; skłopotany, pociera czoło. — Łucjo, czy ty naprawdę tak uważasz?

— Nic nie uważam. Nie ośmielam się uważać. Przystań wreszcie, gdy się do czegoś przyczepisz, nie darujesz, dopóki nie uda ci się wypruć wszystkich flaków. Już późno, temat wyczerpany, koniec, kropka — Łucja zdecydowanie wstaje,

—

—

szybko zbiera ze stołu pozostałe naczynia na tacę.

— Wyczerpany? przeciwnie — nie rezygnuje Paweł. — Sama zaczęłaś. Trzeba ponosić konsekwencje. Oddaję ci absolutnie wszystko, co zarobię, poza połową kwartalnej premii i nagrodami. Muszę mieć przecież na benzynę, na samochód.

— Oczywiście — zgadza się Łucja.

— Co: oczywiście? Nie pozwolę się dłużej wykiwać. Ta twoja prostacka ironia... Nie ujmiesz gospodarować pieniędzmi, ile jeszcze potrafisz wyłudzić ode mnie w ciągu miesiąca? A to na spodnie dla Jacka, to na sweterek dla Basi, a to na sio, na owo. Nigdy ci nie starczyło do pierwszego, chociaż tysiące rodzin żyje za mniejsze pieniądze. „Pożycz mi, Paweł, zabrakło.” Pożyczam, a gdy potrącam pożyczkę, urządzasz dzikie awantury...

— Paweł — przerywa Łucja — mam dosyć. Nic nie mówię. Zgadzam się, cały czas się zgadzam, zawsze się będę zgadzała, masz rację, nie mylisz się, przyznaję ci wszelką słuszność, kajam się, ale daj mi spokój, dobrze?

— I mnie o nic innego nie chodzi! Dlatego twoje pretensje o pieniądze są bezpodstawne! — krzyczy Paweł, milknie. — O, Boże — mówi łagodniejąc, patrzy na żonę ze skrucą. — Znowu wrzeszczę, przecież nie chcę wrzeszczeć. Wbrew sobie, sam nie wiem, dlaczego. Łucja, zrozum mnie, nie potrafię już więcej zarabiać. Muszę mieć jakieś pieniądze: benzyna, reperacje samochodu, no i ta reprezentacja, abym miał czym zapłacić za siebie w kawiarni, czasem muszę gdzieś z kimś wyskoczyć, przecież nie przepuszczam na bzdury pieniędzy...

— Matko święta, bo ci coś złego zrobię! — krzyczy Łucja. — Czy przestaniesz o tych przeklętych pieniądzach? Kto zaczął, kto? Kto wyliczał i pytał, przeprowadzał całe śledztwo? Już złodziejkę we mnie widziałeś! I czego się czepiasz? Czego wciąż? Teraz wiesz, że wydaję wszystko co do grosza na żarcie, na mydła, na proszki, na groszki, na Bóg wie co!

— Dzieci obudzisz, ciszej! — krzyczy Paweł.

— To obudzę! Niech się obudzą i popatrzą sobie na nas! Na swoich ukochanych, kochających się do szaleństwa rodziców! Mamusię i tatusia! Ślicznych tak, że nie wiadomo, które z nich śliczniejsze. Pokazowych! Oto nowoczesna reklama przykładowej rodziny! — krzyczy Łucja.

— Śmieszna. Śmieszna i głupia, beznadziejnie głupia, aż litość człowieka bierze, kiedy na nią patrzy — Paweł trzęsącą ręką sięga po szklankę, wypija z niej ostatni łyk, fusy osiadają na ściankach. — Tak. W ogóle już nie można patrzeć — odsuwa notes, długopis chowa do kieszeni. — Zrozumiałem przyczynę wywołanej przez siebie awantury: chciałaś wydebić ode mnie więcej pieniędzy. A ja uważam, że sześć tysięcy złotych na cztery osoby jest sumą wystarczającą i nie dostaniesz ani złotówki — ciągnie, wyjmując grzebień i przeczesując włosy: nieskazitelny przedziałek bieli się z powrotem na jego głowie, i tak życie rodzinne wraca do normy, myśli Łucja, wszystko po staremu, bo i cóż u nas może się zmienić?

tylko, że zamiast pójść spać o dwunastej, pójdę o trzeciej, a on będzie sięgał do apteczki po elenium... ale nasz dom niezależnie od twojego widzimisię ma być utrzymywany na przyzwoitym poziomie — dociera głos Pawła;

—

—

oczywiście, będzie, myśli Łucja, zawsze wyczyszczony, odkurzony, wyglansowany, świecący; reprezentacyjny — nigdy na niższym poziomie; stół przykryty kolejną czystą serwetą, patrząc na którą, nikt by się nawet nie domyślił, jak ty jesz, kiedy ciebie nikt nie widzi poza mną, kiedy nie musisz być reprezentacyjny, kulturalny, na wysokim poziomie, wspaniały; antyseptyczny porządek, harmonijny ład, cieszący oko estety: jak cię widzą, tak cię piszą — i dużo, dużo jedzenia, całe stosy jedzenia, jak najwięcej jedzenia: kiełbas, szynki, pieczeni, ciast, kremów, tortów, lukrów; na ósmą rocznicę ślubu przyniósł prezent: książkę kucharską z tysiąc dziewięćset piętego roku, przyjmij wraz z najlepszymi życzeniami od swego kochającego męża, ty tak lubisz p i c h-cić; może on naprawdę uważa, że ja lubię p i c h c i ć? w końcu mój dzień sprowadza się do sprzątnięcia i p i c h c e n i a, skąd on dowie się, co ja lubię, jeżeli widzi mnie albo sprzątającą, albo pichcącą? a ja, jeśli z nim rozmawiam, to o pich-ceniu: smakuje ci ten sos holenderski? wróć punktualnie na obiad, nie spóźnij się, broń Boże, będzie mózdzek w kokilkach, a wiesz, że trzeba to jeść natychmiast; Boże, mój Boże, znowu siadł mi biskopt, tyle jajek zmarnowałam, tyle pracy! Teresa przyniosła mi nowy przepis na placek po królewsku, podobno znakomity i wcale niedrogi. Biedaczek, nie wie, nie domyśla się nawet, że nienawidzę pichćci; ale nawet gdybym powiedziała mu o tym, nie uwierzyłby, i dziwić mu się też trudno, jeżeli codziennie robię do obiadu deser, coraz wymyślniejszy, coraz wspanialszy, z wypiekami na twarzy, i z wściekłością ubijam kremy, piekę ciasta, mieszam sosy, wrzucam do pieca mięsa, jakbym zamierzała w ten sposób samą siebie przekonać o swojej przydatności, potrzebności — więc dlatego chwali mnie: ty tak świetnie gotujesz, i nie znam innego uznania, innego nie otrzymuję, dlatego ciesz się szczerze, chcąc mi sprawić przyjemność: posłuchaj, bażant po królewsku, karp na niebiesko, coś podobnego, jak to kiedyś ludzie jedli, aż ślinka cieknie, gdy się czyta, polędwica na dziko, na dwanaście godzin zalać bajcem, potem obłożyć słoniną i grzybami, upiec, zrób na niedzielę polędwicę po zbójceku, na pewno wyjdzie ci znakomita. A potem: Paweł, pożycz mi dwieście złotych, Jackowi muszę spodnie kupić, wyrósł ze starych, to je podłuż, nie potrafisz? już podłużałam, trzeba nowe, kostki mu widać, moja droga, źle gospodarzysz pieniędzmi, nie potrafisz oszczędzać, czy ty uważasz, że ja pieniądze zbieram na ulicy, czy ty uważasz, że tym kawałeczkiem schabu mam się najeść, dlaczego pomarańcze są wyłącznie dla dzieci, cóż to, za mało dostajesz pieniędzy, pomarańczy dla mnie nie możesz kupić, a Jackowi uszyj z moich starych spodni, ze trzy pary wiszą w szafie, już w nich nie chodzę, czy naprawdę bez potrzeby trzeba wyrzucać dwieście złotych? cóż za filozofia uszyć dla pięcioletniego chłopca spodni, nie wymagam chyba zbyt wiele od ciebie, nie mów: nie mogę, mów: nie chce mi się; jakbyś się przyłożyła, mogłabyś wszystko szyć dzieciom, masz zręczne ręce, jestem dla nich pełen podziwu, uznania, szacunku, myśli Łucja. Jej ręce leżą przed nią na stole, palce z obrzmiałymi stawami, nie moje, myśli Łucja, i na znak protestu porusza palcami: gmerają się niezdarnie jak robaki. To

są robaki. Dziesięć robaków rozłazi się po stole, każdy ma główkę okrągłą z białymi półksiężycami. Pełzną, ściągając po drodze zbyt mocno wykrochmalony materiał serwety.

— Powinnaś być zadowolona — słyszy Łucja — gdyż summa summarum, zaokrąglając... tak, dla pełniejszego obrazu istoty rzeczy zaokrąglimy — i Łucja widzi to słówko: z a o k r ą g l i m y zwisające z lekko wywiniętej, różowej wargi Pawła.

— Przestań — mówi Łucja.

— ...wynosi średnio — ciągnie Paweł, urywa, zaokrąglimy wciąż zwisa z jego dolnej wargi-

— No cóż — mówi Paweł — jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz. Później nie wymawiaj, że nie interesują mnie domowe sprawy. Cóż — robi krótki ruch, jakby strzepywał jakiś uporczywy, naprzykrzający się pyłek. Sięga po notes. Wydiera kartkę zapisaną nowymi rachunkami, mnie ją w palcach, ugniata, skręca w kulkę i nagle — mrużąc oczy jakby celował — rzuca kulką prosto w twarz Łucji.

Łucja cofa się o krok. Serce zamiera, aby natychmiast wybuchnąć oszalałym biciem. Gdzieś na czole, między oczami, pali uderzenie: tak mocno, papierową kulką, dziwi się Łucja, gdyby była z żelaza albo ołowiu, ale papierową? Podnosi rękę, dotyka czoła, wydaje się jej, że ono krwawi, zranione; Paweł zbiera z podłogi gazetę, segreguje strony, spokojny, normalny, lekko uśmiechnięty, może tylko nieco bledszy, papierową kulką? tak bardzo boli? tak bardzo mocno? on chciałby mieć ją z ołowiu, myśli Łucja, śmiertelną; i ja to rozumiem doskonale: moja nienawiść nie pochodzi od jego nienawiści, jest niezależna, istnieje sama z siebie, więc nie mam prawa brać mu jej za złe. W ciągu ośmiu lat naszego małżeństwa dzień po dniu, noc po nocy zmierzaliśmy ku niej najprostszą drogą, wypracowywaliśmy ją pieczołowicie, starannie, konsekwentnie, lecz żadne z nas obojga nie zdobędzie się ani na akt odwagi, ani skruchy; ani ja, ani on. On nie zamieni papierowej kulki na ołowianą, choć pragnąłby tego — ja nie osmielę się podejść i uderzyć prosto w oczy, prosto w obrzmiałe usta. Pasujemy do siebie. Ze wszystkich dostępnych nam uczuć tylko wzajemna nienawiść jest prawdziwa. I może właśnie dlatego tak kurczowo trzymamy się siebie.

Biały sufit z wirującym kręgiem światła przechyla się niebezpiecznie. Paweł, siedzący w fotelu; okno za nim w tyle zaciągnięte ciemnowiśniową zasłoną; regały, ściany, meble, wraz ze stołem, nie uprzątniętym dotąd po kolacji, wchłania biel sufitu; zabrać światła, myśli Łucja, osłonić oczy przed ich oślepiającym blaskiem, znaleźć się w bezpiecznej ciemności, odejść razem z nią, po prostu — umrzeć, precyzuje; wbija z całej siły paznokcie w dłoń i powoli, długo, wraz z bólem, jaki sobie zadaje, wraca obraz, rzeczywistość, myśli Łucja, w której jestem, oto ona: ten pokój, ni to gabinet, ni sypialny Pawła, z wielkim weneckim oknem na szerokość ściany, kwadratowe metry szkła do mycia, pokój z widokiem na ślepą ścianę starej fabryki, na dogorywający zmurszały mur, pokryty odrażającym strupem szarozielonej pleśni; pod oknem ciężkie, kwadratowe biurko jak trumna, zastawione bibelotami, wśród których, na honorowym miejscu, w samym środku, jak na ołtarzu, stoi pudełko z medalami Pawła; ponure regały aż do sufitu wokół trzech ścian, wypełnione rzędami martwych książek, których nikt nie bierze do ręki, nie czytanych, dekoracyjnych; dekoracyjny dywan pośrodku pokoju, nie wolno po nim deptać, chodzić, aby się nie

zniszczył; fotel koloru terakoty, w którym siedzi Paweł, spokojny, syty, już odprężony, myśli Łucja, dolna warga jeszcze nieco odęta, broda jeszcze trochę wysunięta do przodu, ale czoło wypogodzone, brwi na swoim miejscu, nie rysują na czole zmarszczek, i Łucja, dziwiąc się samej sobie i temu nieprzewartemu pragnieniu, które ją nagle opanowuje, pełna zdziwienia i jednocześnie odrazy do siebie, a nawet nienawiści, nawet pogardy — widzi męża rozpartego swobodnie w fotelu, w tej właśnie chwili podnosi rękę do nosa i zaczyna w nim dłubać wskazującym palcem; Łucja myśli: zabić, i porażona tym pragnieniem stara się je zagłuszyć, uciszyć: zdjąć zasłony do prania, wytrzeć kurze z parapetów, zabić; umyć kaloryfery, wytrzeć narzuty, zabić, chleba naszego powszedniego daj nam, Panie, i odpuść nam winy, jako i my odpuszczamy, zabić, przestać patrzeć, myśli Łucja, przypomina się jej upalny dzień, rozprażony, zastygły pod kopułą nieba bez jednej chmury, niebo jest przezroczyste, nieba nie ma, jest tylko słońce gorejące, trawa wypalona chrzęści pod nogami, powietrze stoi, zgęstniałe, lepkie, upiorny las: drzewa osypujące liście w środku lata, pod lasem gruzowisko, szkielet domu, cegła ze śladami niedawnego ognia, zmije splecione ze sobą, wijące się bezgłośnie kłębowisko, śliskie i gładkie, bezszelestne, obojętne, nagie, nad którymi stała w przerażeniu, odrazie tak długo, aż odciągnął ją Paweł, wtedy dopiero zaczęła krzyżeć, i teraz czuje narastający w gardle krzyk, modli się o win odpuszczenie i widzi, widzi wciąż: palec wskazujący dłubiący w nosie, palec skrócony o paznokiec, porośnięty drobnymi włoskami, nie może przestać patrzeć, zabić, i — Boże zlituj się, odpuść, ale ten palec, prawie kwadratowy, bezwstydnym — wysuwa się z nosa — Paweł wyciera dłoń o poręcz fotela, zabić! ręka Pawła zwisa niedbale, już oczyszczona, a ja mam później to sprzątać? myśli Łucja, przełyka gęstniejącą ślinę, sprzątać po nim jego brudy, jego sosy? powtarza Łucja, Paweł znowu ociera dłoń, chodzi przy mnie w samych gaciach, dłubie w nosie, wyciera palce o fotel.

— Przestań! Przestań wycierać ręce o fotel! — krzyczy Łucja.

Paweł schyla się, podnosi z podłogi gazetę, rozkłada.

— Uderzyłeś mnie! — krzyczy Łucja. Głowa Pawła ginie za gazetą, lśni biały rowek wśród włosów.

— Trzeba było wstać i uderzyć naprawdę, ty tchórze.

Gazeta opada. Bładoniebieskie oczy patrzą z wyrzutem.

— Czy już nawet gazety poczytać nie mogę? Łucja, co ty tam mamrociesz pod nosem? Co znowu?

— O, Boże — mówi Łucja. Przed sobą, na wyciągnięcie ręki, ma dużą, skrzywioną twarz Pawła.

— Idź sobie wzdychać do kuchni, dobrze?

A przy okazji zaparz mi herbatę, doprosić się o nią nie mogę — dorzuca Paweł. Duża twarz, na wyciągnięcie ręki, myśli Łucja.

— No, pośpiesz się, rusz się.

— Uderzyłeś mnie.

— Zwariowałaś? — dolna warga lśni, wilgotna; opada sztywna, odsłania rząd równych, nieskazitelnych zębów. To uśmiech. Paweł się uśmiecha, rozbawiony.

— Uderzyłeś mnie w twarz.

— Ja? Ciebie? Nigdy w życiu nie uderzyłem w twarz żadnej kobiety, nawet ciebie — odpowiada Paweł. Nawet mnie, myśli Łucja, n a-w e t. — Łucja, ja mam dość na dzisiaj tych komedii. Wyczerpiesz repertuar, i z czym zostaniesz na jutro?

— Kulką. W twarz.

— Jaką kulką? — Paweł rozgląda się naokoło, wybucha głośnym śmiechem. — Ach, kulką! Cóż za bzdura, przepraszam, nie chciałem.

— O, Boże — mówi znowu Łucja, odwraca się, ściskając gorączkowo tacę rzuca się do ucieczki, ale w połowie drogi do drzwi zwalnia, czuje: Paweł obserwuje ją, drwiący. I wychodzi już manifestacyjnie powoli, prostując plecy. Zamyka za sobą drzwi. Oddycha z ulgą. W hallu jest ciemno, jak dobrze, że ciemno. Słyszy pokasywanie: Jacek kaszle przez sen. Muszę z nim pójść jutro" do laryngologa, koniecznie, postanawia Łucja, zatrzymuje się przed drzwiami dziecinnego pokoju: kaszle i chrapie, ma zatłakany nos, koniecznie do laryngologa, za długo biegał dziś po podwórzu, zgrzał się, podwiało, wiatr był ostry, a teraz będzie chory, myśli Łucja, ciągle się przeziebia i apetytu nie ma, Matko święta, przypomina sobie, przecież muszę koniecznie jeszcze dziś załatać mu spodnie, zapomniałam na śmierć, co by jutro włożył, druga para brudna, i w ogóle muszę koniecznie zabrać się do szycia, Basi uszyję ze swojej starej spódnicy w kratę bezrękawnik, trzeba sukienki jej podłużyć, wyrosła przez wakacje, koniecznie, myśli Łucja, wszystko jest konieczne, koniecznie załatać, koniecznie uszyć; na drzwiach przy klamce spostrzega ciemniejszą plamę: od marmolady śliwkowej, Baśka biegała z chlebem po całym mieszkaniu, ach, co za dziecko, nie usiadzie na jednym miejscu porządnie, z talerzykiem, tylko biega i brudzi wszystko dokoła, uśmiecha się Łucja, wystrzeliła w górę przez ostatnie dwa miesiące, sukienki trzeba podłużyć, to dobrze, niech rośnie jak największa, żeby już była duża, za rok do szkoły, myśli Łucja, potem Jacek do szkoły, będę miała trochę mniej pracy. Cofa się od drzwi, idzie do kuchni, zapala światło: kontakt też wymazany na śliwkowo, ach, ta Baśka, trzeba wytrzeć. Odstawia naczynia do zlewu, kran przecieka, trzeba zawołać jutro dozorcę, niech zreperuje. Stawia czajnik na gaz, tak, kran przecieka, dozorca, spodnie załatać, drzwi usmolone, poszorować, laryngolog, diatermie, spodnie załatać, kran, kafelki koło zlewu umyć, w szafach porządek, wywietrzyć pościel, spakować letnie rzeczy, już październik, zlew, dozorca, kran, spodnie, zupę na jutro, prasowanie, cały stos, wieczne prasowanie i pranie; dzień po dniu, codziennie, od rana do wieczora, zupa, kran, spodnie, katar, kafelki, drzwi, kiedy to wszystko zrobić?

— Jestem zmęczona! — woła Łucja, przerywając ten napór myśli. — Zmęczona.

Okno kuchenne uchylone, lekki wiatr, kołysz się biała firanka, biała ampla lampy. Połyskują ściany wykładane bladozielonymi kafelkami; kafelki jak lustra, w każdej twarz Łucji, trupie oczy, zęby połyskujące jasną zielenią, odczepcie się ode mnie, zostawcie mnie, woła Łucja, bijąc pięścią w zimną, glazurowaną ścianę. Bije po wybałuszonych oczach, wyszczerzonych zębach, raz po raz.

— Nie chcę mieć więcej nigdy dziecka. Żadnych dzieci. Nikogo! Chcę być sama! Rozumiecie? — krzyczy do lusterek powielających jej twarz, tu i tam, wszędzie, gdzie spojrzę: oczy, usta; oczy, usta, nie! krzyczy Łucja, zasłania twarz ramieniem, osuwa się wzdłuż ściany na kolana.

Pokrywa czajnika podskakuje, gotuje się woda, czajnik kipi, gaz zalewany wodą syczy. Jeżeli jutro będzie ładna pogoda, wywietrzyć pościel, wytrześć chodnik z przedpokoju i narzutę z tapczanu Pawła, zmienić ziemię w doniczce z paprocią, pójść z Jackiem do laryngologa, zawołać dozorcę, zrobić herbatę z sorbovitem albo cytryną, wyłączyć gaz, czajnik kipi, Paweł czeka, wciąż jest głodny.

— Wciąż — stwierdza Łucja. — Kupić cielęciny, upiec pieczeń. Po cielęcinę /pojechać na rynek. Oddać do reperacji młynek do kawy. Oddać młynek, koniecznie — powtarza. Patrzy w zdumieniu na pokaleczone ręce: — Boże, jak drżą.

— Ty idiotko — mówi Łucja. To wyłącznie twoja wina, że jesteś zmęczona. Jeszcze i swoje zmęczenie chcesz przerzucić na niego. On ci nie każe wylizywać parkietów ani prasować nylonowych koszul, ani jechać po cielęcinę aż na rynek — sama sobie każesz, bo pragniesz uspokoić sumienie i na każdym kroku zachowywać pozory nienaganej żony: w ten sposób łatwiej o argumenty przeciwko niemu — zmęczona, zatykana, ogłupiała od pracy domowej, wtłoczona między garnki, wyrzucona poza nawias życia — oskarżam, sądzę i skazuję. Kto po raz pierwszy kazał uszyć dziecku spodnie? Kto powiedział: uszyję, będzie taniej? Kto, zamiast wyrzucić na śmieci dziurawe rajstopy, cerował je misternie godzinami, a potem pokazywał z infantylną dumą: popatrz, jaka jestem wspaniała matka i żona, zobacz, jak potrafię artystycznie cerować? Kto kazał ci z ciężarnym brzuchem wiórkokować podłogi, kto urządził straszliwe awantury w zamian za propozycję: chodźmy na spacer, wybierzmy się na kawę albo do kina — krzyżąc o zaległych praniach, oknach porośniętych brudem, pracy, której nie można w żaden sposób ani na chwilę odłożyć! A teraz, jeśli bierze kapelusz i mówi: idę na kawę albo: idę się przejść — stajesz w oknie, patrzysz za nim, jak przechodzi przez podwórze — i płaczesz — i czekasz, a może wróci, może cię znowu poprosi jak dawniej: chodź; ale gdy znika w bramie, nie obejrząwszy się ani razu — przeklinasz go i swoje życie, które ci zmarnował.

— Ty idiotko — powtarza Łucja. Wstaje. Nalewa herbatę. Wciska cytrynę. Zapyta: czy zrobiłaś z cytryną? — odpowiem: tak, mój drogi. Ale, jeżeli życzysz sobie z sorbovitem — też służę. Wszystko, czego pragniesz. Posłuszna, dogadzająca, uprzedzająca życzenia, ciesz się ze swojej wzorowej żony. Nic już nie zakłóca harmonii naszego życia. — Ustawia szklankę na tacy, przygotowuje kanapki. Kupić wędlinę. Kończą się pomidory. Są coraz droższe. Owoce dla dzieci. Laryngolog. Drzwi. Kran. Młynek.

Paweł nie podnosi oczu znad gazety. Wyciąga rękę, błędząc bierze ze środka talerza kanapkę, plasterek ogórka ześlizguje się, spada na stół. Matko święta, jak długo on potrafi wałkować jedną i tę samą gazetę, w co się tak wczytuje? myśli Łucja zestawiając szklankę z tacy, nawet nie powie: dziękuję; cham. JEŃCY NIXONOWS-KIEJ POLITYKI JUTRO REALIZACJA PLANU... czego realizacja? — Łucja przysuwa się bliżej męża, zaciekawiona, co zostanie zrealizowane, lecz petit pod tytułem jest zbyt drobny, nieczytelny, a koniec tytułu ginie przykryty łokciem Pawła. DALSZA REALIZACJA? realizacja! realizacja! — cóż za głupie słowo. — Realizacja? — powtarza półgłosem, śmieje się.

— A tobie co? — pyta Paweł, wsuwając koniec kanapki do ust.



— Nic szczególnego — odpowiada Łucja. Rozbawiona, powstrzymuje śmiech, wyobrażając sobie wyraz twarzy męża, gdyby mu wyjaśniła, co ją tak rozbawiło — niedorzeczność słowa: realizacja. Kilkakrotnie je powtórzyć, raz za razem, a staje się obcym, niezrozumiałym tworem językowym, karykaturalnym dźwiękiem, który nic nie oznacza, niczego nie wyraża, jak słomasto-masłoma, myśli Łucja. Chciałabym być małą dziewczynką i mieć odwagę głośnego wyrażania wątpliwości: dlaczego stół nazywa się stół, a nie inaczej, mammo? Krzesłokrzesłokrzesło; niebonie-boniebo, a gdyby odwrotnie — przestawić sylaby i nazwać niebo — bonie, mammo? Teraz już mi nie wypada i śmiech pewno by wzbudził w moim mężu, litościwe pobłażanie dla ubóstwa intelektualnego jego żony; czy jemu kiedykolwiek się zdarzyło — jak mnie, gdy byłam mała — siedzieć w ciemnym kącie za olbrzymią, trójdrzwiową szafą, wśród pajęczyn i kurzu łaskoczącego w nosie, i powtarzać, chichocząc cichutko: słomastomasło-ma — jak najciszej; nie wolno wzbudzić ciekawości dorosłych i narazić się na niebezpieczne pytanie: co cię tak rozśmieszyło? Szafa pachniała naftaliną, bagnem; szerniała politura błyszczała niesamowicie; trzaski i szmery dobywające się z przepastnego wnętrza przerażały mnie, lecz obawa przed ciekawością dorosłych brała górę nad strachem przed tajemnicą szafy; chowałam się do mojej kryjówki jak wiewiórka w dziupli, i chłonąc dźwięki, zapachy, mrok, powtarzałam — słomastomasłoma.

— Z czego się śmiejesz? — pyta Paweł. \*Łucja wzrusza ramionami.

— Śmieję się. Tak sobie.

— To nawet do ciebie podobne. Śmiać się bez powodu — mówi Paweł, kosztuje herbatę, krzywi się: — A co to za świństwo?

— Herbata. Z cytryną. I z sorbovitem — uśmiecha się mściwie Łucja.

— Zwariowałaś? Chryste Panie, ja z tobą nie wytrzymam, co za kawały?! — Paweł odsuwa gwałtownie szklankę. Szklanka przewraca się, mętna struga otacza spodek, wsiąka w serwetę.

— Widzisz, co narobiłaś? — Paweł wskazuje na zalany stół. — Serweta zniszczona i politura się zniszczy, szybko, sprzątnij!

— Ja zrobiłam? Przecież ty przewróciłaś szklankę — odpowiada Łucja, sięga po papierosy, zapala. — Chyba nie zaczniesz mi wmawiać, że ulegam halucynacjom?

— Słuchaj, Łucja — mówi Paweł.

— A słucham, słucham — Łucja wydmuchuje dym, strząsa popiół na talerz z kanapkami: cztery kromki, cienko ukrojone, bo Paweł lubi chleb cienko krojony, posmarowane grubo masłem, bo Paweł lubi mieć posmarowane grubo masłem, przybrane plasterkami szynki i pomidora.

— Popielniczka! — ryczy Paweł.

— A ja mam ochotę nie do popielniczki, lecz właśnie do talerza, przeszkadza? — mówi Łucja i powoli wygasza papierosa na samym środku wypracowanej kanapki. — No i co? Nie mogę? Tobie wolno strząsać popiół na podłogę, na dywan, na tapczan i za tapczan, do doniczek z kwiatami, do flakonów,

wszędzie, gdzie palisz, tak sobie, po prostu od niechcienia, nie krępując się strząsasz popiół, gdyż ukochana żona odkurzy, wymiecie, posprząta, wymyje, wyszoruje, wypierze, wyczyści! A mnie nie wolno? — ciągnie Łucja i widzi, jak żyłka na czole Pawła nabrzmiewa i pulsuje.

— A w cholere! — wyrzuca z siebie Paweł, gwałtownie zasłania się gazetą.

— Czyta gazetę! Wciąż czyta gazetę. Ty się jej uczysz na pamięć?

— Zabronisz?

— Tu jest dom, a nie czytelnia ani klub prasy.

Paweł już nie odpowiada, schowany za gazetą. Łucja słyszy jego przyśpieszony oddech, jest wściekły, myśli zadowolona.

— Przychodzi z pracy o trzeciej, rozbiera się, nawet ręk nie umyje, bo i po co? siada w fotelu i czekając, aż obiad zostanie podany, czyta gazetę. Nawet nie powie dzień dobry, co słyhać, jak dzieci. Ma rację, bo nigdy nic nie słyhać, zawsze to samo, aż do obłędu. Czasem zapyta: co na obiad? albo: kiedy obiad, jeszcze nie ma? ja przychodzę i nie ma obiadu? co ty robisz przez cały dzień? i dopiero po wyrażeniu swego oburzenia idzie do pokoju, zasiada w fotelu, czyta gazetę. Zjada obiad, gazeta leży w zasięgu ręki, przy deserze już nie wytrzymuje, zasłania się gazetą, czyta — ciągnie Łucja. Wie, że Paweł słucha, niech słucha, niech się dowie, co o nim myślę, cieszy się ze swojej nagłej odwagi. — Gdy zje obiad i poklepie dzieci pieszczotliwie po policzkach, rozwała się na tapczanie i czyta gazetę. Potem, jeżeli nie wychodzi do znajomych — ogląda telewizję, poczytując gazetę. Potem zasiada w fotelu w oczekiwaniu na kolację, czyta gazetę, podczas kolacji czyta gazetę, już swobodnie, wolny od dzieci i ode mnie, my mu przeszkadzamy, z ledwością wytrzymuje nasze towarzystwo przy obiedzie, dzieci są hałaśliwe, przeszkadzają sylabizować gazetę, dzieci najlepiej zamknąć w piwnicy, chociaż przy kolacji niech ma spokój, powtarza, więc ma spokój, dzieci już w łózkach, zżera kolację sam, czytając gazetę. Gazeta ma osiem stron, niedzielne wydanie dwanaście, zastanawiam się niemal codziennie, gdy tak patrzę na niego pogrążonego w pasjonującej lekturze, zastanawiam się ze szczerem, przysięgam, ze szczerem zdziwieniem — ciągnie Łucja swoją tyradę błada z wściekłości — czy przypadkiem on tej gazety nie uczy się na pamięć? Słyszysz? — doskakuje do Pawła, wydiera gazetę, drze na drobne kawałeczki, rozrzucą po pokoju, zasypuje stół, dywan, podłogę, Pawła, siebie. — Nie będziesz więcej czytał gazety! Nie będziesz! — urywa wyczerpana swoim wybuchem, przerażona konsekwencjami, które spowoduje.

— Nie będziesz — powtarza cicho, czując swoją śmieszność, niedorzeczność, stomastomasta, myśli, gdzie znaleźć kąt, w który by można się wcisnąć i z dziecinnie naiwnym zdziwieniem powtarzać śmieszne słowa, które nic nie znaczą, niczego nie określają?

— Czy ty zdajesz sobie sprawę? — zaczyna Paweł, otrząsając z siebie strzępki gazety. — Czy ty zdajesz sobie sprawę, co zrobiłaś?

— Czy ty... — ciągnie Paweł. Łucja schyla się. Klęka. Pełzając po podłodze, na kolanach, zbiera zadrukowane papierki. Składa je porządnie, rozprostowuje, wygładza.

— Popamiętasz! — woła Paweł. Niech krzyczy, myśli Łucja, czołga się na czworakach, z pieczołowitą, bezsensowną troską podnosi strzępki gazety, nawet gdybym je ułożyła z powrotem w gazetę, nic się nie zmieni, myśli Łucja, akt buntu przeciwko gazetce? gazeta przyczyną naszego rozkładu, wzajemnej niechęci, nienawiści, nietolerancji? A wszystko przez to głupie słowo: realizacja. I gdzie się ono podziało, przekłute, szukam, szukam, nie umiem znaleźć, może jest pod stołem? Kładąc się na brzuchu Łucja wpełza pod stół. Nogi Pawła w przydeptanych domowych pantoflach stoją nieruchome, dostojne, myśli Łucja, i ma nieprzepartą ochotę strzelić w nie pstryczka; głos Pawła dudni, przewala się nad głową Łucji, popamiętasz, zobaczysz; o, Boże, myśli Łucja, cofając dłoń od nogi Pawła, ależ tu naśmiecił, pokruszony chleb, wdeptany plaster pomidora, nawet szczypiorek, trzeba będzie jutro przemyć wodą z octem ten dekoracyjny dywan, reprezentację czołową naszego dobrobytu i wysokiej stopy życiowej; dywan z Cepelii za czternaście tysięcy złotych. Dzieciom nie wolno się na nim bawić, ja powinnam fruwać, jedynie prawowity właściciel posiada prawo wdeptywania resztek jedzenia oraz trzymania dostojnych nóg na reprezentacyjnym dywanie, który nie powinien się zniszczyć ani ubić, ani wytrzeć, gdyż zawsze musi wyglądać na dywan z Cepelii za całe czternaście tysięcy, broń Boże, żeby na mniej; myśli Łucja wyskubując z miękkiej, puszystej wełny szczypiorek; a trzepałam parę dni temu, i po co? przecież wcale nie życzę sobie, aby wciąż wyglądał na czternaście tysięcy; a krzyczę na dzieci, nie pozwalam rozkładać klocków ani jeździć samochodzikiem po dywanie tatusia, i odkurzam szczotką zamiast odkuraczem, obawiając się zniszczyć splot, miękkość, puszystość. Zamiast udeptać, ugnieść, ledwo ośmielam się dotykać szczoteczką, po co? Oczywisty bezsens moich czynności, bzdura i bełkot, jak to kłamliwe słówko, którego szukam pod stołem, koło nogi Pawła, myśli Łucja, podnosi jeszcze jeden skrawek gazety. Łydka Pawła, z zadartą nogawką spodni, obciągnięta brudnym trykotem, znajduje się na wysokości jej twarzy, gdybym go ugryzła w łydkę, oddałby mnie do domu wariatów, myśli Łucja, żona mu zwariowała, cóż za nieszczęście, taka młoda jeszcze kobieta wlaźła pod stół w poszukiwaniu małego słowa „realizacja” i zwariowała, wyrazi współczucia, panie dyrektorze, i najszczęśliwszego ubolewa-

nia

—

proszę przyjąć od zawsze życzliwych i oddanych panu pracowników, czy chociaż była szczepiona przeciwko wściekliwości, chichocze Łucja, popamiętasz, krzyczy Paweł ponad stołem, czy zaszczepiono mnie przeciwko wściekliwości, myśli Łucja, to ważne, rozstrzygające: jeżeli szczepiona, nieszkodliwa, ależ tak — szczepiona, codzienne zastrzyki uodparniające na odwagę, godność, uczciwość, prawdę. Psiak, który nie ugryzie, tylko kłapie spróchniałymi zębami — powinno się go uśpić. Jak pies waruję przy nogach

mego pana, wybierając z reprezentacyjnego dywanu resztki jedzenia, tylko nogi mi wystają poza stół, a może mój pan przemawia do moich nóg? Popamiętasz, zobaczysz? Zupełnie jak Alicja z Krainy Czarów: Szanowna Prawa Nogo koło Lewej Nogi Stołu, upominam cię, że jeszcze się doigrasz.

— Łucja!

Łucja wysuwa się spod stołu. Paweł siedzi w fotelu wyprostowany, sztywny — zasadniczy, myśli Łucja.

— Słuchaj — mówi Łucja, podnosząc się na kolana — powiedz mi, z kim ty rozmawiasz? Nie nadajesz się na Alicję z Krainy Czarów, jesteś ekonomistą i wiesz, co to jest długość i szerokość geograficzna.

Paweł łapie oddech, otwiera usta; przestał być zasadniczy, myśli Łucja i wykorzystując jego zaskoczenie, kończy:

— Na kogo wrzeszczałeś przed chwilą? A właściwie: do kogo? Do mojej prawej nogi koło lewej nogi stołu?

Paweł porusza się w fotelu, dolna warga opada w zdumieniu, zęby, myśli Łucja, jakie ostre, jakie białe — ale dlaczego białe? — nie wolno

kupować droższej pasty, tylko najtańszą, za trzy złote, wystarczy taka, podobno jeszcze lepiej oczyszcza zęby, jeżeli ciebie stać na kupowanie pasty po dwanaście złotych tubka, mówił Paweł potrząsając przed nosem Łucji pastą „Pollena”, to, moja droga, wybacz, ale ja ci nie nastarczę, jakby to zębów nie dało się umyć i zwykłą pastą, na cztery osoby wychodzi w naszym domu tubka pasty tygodniowo, sprawdzałem; cztery razy dwanaście to czterdzieści osiem złotych, cztery razy trzy czyni zaledwie dwanaście, różnica — czy uważasz, że różnica trzydziestu sześciu złotych miesięcznie zaoszczędzonych bez wysiłku nic nie znaczy? mieć trzydzieści sześć złotych, a nie mieć, myśli Łucja, przypominając sobie Pawła, znęcającego się nad tubką pasty Pollena, oto jest pytanie — Hamlet naszych czasów, mieć a nie mieć, oczywiście — mieć! gdyż: za to można kupić dwie paczki masła dodatkowo albo trzy kilogramy cukru, powiedział Paweł odkładając z niesmakiem pastę na półeczkę przed lustrem — albo dwanaście i trzy dziesiąte jajka więcej, myśli Łucja, albo dziewięć i siedem ósmych kilograma chleba więcej, o cholera, jaka oszczędność na zwykłej paście; tylko „Przemysławki” sobie nie pożałuje, bo to już reprezentacja: „Przemysławka”, wygolony policzek, i cały pachnący, świeżutki, czyściutki: tubka pasty na tydzień, delikatna, subtelna wymówka, dyplomatyczne upomnienie pod hasłem — oszczędzajmy na paście do zębów, myśli Łucja, bo: oszczędnością i pracą ludzie się bogacą, kto nie pracuje, ten nie je, żeby kózka nie skakała, toby nóżki nie złamała — nie, o kózce przypomina dzieciom, pedagogicznie; a ja natomiast po-

winnam je odpowiednio, na poziomie wychowywać, bo: czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na

starość trąci, a pasty do zębów zbyt dużo się zużywa, dzieci należy od wczesnych dni wdrażać w systematykę oszczędzania. O, właśnie. Złote myśli mego wspaniałego męża, które powinnam wyhaftować na serwetkach lub makatkach.

— Wariatkę z siebie robisz bez przerwy — słyszy Łucja. — O co ci chodzi? Cóż mają znaczyć bzdury, które pleciesz? To są napady hysterii, to paranoja, gazeta jeszcze nie przeczytana, do psychiatry...

— Nie obawiaj się, zaszczepiłam się przeciwko wściekliwości — mówi Łucja.

Paweł milknie.

— A czy wiesz ty chociaż, ile oszczędzamy na paście do zębów w ciągu roku? Koniecznie musisz obliczyć — mówi Łucja.

Paweł podnosi do góry rękę.

— W restauracji trzeba zjeść do ostatniego kęsa, bo za wszystko, co na talerzu, należy zapłacić. Nie odliczą. Gazeta zapłacona, więc należy przeczytać od deski do deski, tak, to moralny obowiązek.

— Boże, daj cierpliwość! — woła Paweł.

— Bóg się schował do mysiej norki, zakrył oczy, zakrył uszy, wstydzi się sam przed sobą, że stworzył taką śliczną parę małżeńską: Łucję i Pawła Gąsiorowskich.

— Ty się jednak doigrasz, to wszystko marnie się dla ciebie skończy — krzyczy Paweł.

— Jeżeli tak twierdzisz? Wiesz najlepiej — zgadza się uprzejmie Łucja, kładzie przed mężem poskładane strzępki gazety. — Masz, poczytaj.

— Ja ciebie!... — krzyczy Paweł.

— Ja ciebie, ty mnie — uśmiecha się Łucja. — Film. Cóż to byłby za film. Chociaż od przeszło dwóch lat nie byłam w kinie, sądzę — że stanowimy wyjątkowo filmową parę. Ty i ja — przed chwilą, samo życie. Cudowne, znakomite, tylko kręcić. Wajda, Antonioni, panowie, kupcie, sprzedamy niedrogo. Ta scena: ja pod stołem, z twarzą rozpląszoną przy twoich nogach, obutych w przydeptane ohydnie pantofle. Paweł! Czy rzeczywiście musisz dzielić siebie na domowego i wyjściowego? Twarz domowa — i wyjściowa; buty domowe i wyjściowe, spodnie, koszule, marynarki. Życie też masz domowe i wyjściowe. Po domu, gdy z zewnątrz nikt nie patrzy, można chodzić w takich naleśnikach, dłubać w nosie. Panie, panowie, mój mąż za chwilę się ukáže, pośpieszył do łazienki zmienić pantofle. Zaraz się zjawi elegancki, wypachniony i w mało używanych pantoflach reprezentacyjnych z prawdziwej skóry importowanej! Proszę się rozgościć, usiąść, fotele z importu, dywan z Cepelii, biurko z Desy, pudełko z odznaczeniami, trzy tysiące książek, wszystkie serie, prawda, że mój mąż niezwykle starannie dobiera i ustawia książki na regałach, książki są takie dekoracyjne, nasza biblioteka powiększa się systematycznie każdego miesiąca, o, jest mąż, proszę zwrócić uwagę na niedbałą elegancję jego zamszowego wdzianka, szyk kroju

kołnierzyka: koszula angielska i te jeszcze skrzypiące pantofle domowe. Kiedyś oglądaliśmy wspólnie w telewizji film Tatiego, nie spodobał ci się, pamiętasz? — zmiotłeś ten film jednym maleńkim ruchem ręki: bzdury! A pamiętasz tę fontannę, automatycznie

—

—

działającą, która stała w samym środku reprezentacyjnego ogródka? udając, że jest delfinem, skądże zwykłą fontanną! Na co dzień nieczynna, pani domu włączała ją wówczas, gdy zjawiali się goście. Przypominasz już sobie ten film? Raz przyszedł chłopak na posyłki i pani domu również włączyła swego delfina. A potem czym prędzej wyłączyła, dla chłopca do posytek zużywać reprezentacyjną fontannę? O, Boże — śmieje się Łucja — wczoraj Teresa wpadła po sól, a ty rzuciłeś się do hallu po zamszową marynarkę i skórkowe kapcie. Można by umrzeć ze śmiechu. Pantofle dla gości, marynarka dla gości, uśmiech dla gości, uprzejmość dla mnie przy gościach, Łucjo droga, zapalisz? Łucjo, kochanie, służę ci ogniem, Łucjo, złota moja, nie stój w otwartym oknie, przeziębisz się. Państwo widzicie sami: moja żona ani chwili nie usiedzi spokojnie, ona nie umie odpoczywać, zawsze w wiecznym ruchu — żywiot, ale uroczy, żywiot, ale z wdziękiem! Zdrowie Łucji! Ten dom jest zasługą Łucji. Nie dorobiliśmy się niczego, gdyby nie jej złote, pracowite ręce. Pozwól, że je ucałuję. Zdrowie spracowanych rąk mojej żony. Jezu, myśli Łucja, i to wzruszone załamywanie się głosu, gdy przemawia: pieczeń, którą jemy, jest zasługą Łucji. Ten tort zawdzięczacie pań stwo Łucji. Panie darują, wybaczą, co powiem: zebranych tu panom życzę takich żon, jak moja Łucja. Żałuję, że Łucja może być tylko jedna, doprawdy, żałuję. Kobieta, która uznała wyższość rodziny nad ambicjami. Czy państwo wiecie, że kiedyś zamierzała zostać aktorką? I nawet była studentką w szkole aktorskiej? Prorokowano mojej żonie wspaniałą przyszłość, sądzę, że niewiele kobiet stać byłoby na tak fascynujący hart ducha, aby blask sławy rzucić dla cieni niewdzięcznego domu? Łucjo, wstań, uśmiechnij się, kochana, państwo piją twoje zdrowie. Jezu, Jezu, myśli Łucja, zaciska ręce w pięści. — A gdy państwo za drzwiami — krzyczy — uprzejmości, troskliwości, całowanie rączek, wzruszone deklamacje, toasty, zachwyty też za drzwiami, rusz się, sprzątnij, co stoisz jak krowa, uważaj, idiotko, bo potłuczysz, dlaczego ty kłamiesz, Paweł? We wszystkim! Zawsze i wszędzie! — krzyczy. — I ja kłamię, nie myśl, że potępiam tylko ciebie, ja też, uśmiecham się, chociaż mnie mdli, mówię: dobrze, kiedy myślę: źle, zgadzam się, kiwając głową, kiedy skóra na plecach cierpnie mi z odrazy. Oto ja: twoja ukochana żona, zaciskająca w zębach jakieś słowo, aby nim rzucić w ciebie jak kamieniem, jeśli nie może do czegoś się przyczepić, to sobie sama wymyśla powód. Woła: to jest piękne, myśląc: to jest obrzydliwe. Wszystko pomiędzy nami jest kłamstwem. Nasz dom. Ty. Ja. Nasze życie. Te książki, których nikt nie czyta, a które kupujesz z punktualnością godną zegarmistrza, każdego pierwszego, w dniu wypłaty, odbioru pensji, żelazna kwota: pięćset złotych na książki. Jezu, to są trupy, nie książki. Całe rządy trupów, bez nadziei na wskreszenie. Panowie, oto autentyczne dekoracje, naturalni aktorzy, kręćcie film, uwiecznijcie nas po wsze czasy, pokażcie ludziom, jak się kochamy. Jak dwa gołąbki. Prześliczne, gruchające, spijamy sobie z dzióbków nienawiść. A ja pod stołem, moje nogi wystają zza serwety, ty w fotelu — grzmący słusznym głosem: popamiętasz, zobaczysz, doigrasz się! — woła Łucja.

— Cóż jednak innego ci pozostało, mój biedaku? — dodaje z żalem po chwili.

— Rzeczywiście. Nie mam żadnych złudzeń — z trudem wymawia Paweł, szczęki ma zaciśnięte, jest błądy. Wstaje. Wymija Łucję nie patrząc na nią. Wychodzi z pokoju, z całej siły waląc drzwiami.

— Z Bogiem, z Bogiem, a nie wracaj. Utop się — mruczy Łucja. — Dwa gołąbki. Dziubek w dziubek. Ząbek za ząbek. Oczko za oczko. Boże, i dlaczego? — pochyla się, podnosi porzucane pigułki eucardyny, chowa fiolkę. Kikut papierosa sterczy jak porzecz wetknięty zdobywczco w plasterek pomidora. Trzeba wreszcie sprzątnąć ten bajzel, myśli Łucja. Wywietrzyć pokój. Otworzyć okna na całą szerokość, wpuścić dużo świeżego powietrza, jak najwięcej, śmierdzi tu nami, nim i mną, tanią pastą do zębów, tandetną wodą kolońską, chlorofilowym kremem do golenia, moim trującym oddechem, potem, który spływał mi strużkami po plecach; cały dom wywietrzyć, zdezynfekować, otworzyć okna, szeroko.

Ale stoi, bezsilna, z czołem przyciśniętym do szyby, za którą fabryczny mur pogłębia ciemność wieczoru, Boże, myśli Łucja, czując na czole wilgotny chłód szyby — i tak zawsze, i nigdy nie będzie inaczej? A przecież kochałam, myśli, lecz zaraz dorzuca powątpiewająco: chyba? chyba kochałam? i zaprzecza namiętnie, jakby skalana dopuszczeniem do siebie podobnej myśli — nie, niemożliwe, nigdy, wydawało mi się tylko, że kocham, chciałam kochać; przełyka gęstniejącą ślinę, coż to za słowo, myśli, że wywołuje mdłości? doprowadza do wymiotów?: kochałam?

co to jest: kochać? — a może to jest piękne? jednak? a ja nigdy tego nie poznam? nie potrafię nawet pragnąć? — wstrząsa się: zawsze wilgotne, zawsze spotniałe dłonie Pawła, jego palce z wypolerowanymi do połysku paznokciami — małe lusterka, czepliwe, przysysające się główki, którymi wodzi po jej ciele; lepka pieśczoła przykleja się do piersi, mokre usta, chropawa szorstkość obcego ciała, zdyszany, spocony szept: dobrze ci?, prawda, dobrze? i swoje dłonie zaciśnięte wysoko ponad jego plecami w zrozpaczoną pięść — piękna? Ale kiedyś — myśli Łucja i chce przypomnieć sobie owo „kiedyś”, bo może z jego wspomnieniem lepiej, łatwiej byłoby znosić siebie — więc kiedyś kochałam? kiedyś? on mnie kochał? — Kto mnie kochał — krzyczy w otwarte okno, przypada twarzą na parapet, ciemność wieczoru jak studnia głęboka, bez nadziei, teraz, myśli Łucja, och, teraz to już nie ma żadnego znaczenia. — Najmniejszego — mówi głośno. Bo tak, jak jest, będzie zawsze, coż by się mogło zmienić?

Cisza w domu. Naprawdę poszedł? — myśli Łucja. Zamyka okno. Październikowy wieczór przejmuje

chłodem.

— Zimno mi — mówi, rozciera ramiona. Słucha: cisza. Myśli z nadzieją: rzeczywiście poszedł?

Stawia na stół flakon z astrami, składa poplamioną serwetę, trzeba zapastować parkiet w hallu, myśli, przysuwa fotel Pawła na swoje miejsce, trzeba koniecznie jutro wymyć ten fotel, wyszorować w gorącej wodzie z proszkiem. — Łucja kopie raz po raz fotel, i jeszcze, i jeszcze.

Nagle, z ulicy, dochodzi ohydny pisk opon.

Przekłęte skrzyżowanie, myśli Łucja, wyciera z politurowanego blatu wilgotną plamę, trzeba będzie jutro odświeżyć błyszczem stolik, Paweł ma rację, jest plama. Czy naprawdę obchodzi mnie ta plama? Zostawić ją i niech się szczyrzy. Plama, plamy, plamki, kto mi każe je usuwać? Jeżeli nie potrafiłam być nikim innym, jak tylko żoną, niechaj w moim domu nie będzie ani jednej plamy. Dlaczego nie potrafiłam?

Głosy ulicy stają się nahalne, przekłęte skrzyżowanie, mruczy Łucja, bez sygnalizatorów świetlnych, nie ma dnia bez wypadku, myśli, idąc do swego pokoju, aby zobaczyć przez okno wypadek. Wychyla się: czarny tłum, zbity wokół zarzuconego w poprzek jezdni samochodu. Przejechał człowieka na pasach, myśli Łucja, pewno pijany; ludzie krzyczą, tłoczą się; tramwaje stoją, długi korek samochodów wzdłuż ulicy, "okropne, na pasach, otrząsa się Łucja, zamyka okno, wraca do gabinetu Pawła, czy ja nigdy nie sprzątnę po tej kolacji? myśli, przecież już dziewiąta, a jeszcze tyle pracy: zupa, spodnie Jacka, prasowanie... — Pośpiesz się, Łucjo — mówi do siebie, słyszy wycie syreny, zatyka uszy, nie znosi syren, a więc poważny wypadek, na pasach, człowieka, myśli Łucja, może zabił? Boże święty, Baśka w przyszłym roku do szkoły, szkoła po drugiej stronie ulicy, trzeba będzie odprowadzać i przyprowadzać, jak puścić dziecko przez tak ruchliwe skrzyżowanie, i czemu nie ustawią sygnalizatorów?

Znowu przeciągłe, świdrujące w mózgu wycie, Łucja biegnie z powrotem do swego pokoju, tłum jeszcze zgęstniał, przybrał na sile, faluje wokół samochodu, przewala się całą szerokością

chód, myśli Łucja. Dozorca zamiatał ulicę, już by przybiegł z wiadomością.

W szybie dostrzega swoje niewyraźne odbicie, kontury rozmazanej twarzy. — Jesteś zwykłe ścierwo — mówi. — Nawet na uczciwą nienawiść cię nie stać. On ciebie zabijał papierową kulką, ty wyręczyłaś się szczęśliwym zbiegiem okoliczności i błagałaś Boga, aby w twoim imieniu stał się mordercą.

Ktoś dzwoni. Łucja blednie: Paweł, myśli, ma klucze, więc może jednak? — i potykając się biegnie przez długi pokój, przez hall, korytarz — jak daleko! — do drzwi wejściowych, dozorca dziś nie zamiatał ulicy, znaleziono dokumenty, Paweł zawsze nosi przy sobie dokumenty, Paweł ma klucze, nie dzwoniłby, kto inny może przyjść teraz? Boże, dobry Boże — Łucja otwiera drzwi.

— Dobry wieczór — mówi Teresa. Wchodzi. Łucja opiera się plecami o ścianę.



— Łucja, co tobie? — przytrzymuje ją Teresa.

— Nic. Nic — mówi Łucja z rozpaczą, której pragnęłaby się wyprzeć. — Myślałam, że to... — przymyka oczy i dopiero wtedy, z zamkniętymi oczami, może skłamać: — ...że to on, Paweł.

— Paweł? Widziałam go kilkanaście minut temu, w bramie, gnał gdzieś, wściekły jak wszyscy diabli. Pokłóciliście się znów? — pyta Teresa przyglądając się Łucji. — Łucja, wyglądasz ,tak, jakbyś miała za moment zemdleć. Co się stało?

— Nie, nic — odpowiada Łucja unikając wzroku Teresy. — Chodź, pójdziemy do kuchni. Albo do gabinetu.

— Może masz gorączkę? — Teresa dotyka czoła Łucji, rąk. — Wszystko jedno, musisz być chora, ręce jak sople lodu.

— Chodź — ponagla Łucja. — I nie patrz tak na mnie. Nie chcę..

— Powinnaś pójść do dobrego lekarza, wykitujesz — mówi Teresa, obejmując Łucję. — Położę cię do łóżka.

— Daj spokój, Teresa — protestuje Łucja. — Nic mi nie jest. Zupełnie dobrze się czuję. Nawet bardzo dobrze. Napijesz się kawy?

— Kawy? Na noc? Żeby całą noc nie spała? — woła Teresa. Wchodzą do kuchni, Łucja zapala światło.

— A herbaty z plackiem drożdżowym?

— • Żeby mi w biodra poszedł ten twój placek? — mówi Teresa, odsuwa stołek, siada. — Matko Boska, jak tu czysto, a ja butów nie zdjęłam, naniosiłam ci błota.

— Nie szkodzi, i tak będę 'jeszcze dziś myła posadzkę. I w ogóle czekają mnie generalne porządki. Wszystko jest upačkane.

— Jeszcze nie widziałam u ciebie bałaganu. Gdzie ty masz ten swój bałagan, powiedz?

— Wszędzie — Łucja robi okrągły ruch. — Wszędzie. Kran przecieka, kafelki brudne, okno, w szafach dwa tygodnie nie sprzątane, wszystko, wszędzie.

— Jezu, nie wytrzymam — woła Teresa — u mnie, to jest dopiero bałagan.

— Bo ty jesteś inna — mówi Łucja z żalem.

— Po prostu: normalna. Nie wylizuję jak ty mieszkania. Bo je liżesz. Ohyda.

— Daj spokój.

— Takie czyste mieszkanie jest obrzydliwe. I te biedne dzieci też, bawią się i nie widać, że się bawią,

ani jedna zabawka rzucona na środek pokoju, wszystko na swoim miejscu.

— Powtarzasz mi to za każdym razem.

— I będę powtarzała. Jak można życie tracić na sprzątanie, nie rozumiem? Zmusz przynajmniej Pawła, niech da na gosposię, sprzątaczkę, prze-, cież ty się wykańczasz. Młoda kobieta, a wygląda na moją babkę. Ani do fryzjera, ani do kosmetyczki, kupuje jakieś łachy w przecenie, przerabia je po sto razy i jeszcze potem szyje z nich Baśce sukienki. Czemu się śmiejesz? — pyta, bo Łucja wybuchła śmiechem.

— Tak sobie — mówi Łucja. ?— Wiesz, wczoraj udawałam, że jestem młoda. Sterczałam w lustrze z pół godziny. Rozpuściłam włosy na ramiona, umalowałam sobie oczy, usta, włożyłam lepszą sukienkę — śmieje się — a potem, potem poszłam na strych powiesić bieliznę. Dlaczego się nie śmiejesz, Teresa? Zupełny brak poczucia humoru.

?— O Jezu! — woła znowu Teresa. — Dobrze, że ty masz poczucie humoru. Powiesić się można.

Łucja milczy. Mamo, goście przyjdą? zapytała Baśka, widząc matkę ubraną jak do wyjścia. Kiedyś, myśli Łucja, tak się czesałam: włosy na ramiona, madonno, mówił Paweł.

— O co żeście się pokłócili? — pyta Teresa. Łucja wzrusza ramionami. Patrzy z niechęcią

na Teresę: jest piękna. Zadbana, elegancka. Chodzi do fryzjera, do manicure, bieliznę oddaje do pralni, bywa na każdej premierze w teatrze, jeździ zimą do Zakopanego, nie brzydzi się miłości ani męża, nie musi zjadać w restauracji do końca zimnych ziemniaków. Obca.

— O co? Bo ja wiem, o co? Czy w ogóle wiem, o co my się kłócimy? O to, co zawsze. O wszystko. Jedno słowo, spojrzenie, gest i już kłótnia. Zmarszczka na czole, wydęcie wargi. Ale to ja, ja! nie Paweł. Ten nieskazitelny przedziałek na głowie doprowadza mnie do szału — woła Łucja, jej ręce pełzają po kuchennym stole, supłają palce w jakieś powikłane konfiguracje. — Budzę się rano i jestem przerażona: czeka mnie jeszcze jeden dzień do przeżycia, zaraz trzeba „wyskoczyć” do sklepu po mleko, świeże bułki; zaraz rozlegnie się człapanie jego przydeptanych pantofli, zaraz go zobaczę, jeszcze w pidżamie, spodnie opadają, oczy zalepione snem, a już uczesany, nieśmiertelny przedziałek na głowie, włoski rozdzielone starannie, dokładnie — Łucja wybuchła suchym śmiechem, podobnym do szlochu, palce rozbiegają się po stole w panicznej ucieczce; Łucja, pośpiesz się, podaj mi koszulę, gdzie dla mnie skarpetki, co z moim krawatem, ostudź mi kawę, posmaruj bułkę, czemu miodek nie ma, gdzie ser, te jajka są zbyt twarde, nawet jajek na miękko nie potrafisz ugotować? aż wreszcie, ubrany w wyjściowy garnitur, koszulę non iron, ze świeżą chusteczką do nosa w kieszeni, skropioną obficie „Przemy-sławką”, pozostawiając za sobą strugę zapachów, zewnątrz wyczyszczony, zamyka za sobą drzwi i wtedy zostaję w wielkim domu, sama, zaraz dzieci się obudzą, trzeba je umyć, ubrać, nakarmić, ale nim wstaną i zaczną wołać: mamó! chodź, mamó, pocałuj, mamó, Baśka mnie szczypie, mamó, bo Jacek mówi, że jestem głupia, trzeba szybko, bezzwłocznie, nie zwlekając, uprzętnąć to, co zostało po Pawle, jego wymiętą pościel, jego pidżamę ze śladami potu, jego naczynia, w których jadł jajka, ser, wędlinę, szklanę, z której pił kakao albo czekoladę; wyszorować po nim zlew w łazience, obryzgać pastą do zębów za trzy złote i zielonym kremem chlorofilowym do golenia, wywietrzyć smugę zapachów, otworzyć okna, myśli Łucja: szybko, jak

najszybciej, bo dzieci zaraz się obudzą, podobno matki myślą z czułością o śnie swoich dzieci, podobno z czułością oczekują na ich przebudzenie i w tkliwość je wprawia zaróżowiony policzek, cień rzęsy, nie mam czasu przyglądać się snom swoich dzieci, nie widzę, jak się budzą, zanim je zobaczę — nie pamiętam, jak wyglądają, wiem tylko, co im potrzebne, spodnie załatać, uszyć sukienkę, wycisnąć sok z marchwi, podawać zimą witaminy, oprąć, obszyć, nakarmić, aby wyglądały czysto, zdrowo, porządnie. Upycham je wieczorem do łóżek, byle szybciej, byle mieć z głowy, śpijcie, nie marudźcie, cmok, cmok, czułość odfajkowana pośpiesznie, w biegu między kuchnią a pokojem Pawła, w którym on już czeka, aż podam kolację; już nawet nie proszą mnie o bajkę na dobranoc, wyręczam się telewizją, dwa małe psiaczki płaczące się pod nogami, poszły won, do budy, cmok, cmok.

— Straszne •— odzywa się Teresa.

?—? Co? co? — pyta Łucja. Zapomniała o jej obecności.

?— Te twoje ręce — wyjaśnia Teresa.

Łucja nie rozumie: ręce? Jakie ręce? Rozgląda się wokoło, Teresa siedzi naprzeciwko, ach, tak, Teresa przyszła, Paweł nie wpadł pod samochód; ręce? o co jej chodzi?

— Co ty z nimi robisz? — mówi Teresa.

— Ach, ręce — Łucja spostrzega je, leżą na stole, obce, poplątane jak korzenie drzewa wyrwanego z ziemi. Cofa gwałtownie ręce ze stołu, zdradzona przez nie, chowa szybko za plecy.

— Nie patrz tak na mnie — mówi Łucja. — Ja... nie panuję nad nimi.

— No, tak — odzywa się po chwili milczenia Teresa, zapala papierosa. — Rozumiem. A on ich nie widzi?

— Nie wiem, Teresa. On niczego nie widzi. Zresztą, wolę, tak mi wygodniej, gdy nie widzi. Zresztą, może i widzi. Lub po prostu stara się nie widzieć. Po co sobie komplikować poczucie własnej szlachetności? Ja również wolę niczego nie widzieć; udaję, że oślepiam; staram się ze wszystkich sił być ślepa i głucha. Bardzo dobrze dziś wyglądasz, mówię, gdy siadamy do obiadu, widocznie udał ci się dzień w pracy, ty w ogóle znakomicie wyglądasz, okaz zdrowia, chciałabym mieć twoje zdrowie, zarzucam go oszukańczymi komplementami, jednocześnie rejestrując: czarne kręgi pod oczami, cera ziemista, zmęczony; lecz na samą myśl, że on może czuć się zmęczony i — jak każdy z nas — ma prawo do zmęczenia, ogarnia mnie wściekłość, nie, tylko ja, ja jedna zdobyłam wyłączność, wykupiłam patent! Im bardziej jestem zmęczona, tym silniej domagam się od niego, aby był wypoczęty; im gorzej się czuję, tym chętniej doszukuję się oznak zdrowia, niespożytej siły, tryskasz wprost zdrowiem, mówię mu. Nie śmie dzięki temu ani pisnąć, że cokolwiek mu dolega. Czy wiesz, Teresa — woła Łucja — dwa tygodnie temu zatruł się jakąś kanapką na konferencji, przyjechał

—

4 — Między nami...

z Warszawy zielony, już z gorączką; im bardziej cierpiał, tym głośniejsze trzaskały drzwi, i chociaż współczułam mu szczerze, to równocześnie krzyczałam, nie mogąc opanować złości, że zachowuje się żałośnie: chwilowa niedyspozycja, a on jęczy, jakby umierał. Ścieląc mu łóżko, pojąc ziółkami, przykładając termofor mówiłam na przemian: mój ty biedaku, boli bardzo? i — tobie dobrze, trochę brzuch zaboli i dostaniesz tydzień zwolnienia, wybyczysz się w łóżku, a ja będę musiała skakać koło ciebie na paluszkach, mnie nikt nie wystawia zwolnień lekarskich, zawsze muszę swoje zrobić. Oczywiście, wściekł się, a nazajutrz, mimo gorączki i osłabienia, poszedł do pracy. O, Boże, Teresa — poszedł, a ja chciałam biec za nim i prosić o przebaczenie.

— I co dalej? — pyta Teresa.

— Nic — mówi Łucja. — Wrócił, dałam mu obiad, a przy deserze powiedziałam: a mówiłam, żeś hipochondryk, wyglądasz świetnie.

— Zadręczysz go na śmierć — mówi Teresa.

— Tak. Zadręcę.

— Więc odejdz od niego. Zdecyduj się.

— Już za późno.

— Ohyda.

— Za późno — powtarza Łucja. — Trzeba było zaraz, od razu. Ale kochałam go.

— Ohyda — mówi Teresa. — Nigdy go nie kochałaś. Przynajmniej przede mną nie kłam.

— Kochałam! — krzyczy Łucja. — I on mnie kochał! Kochaliśmy się — mówi cicho. — Byliśmy młodzi, szczęśliwi ze sobą. Pamiętam — chce teraz udowodnić Teresie, jak bardzo była kiedyś szczęśliwa — pamiętam, jak poznaliśmy się. W pociągu. I zaraz, od pierwszego spojrzenia... Siedział naprzeciwko mnie i tak się bałam, tak się bałam, że nie zwróci na mnie uwagi, a potem, gdy już nawiązała się pomiędzy nami rozmowa, pragnęłam, aby pociąg nigdy nie dojechał do stacji, tyle nieśmiałości, tyle wzruszenia. Nawet pamiętam, jak był ubrany! — krzyczy znowu. — W jasnobieżowym garniturze i błękitnej koszuli. Opalony, wysoki, kochałam go już wtedy. A potem — mówi gorączkowo, szybko — staliśmy na przystanku tramwajowym, nie mając odwagi ani się pożegnać, ani się umówić. Nawet nie wiem, kto pierwszy, może ja zapytałam, czy zobaczymy się jeszcze? I tego samego dnia, po południu, spotkanie w takiej małej kawiarni, koło parku, nie ma już tej kawiarni; pamiętam: przyszedłam za wcześnie, usiadłam przy oknie, on spóźnił się, serce mi waliło, więc nie przyjdzie, i nagle go widzę, jak się śpieszy do mnie,

niesie bukiet, olbrzymi, cudowne róże, najpiękniejsze. Te kwiaty są dla pani, powiedział, proszę wybaczyć moje spóźnienie, ale to wszystko przez te róże, które tak bardzo pragnąłem pani ofiarować — dławi się Łucja — róże, cudowne, na długich łodygach, wysmukłe, pąsowe; przez te róże, gdyż w całym mieście róż zabrakło — kończy Łucja; pani wybaczy moje spóźnienie, ale to przez te róże, które tak bardzo pragnąłem pani ofiarować, bo wie pani, mam znajomego ogrodnika, i on zawsze sprzedaje mi wszystkie kwiaty o wiele taniej, ale mieszka daleko, prawie za miastem, teraz już nie sezon na róże, po cóż więc przepłacać, jeżeli można dostać za pół darmo? myśli Łucja, dlaczego nie rzuciłam mu tych róż w twarz, tylko powiedziałam, chowając swoją razem ze łzami w kwiaty: takie piękne, a nie pachną? — Pamiętam jeszcze... — mówi do Teresy, ale już nic nie pamięta, jedynie te róże za pół darmo, czerwone, wyzywające, pewne siebie.

— Ohyda — powtarza Teresa. — I po co to?

— Zawsze chciałam go kochać — mówi Łucja, opuszcza głowę. Nie ma róż, nie ma gdzie schować łez,

— Po co więc łezesz? Wieczna oszustka, z szalonymi rękami. Gdyby chociaż oszustwo przynosiło ci ulgę, rozumiałabym.

— Ty nic nie rozumiesz — przerywa jej Łucja.

— Może. Albo tak: nie rozumiem. Nie rozumiem, jak można tak żyć. Obsesyjnie lizać od rana do wieczora podłogi, kąty, meble, nigdzie ani pyłka, ohyda, i czekać na szczęśliwy traf, zbieg okoliczności, który uwolni cię od niego, i będziesz mogła, wyzwolona, ale uczciwa, włożyć twarzową żałobę, zamówić uroczyste wieńce, nieutulona w żalu wdowa po najukochańszym mężu...

— Teresa!

— A może nie czekasz na taki cud? — ciągnie mściwie Teresa. — Nie marzysz o tym, aby zdechł? Nie urządzasz mu pogrzebów? Nie obliczasz: dostanę rentę, mieszkanie duże, cztery pokoje, przynajmniej dwa mogę wynająć, no, Łucja, czyż to nie są twoje najgorętsze pragnienia? Czekasz — gdy się spóźnia z pracy — z nadzieją: może wpaść pod samochód? Gdy wyjeżdża gdzieś samochodem, czekasz, może się rozbije? Inaczej jest?

— Nienawidzę cię — mówi Łucja.

— Nikogo poza mną nie masz — mówi Teresa. — Nikogo bliskiego. Przed wszystkimi udajesz wielkie szczęście rodzinne. Stawiają cię za wzór idealnej żony i matki, nie wiesz o tym? Nawet przed rodzoną matką się nie przyznasz: gdy przychodzi, wkładasz na twarz uśmiech numer jeden: patrzcie na mnie, jaka jestem szczęśliwa! Zasadzasz matkę na głównym miejscu przy stole i opowiadasz: popatrz, kupiliśmy dywan. Popatrz, kupiliśmy nowe książki. Popatrz, jak się cieszę, życie jest piękne, dzieci zdrowe, Paweł dostał premię. Dlaczego mnie obdarzyłaś aż takim zaufaniem i wybrałaś na swego spowiednika? Ale jeżeli już, do końca się spowiadaj, bądź konsekwentna.

— Nienawidzę.

— A kogo w ogóle lubisz? Tolerujesz? — atakuje Teresa i Łucja myśli: ona ma rację; teraz ja, zupełnie jak Paweł przed pół godziną, opuszczam oczy, Paweł by powiedział: bo prawda w oczy kole, uśmiecha się Łucja.

— Czego ty się śmiejesz? podnosi głos Teresa. — Rzeczywiście, aż tak bardzo podobasz się sobie? A czy wiesz, że wstyd mi z tobą chodzić do sklepu?

— Dlaczego? — nie rozumie Łucja.

— Ponieważ wyklócasz się z każdą ekspedientką, w każdym sklepie. O nadgniłe jabłko, o nadpsutą marchew. O jajko, że zbyt małe. O chleb, że nie wyrosnięty. Gdzieś starasz się pokazać swoją ważność; tu, w domu, przytłacza cię twój mąż, za to w sklepach wypisujesz kretyńskie epistoły do ksiązek zażaleń z ogromnie pryncypialną miną. I powiadasz dozorczy, że na klatce schodowej śmierdzi, a do jego obowiązków należy perfumowanie klatek schodowych, więc za co mu płacą? Nie wpuścisz listonosza za próg, gdyż zabłoci twoje wylizane parkiety. Uosobnienie prawości, poczucia obowiązku, dokładności — i solidnej, niezachwianej wierności małżeńskiej. Widziałaś kiedykolwiek siebie — taką? Ta pani ci się podoba?

— Przestań, Teresa.

— Nikt cię nie lubi. Ekspedientki boją się ciebie, jesteś postrachem sklepów spożywczych. Sąsiedzi, którym mówisz zamiast dzień dobry: proszę starannie wytrzeć obuwie, wolą zjeść nie osoloną zupę niż pożyczyc soli od ciebie. Żadnych znajomych, żadnych przyjaciół, tylko ja jedna wpadam do ciebie, ale i we mnie wytresowałaś już odruch: przepraszam, że stąпам po twoich podłogach — postaram się nauczyć fruwać.

— Przeholowałaś, Teresa — mówi Łucja. Wstaje, myśli: ma rację, cały czas, i co z tego, że ją ma? Czy to jedyna racja? Czy tylko jedna z wielu, równie prawdziwych?

— Nie wygłupiaj się, siadaj! — woła Teresa. — Zbyt długo się znamy, żeby bawić się w chowanego.

— Nie zabiegam o twoje łaski — odzywa się po chwili Łucja. — I nie zapraszam do siebie.

— Chętnie bym cię uderzyła. Aż ręka swędzi. Tobie nawet nie można współczuć, nad tobą trzeba się litować.

— Skrofuliczny pies, nadaje się do uśpienia? — pyta wyzywająco Łucja. — Ani pogłaskać, bo zaropiąły? A tak by się chciało być miłosiernym i dobrym.

— Wkładasz włosiennicę męczennicy i domagasz się kanonizacji. Gdyby nie twoje ręce — otrząsa się Teresa — które cię usprawiedliwiają, każąc wierzyć w szczerść twoich urojeń, nie przychodziłabym do ciebie. Dlaczego nie odejdziesz od Pawła? Patrzą na was od paru lat, zanim któregoś pięknego poranka zwariujecie oboje lub otworzycie gaz — powiedzcie sobie uczciwie do widzenia.

— On nie zwariuje.

— Och, Łucja, skąd taka pewność?

— Nie zwariuje. Ani nie otworzy gazu. Za gaz trzeba płacić rachunek.

— Nie lubię Pawła. Jest dla mnie zbyt gładki, zbyt uprzejmy, zbyt wypolerowany. Ale oddaję mu sprawiedliwość: przystojny, jeszcze młody, dobrze zarabiający, wykształcony, na stanowisku; to atuty. Nawet się dziwię, dlaczego do tej pory nie puścił ciebie kantem?

— Teraz ty jesteś obrzydliwa — mówi Łucja. — Nie mogę od niego odejść. A może i nie potrafię? I może on również nie potrafi odejść czy puścić mnie kantem? W końcu liczy się to, że kiedyś go kochałam. Czy ja zresztą wiem, co się liczy? Mam zostać sama? Zabrać mu dzieci, które kocha? Inna kobieta, ewentualnie inny mężczyzna? I niby — życie od początku, od nowa? A jeśli wierzymy, że istnieje jeszcze dla nas jakaś szansa?

— Słowa, słowa, słowa — woła Teresa.

— A w końcu, jakim prawem wtrącasz się do mojego życia? Czy ja wtrącam się do twego? — wybucha Łucja.

— Bo chcę ci pomóc!

— Jakże to wygodnie i łatwo pomagać innym. A tobie pomóc nie trzeba? Dlaczego nie odejdziesz od Tadka? Kochasz go? On zdradza ciebie, ty jego; wyznaczacie sobie sześć dni w tygodniu wolnych, siódmego spotykacie się w łóżku. Nie wylizujesz podłóg, nie gotujesz obiadów, nie byłaś matką i nie będziesz, co ciebie przy nim trzyma? Jesteś normalna, nie musisz walczyć ze swoimi rękami; zarabiasz kupę forsy na swoich radcostwach, niezależna materialnie, więc dlaczego?

— O, Matko święta, Łucja, jakaś ty dziecinna — denerwuje się Teresa. — Chciałaś mnie urazić, nic z tego.

— Chciałam powiedzieć prawdę.

— Ależ nam jest tak dobrze ze sobą, i to jedyna prawda. Dzieci nie chcieliśmy mieć, ani on, ani ja; jeżeli on ma romans, mówi mi o tym, a gdy ja — też nie ukrywam; przynajmniej obywamy się bez oszustw. Pobierając się ustaliliśmy sobie, że jedno drugiemu nie ma prawa wchodzić w drogę. Mój Boże — wzrusza ramionami Teresa — ani razu nie żałowałam, i gdybym miała raz jeszcze zaczynać swoje życie, zaczęłabym je tak samo. Zapomniałaś, jak często zazdrościsz nam naszej wzajemnej tolerancji? My po prostu nie udajemy niczego, ani uczciwszych, ani lepszych, niż jesteśmy. Poza tym dorobiliśmy się wielu rzeczy, samochód, mieszkanie nie jakieś blokowe...

— A więc jednak? — przerywa Łucja. — Jednak i to ważne: dorobek? Samochód, mieszkanie, meble? Dywany, pralka, lodówka? Odchodzić, to znaczy dzielić, szkoda dzielić, co, Teresa? I to by się chciało, i tamtego żał? No, więc i ja ci zafunduję swoją prawdę: dorobiłam się pięknego mieszkania i mebli. Przez całe lata urabiałam ręce, szylałam dzieciom, robiłam na drutach, oszczędzałam na mydle, na gazie, na

elektryczności, wolałam zrobić wszystko sama, nie płacąc nic nikomu, dźwigałam kotły z bielizną, wiórkowałam podłogi, myłam okna, zapisywałam każdy wydatek; i jeżeli z dziennej racji udało mi się wygospodarować kilkanaście złotych — czułam dumę; tak, tak było, nikt mi tego nie kazał, sama chciałam, i w tym mieszkaniu zamknęło się moje życie, a ty mi przestań, że wylizuję podłogi, a jeśli to dla mnie ważne, żeby błyszczały? O, Boże, a teraz dekoracje rozstawione, stoją jak twierdza, nienaruszalne, nic przesunąć ani przestawić i mam ochotę ten cały ład podpalić, niech spłonie, wziąć młotek — rozbić — ale mnie wolno i rozbić, i podpalić; natomiast dzielić tego nie potrafię, nie umiem, nie chcę. Jak dzielić podłogi, które tyle razy wiórkowałam? Jak podzielić ten stół, na który zbierałam pieniądze, sama nie dojadając? Przepiłować? Ty swoje możesz dzielić łatwo, co cię tam obchodzi jakiś stół, jakaś podłoga albo okno, a mnie brak odwagi, rozumiesz? Nie stać mnie, abym zaczynała życie od nowa. Nie jestem aż tak silna. Gdyby wcześniej... ale teraz po prostu jestem skazana na niego. Odejść? Ależ to absolutna klęska, całe życie wyrzucić na śmietnik. „I pomrzemy oboje, bez pieszczoty, bez grzechu, bez tży szczęścia na oczach, bez jednego uśmiechu”. Nawet słów własnych nie mam, nie znam ich, aby opowiedzieć o tym, co mnie boli. Nic własnego, nic, wszystko cudze, przeżyte przez kogoś innego.

— Co to? — pyta Teresa. Nie patrzy na Łucję.

— O tych dwojgu ludzińkach, co kochali się w sobie. Kiedyś, dawno temu, zdając do szkoły aktorskiej, mówiłam ten wiersz. Jakbym przepowiedziała sobie swoje własne życie. Wiesz — mówi Łucja szybko, napastliwie, agresywnie — przez długi czas nosiłam w sobie poczucie winy, obciążałam się za nasze nieudane życie. Za siebie i za niego, że nie jest tak, jak ja myślałam! Jak on sobie je wyobrażał, tego nie wiem, niestety. Może zresztą wiedziałam — ale uciekło z pamięci! — krzyczy — a może i pamiętam, lecz wolę udawać, że nie pamiętam? — wstaje, udając, że szuka czegoś w szafce, aby ukryć tży. — Przecież naprawdę chcieliśmy być szczęśliwi. To wydaje się takie proste do osiągnięcia: spotyka się dwoje ludzi, on kocha ją, ona jego, pobierają się i są razem, cóż za szczęście! Ty, Teresa, mówisz, że oboje z Tadkiem nie udajecie niczego przed sobą — i to jest straszne! Najgorsze, co może człowieka spotkać: przestać udawać. Ja i Paweł, na co dzień, nie udający, odsłonięci. Nie znaleźliśmy się takimi, nie podejrzewaliśmy nawet, że tacy jesteśmy. Gdzieś tkwił błąd, może w tych różach? — mówi Łucja, wracając na miejsce. — Nie zwracaj uwagi, nie płaczę. Teraz ciągle płaczę. O byle co. — Więc może wszystko rzeczywiście przez te róże? myśli Łucja. Spotykaliśmy się i byliśmy piękni. Młodzi, ja i on. A teraz sami nie wierzymy, że kiedykolwiek mogliśmy być piękni i młodzi. — Patrzyłam na niego — mówi — udręczona swoją niemożnością, swoją wielką, grzeszną winą, myślałam: to się zmieni, ułoży, trzeba przeczekać. Przecież go kocham, trzeba przeczekać. Z czegoś zrezygnować, chyba warto, kochamy się.

Ale to nie była prawda. Nie kochaliśmy się, myśli Łucja, jak mogłam kochać tego obcego mężczyznę, który chodził po domu w brudnych kalesonach? W ogóle go nie znam, pierwszy raz widzę: kto to jest? Przecież nie mój chłopak, już ani tajemniczy i uroczy nieznajomy z pociągu, ani serdeczny przyjaciel, troskliwy opiekun? Ktoś zupełnie obcy. Taki na co dzień, nie od święta. — Spotykaliśmy się przez wieczność: trzy miesiące spacerujemy we dwoje, kino, teatr, kawiarnia — mówi Łucja. Kocham ciebie. Kocham ciebie. Panno, madonno, legendo, myśli. To będzie szczęście. — Spotykaliśmy się — mówi — malowałam się starannie, wybierałam sukienki, mogłam godzinami przymierzać je przed lustrem: w której mi najładniej? Chciałam być piękna, czuła, łagodna, dobra, wyrozumiała. Rozumiejąca. — Spotykaliśmy się, myśli, on też w czystej koszuli, wypachniony, dobry, czuły, rozumiejący. Uśmiechy,



ładne gesty. Okrągłe zdania. Cytaty z poetów: panno, madonno, legendo. Żadnych barier. Żadnych przeszkód. Nic nas nie dzieli. Wszystko, co należy do świata, może stać się nasze. Inna miłość niż te, które dotąd znałam. Piękna, czysta, troskliwa. Proszę cię, uważaj na siebie. Proszę, załóż mój szalik, zimno. Nie pal tyle, nie lubię, kiedy tyle palisz. — Spotykaliśmy się — mówi Łucja — i byliśmy odświętni, wyglansowani, odczyszczeni, wywabieni z plam i grzechów. A potem, nagle, od dnia, w 'którym złożyliśmy swoje podpisy na ślubnym akcie —• i już odtąd na zawsze, i to jest szczęście, już nigdy więcej nie rozstaniemy się ani na chwilę, ja lat dwadzieścia dwa, on lat dwadzieścia sześć, tacy ładni oboje; dobrani — święto się skończyło: po domu chodzi mężczyzna w brudnych kałesonach. Obok, przez ścianę, ciężkie kroki jego matki, myśli Łucja, jak echo, jak uporczywe, drżące ostrzeżenie: ja czuwam. Przychodziła gasić nam światło: jesteście na dorobku, za światło się płaci. Wydzielała cienkie kawałki mydła do prania. Jemu kładła na talerz soczysty befsztyk, mnie żyły. Mężczyzna musi jeść, mężczyzna potrzebuje. Kurczyłam się, gdy na mnie patrzyła, przestawałam oddychać. Pragnęłam zniknąć z powierzchni ziemi pod jej wzrokiem. Kazała mi obciąć włosy i wyrzuciła mój tusz do rżęs. Kobieta uczciwa nie powinna używać kosmetyków. Pierwsza awantura. Pierwszy szantaż: albo ja, albo ona. Nie darowała mi mojego zwycięstwa, nie przebaczyła. Pierwsze robaki: cóż za ulga, gdy umarła. Masz dziurawe ręce, powtarzała. Oszczędnością i pracą ludzie się bogacą. Ziarnko do ziarnka i zbierze się miarka. Dobra gospodyni w domu cuda czyni. — Zanim nauczyłam się gotować — mówi Łucja — ileż odbyło się awantur! Zanim nauczyłam się prać, prasować koszule Pawła, czyścić jego spodnie, aby nie wydawać na pralnię, robić na drutach szaliki, szyć sobie spódnice z jego starych, jeszcze kawalerskich spodni — oszczędzać; bo: ziarnko do ziarnka; jakże znęcałam się nad swoimi nieumiejętnymi dłońmi, które zaczynały drżeć w panicznym strachu i które zawsze chowałam odruchowo za plecy, kiedy do kuchni lub pokoju wchodziła matka Pawła. Wiesz — woła Łucja — pamiętam: sądziłam, że to ich nieumiejętność stała się przyczyną naszych wzajemnych pretensji, zadrażnień, dąsów. Toteż starałam się uwierzyć i przyjąć za podstawę działania to straszliwe porzekadło: ziarnko do ziarnka. — Udawałam, myśli Łucja, że nie razi mnie nic, że na wszystko się zgadzam, akceptując swego odkrywanego na nowo męża, który je zupę siorbiąc, bo je ją przy mnie, tylko przy mnie, i dłubie w zębach, cmoka, charczę, spluwa, jak człowiek, który odślania się, ponieważ nie przypuszcza, że ktokolwiek może go podglądać. Nie trzeba się już krępować — krzyczy Łucja — jesteśmy sami, ja i on, nareszcie odrzucamy precz wszelkie krępujące pozory i nie ma w tym nic z ekshibicjonizmu, to po prostu naturalne i normalne. I tak dwoje ludzińków, co kochało się w sobie, dostrzegło się wzajemnie jak we wspólnym lustrze. Potrzeba uczucia została zaspokojona, start w normalne życie małżeńskie. — Przystaliśmy wyznawać sobie miłość, myśli Łucja, miłość doczekała się swoistej metamorfozy: słowa i gesty odrzucone — chodź no, przywołuje męża. Trzeba odżywiać się regularnie, spać określoną ilość godzin, dobrze trawić i wypełniać swoje małżeńskie obowiązki; chodź no. — Madonna umarła, legenda skończona, nie ma legendy — mówi Łucja — jest prawda. To tylko żona, ta kobieta obok ciebie, przy tobie, z tobą, masz ją zapisaną na całe życie. Stół, krzesło, dywan, żona. Okres godowy minął, kolorowe piórka opadły: chodź no, po co te ceregiele, no wiesz, śmieszne, przecież jesteśmy po ślubie. — Uginałam się pod brzemieniem winy, myśli Łucja, bo nie potrafię ziarnka do ziarnka; chodź no, przychodziłam, a jeśli dziś będzie lepiej, przeczekać, przetrzymać, ugotuję dobry rosół, powie: madonno. — Ale jak mógł mówić: madonno do brzuchatej kobiety — mówi Łucja — którą zyskał w miejsce dziewczyny, za którą oglądano się na ulicy? Dziewczyny nie było, po domu chodziła nagle postarzała, z ciężowymi plamami na twarzy, wyostrzonym nosem jakaś inna, obca kobieta, rozchełstany szlafrok od rana do wieczora, potargane włosy, stękająca, zawsze

wściekła, gdzieś zginął powitalny uśmiech: witała wracającego późnym wieczorem swego ambitnego męża, który jednocześnie i pracował, i robił doktorat — szczękościskiem, zjadliwymi wymówkami, szantażem: albo twoja matka, albo ja: wybieraj. Ciągnąc za sobą zamiast perfum kuchenne odory cebuli albo octu trzaskała talerzami, drzwiami, nagle odważna, nagle stanowcza: słuchaj, mam w nosie twój przewód doktorski, ja oszaleję z twoją matką, zdecyduj. A kiedy — mówi Łucja — nauczyłam się gotować, przyrządzać pieczenie, robić na drutach, czyścić plamy, oszczędzać, zbierać ziarno do ziarnka, wyklócać się o nadgniłe jabłko czy nadpsutą marchew — było za późno. „Dwojgu zmarłym w cmentarza zakątku dawna miłość śni się od początku... Usta, usta, próchno w was migota, któż odgadnie że to jest pieszczota? Któż pomyśli, że to jest kochanie?"...

— Łucja urządza wieczór jednego aktora? — mówi Paweł wchodząc do kuchni. Zatrzymuje się w drzwiach, obrzuca siedzące przy stole podejrzliwym spojrzeniem. W ręku trzyma złożoną gazetę.

— Wróciłeś? — pyta Łucja, myśląc: kiedy wszedł? co słyszał?

— Jak widzisz. A miałem nie wracać? — Paweł podchodzi do Teresy, całuje ją w rękę. — Piękniejsza z dnia na dzień. Powiedz, jak ty to robisz? zawsze cię podziwiam — odwraca się do Łucji: — Jeśli miałem nie wracać, to przepraszam. Pewno chciałybyś, abym wpadł pod samochód, jak ten człowiek przed półgodziną. Nic z tego: ja zawsze przechodzę ulicę ostrożnie. Czy wiesz, Tereso, że jestem twoim zagorzałym wielbicielem? Pani... — wygłupia się Paweł. — A ona — wskazuje Łucję — biedaczka, wciąż jeszcze cierpi na kompleks niedoszłej aktorki. Zmarnowany talent, pierwszorzędny kawał — śmieje się Paweł — ileż samouspokojenia zapewnia takie przekonanie. Wygodny parawanik, co? — śmieje się dalej — wyobrażać sobie, że miało się talent. A ten przejechany facet był pijany, teraz Bogu ducha winny kierowca zamiast pijaka powędruje za kratki. Na pasach! Cóż z tego, że na pasach, jeżeli wpakował mu się prosto pod wóz! Pieszy zawsze uważa, że cała jezdnia należy do niego — oświadcza Paweł. — A wy, moje piękne panie, jesteście najgorsze. Myślicie o niebieskich migdałach, a potem narzekacie: kierowca winien. Trzeba patrzeć, gdy się schodzi na jezdnię. Łucja, dostanę herbaty? Łucja wstaje bez słowa, stawia czajnik na gaz.

— A kran już cieknie od wczoraj, nie miałaś czasu zawołać dozorcę? — mówi Paweł, wyciąga papierośnicę. — Zapalisz? — zwraca się do Teresy. — Angielskie. Znowu tam jadę.

— Nic mi nie mówisz, że znowu wyjeżdżasz za granicę — odzywa się Łucja szykując szklankę. — Teresa, napijesz się?

— Dziękuję, nie palę, nie piję, najwyższy czas, abym pomieszkała w domu.

— Łucja cierpi ostatnio na zanik pamięci — śmieje się dobrodusznie Paweł. — Mówiłem ci przecież, moja droga, kilka dni temu, przy kolacji. Ale ty zawsze zapominasz, co do ciebie mówię.

— Teresa, zostań? — prosi Łucja.

— Przywiozę ci jakiś piękny prezent. Co byś sobie życzyła? Perfumy? A może perukę, teraz takie modne? — Paweł znowu całuje Teresę w rękę.

— Z czym chcesz: z cytryną? — pyta Łucja.

— Wszystko jedno. No, Tereniu, umówmy się.

— Jeść też będziesz?

— Ewentualnie coś bym jeszcze przekąsił. No, Tereniu, wszystko, co zechcesz. Będę miał wysokie diety

— Paweł pochyla się nad Teresą, patrzy na nią zalotnie.

— Dziękuję ci — odpowiada Teresa — jesteś przemiły. Zastanowię się, czy mi cokolwiek jest potrzebne. A ty nie jedz jednak tyle, utyjesz i przestaniesz się podobać żonie.

— Łucji? — upewnia się Paweł.

— A masz jakąś inną żonę?

— Łucji? Podobać się? No wiesz, Teresa, dobry kawał — śmieje się Paweł. — Ja miałbym się jej nie podobać? Doprawdy, Tereniu, jesteś cudowna — całuje Teresę w rękę. Podobać się Łucji? Niech ona pilnuje, aby mnie się nie przestała podobać, bo ja jej... Któż inny mógłby się jej podobać? A tobie, droga, podobam się? Powiedz?

— Trzymajcie się. Dobranoc — mówi Teresa.

— Wpadniesz jutro? — pyta Łucja.

— Ty wpadnij, po obiedzie, na kawę.

— O Jezu, Teresa — mówi tylko Łucja.

— Mnie jutro nie ma w domu, przychodzę na obiad i zaraz wracam do pracy, robimy plany — odzywa się Paweł.

— Słyszysz? Przecież nie zostawię dzieci samych.

— Nie wiem, może przyjdę. Zadzwoń — mówi Teresa, całuje Łucję i, nie podając ręki Pawłowi, wychodzi.

Łucja stawia szklankę z herbatą i talerz z kanapkami na kuchennym stole.

— Co to ma być? — pyta Paweł.

— Chciałeś herbaty.

— Ale nie w kuchni! Zanieś do pokoju. Czy ona musi u ciebie odsiadywać godzinki?

—? Bo co? Przeszkadza?

— Jest głupia, próżna, zarozumiała. Złe się prowadzi. Mogłabyś znaleźć inną powiernicę swoich alkowianych sekretów.

— Powtórzę jej, co mówiłaś.

— A powiedz, powiedz, i tak ci nie uwierzy. Pomyśli, że jesteś o mnie zazdrosna. Bo ja się jej naprawdę podobam.

— O, Boże — woła Łucja. Ty durniu, myśli. — A herbatę sam sobie zanieś, hrabia się znalazł.

— Oczywiście, mogę zanieść — mogę zrobić, co mi rozkażesz — mówi Paweł. — A Teresa od dawna na mnie leci i gdybym tylko kiwnął palcem — szklanka chybotrze niebezpiecznie na spodku, odstawia ją czym prędzej na stół; Łucja uśmiecha się obserwując jego niezdarne ruchy, nie umie sobie poradzić ze szklanką i talerzem z kanapkami; teraz łyżeczka spada mu ze spodku. — Cholera! — Paweł stęka, schyla się, podnosi łyżeczkę. — Bo cóż ten jej Tadeusz, nie mężczyzna, bledy wymoczek w okularach — wrzuca łyżeczkę do zlewu. — Daj no mi czystą. A herbatę osłodziłaś?

— Zapomniałam.

— Jak by mogło być inaczej? Zawsze zapominasz. No, co stoisz? Gdzie cukiernica? Teraz bez łąski — odpycha Łucję, wyrywa jej cukiernicę z ręki — teraz sam potrafię. Cytryny cienieć ukroić nie mogłaś? Kraków przez nią widać — mówi Paweł, wsypuje do herbaty trzy łyżeczki cukru, miesza, wyciska cytrynę, kosztuje, krzywi się, dosypuje jeszcze cukru, bierze kanapkę, gryzie i zapchanymi ustami mówi do Łucji: — Weź moją gazetę i chodź do pokoju — przeżuwa dalej, polyka. — Porozmawiamy.

Niezdarnie trzymając szklankę i talerz, wychodzi pierwszy z kuchni.

— Światło tylko zgaś! — woła z przedpokoju.

Gazeta leży na stole: wyzywająca. Podarłam mu gazetę, myśli Łucja, a on kupił nową, aby zmanifestować przede mną swoją siłę, dać do zrozumienia, kim jest on, a kim ja. Weź moją gazetę — rozkosz jego zemsty. Czy potrafi z sumy sześciu tysięcy na dom ten zbyteczny wydatek pięćdziesięciu groszy na drugą w ciągu dnia gazetę? Niewątpliwa strata materialna, lecz jaka superata duchowa: za jedne pięćdziesiąt groszy odnieść napoleońskie zwycięstwo, admiralski triumf, odzyskać poczucie przewagi, wzmocnić tak nieoczekiwanie nadwątlony autorytet, jeszcze silniej zakreślić granice swojej niepodległej autonomii, niezależności pod każdym względem — za jedyne pięćdziesiąt groszy, warto je stracić, aby aż tyle zyskać.

Bierze gazetę, rozwija szukając tego artykułu, który zaczynał się entuzjastycznym tytułem, olbrzymią czcionką: REALIZACJA PLANU. Jest. Na trzeciej kolumnie. Łucja czyta: REALIZACJA PLANU. Petitem: „Jesienne wykopki dobiegły pomyślnego końca i oto teraz trwa akcja skupu, dokonywana przez przedsiębiorstwo «Wa-rzywa, Owoce i Kwiaty\*. Ziemiaki gromadzi się z przeznaczeniem dla handlu detalicznego i hurtowego. Do tej pory przedsiębiorstwo ((Warzywa, Owoce i Kwiaty» zakupiło już 1600

ton ziemniaków. Realizacja planu skupu ziemniaków dla naszego miasta jest więc w pełnym toku i miejmy nadzieję, że wiosną nie stanemy wobec problemu braku ziemniaków w sklepach. Spożywamy bowiem rocznie około 25 tysięcy ton..."

— Jezu — mówi Łucja — realizacja. To

o mnie: realizuję plan skupu. Potrzebuję dwadzieścia pięć tysięcy, zakupiłam już aż tysiąc sześćset i mam nadzieję, że wiosną nie stanę wobec problemu braku. Realizacja planu w pełnym toku. Realizuję się codziennie, od rana do wieczora. I mam nadzieję. Jezu, tytuł na całą szpaltę, a pod spodem bełkot idioty. Od ośmiu lat realizuję bełkotliwe życie.

— Zjadłbym jeszcze.

To Paweł, wrócił do kuchni z pustym talerzem po kanapkach. Uśmiecha się: Łucja szybko odrzuca gazetę na stół. Jego triumf jest pełny, myśli Łucja, satysfakcja całkowita, zwycięstwo bezapelacyjne: przyłapał mnie na czytaniu gazety, którą podarłam.

— Czytałyśmy gazetkę, co? Moją gazetkę?

i zapomniałyśmy o Bożym świecie, nawet o tym, że ja czekam na ciebie! — uśmiech ginie, w głosie brzmi groźba.

— Z czym ci zrobić? — pyta Łucja otwierając szafkę. — Puść mnie, boli! — krzyczy, bo P(a-weł chwyta ją z całej siły za ramię. Mocno zaciska palce, ciągnie do siebie. Łucja szarpie się, wrywa. — Puść, boli, słyszysz! — ale dłoń Pawła jest silna jak z żelaza, miażdży ramię, unieruchamia Łucję w swoim uścisku, który nie jest miłosnym, nie wynika z namiętności ani pożądania: Paweł schyla głowę nad żoną, lśniąc przedziałkiem wśród włosów, zbliża twarz wykrzywioną grymasem wściekłości, z bardzo bladymi nieruchomymi oczami, przez zwarte szczelnie zęby syczy: — Zapamiętaj sobie raz na zawsze — a Łucja, upokorzona bólem, fizyczną przemocą, ściśnięta w rękach męża jak w kleszczach, przywarta wbrew swej woli do jego ciepłego brzucha, myśli: co mam zapamiętać? — Zapamiętaj! — powtarza Paweł, zwalnia uścisk, lecz stoją tak jeszcze przez chwilę wsparci o siebie swoimi ciałami: noga przy nodze, brzuch przy brzuchu, pierś przy piersi, usta przy ustach.

Łucja odwraca się, wyjmując chleb z plastikowego woreczka.

— To z czym ci zrobić? — pyta.

— Nie chcę chleba. Pasiesz mnie bez przerwy chlebem jak indora — mówi Paweł. Oddycha szybko, zmęczyła go nienawiść.

— A co chcesz w takim razie? — pyta Łucja. Słyszy za swoimi plecami szybszy niż zwykle oddech. Czuje ból przedramienia, nagłą ociężałość serca, sopel lodu mrozący w piersiach, setki kłujących igiełek w czubkach palców; chleb wypada jej z rąk.

— Mam apetyt na coś słodkiego. Ukręć mi kogel. Albo daj ciasta.

— Ciasta? — powtarza Łucja, myśląc: schować chleb do torebki, bo do jutra zupełnie się zeschnie. Ale ręce jej zziębły, skostniały w bezwładzie, nie może poruszyć palcami ani ująć chleba i schować do torebki. Nie może wyjąć fiołki z eucardiną. Nie może odwrócić się i spojrzeć na Pawła: zabić go spojrzeniem. Musi natomiast mu odpowiedzieć, ponieważ on ma apetyt na coś słodkiego, kogel albo ciasto.

— Zaraz ci podam — mówi wolno Łucja, starając się nie zgubić ani jednej sylaby. — Zaraz przyniosę.

— Dwa kawałki. Grube, a nie przezroczyste. Oszczędzaj na kim innym, nie na mnie — słyszy głos Pawła, kroki, szelest zabieranej ze stołu gazety, lekkie skrzywienie drzwi, trzeba naoliwić, szelest spadającej kropli z kranu, trzeba zawołać dozorcę. Skrzywienie drzwi przynosi ulgę: Paweł wyszedł; słyszalność kropli spadającej z kranu jest potwierdzeniem jego nieobecności, już nie musi lękać się obojętnego współczucia, fałszywej serdeczności, w których odnajduje za każdym razem, poza kłamstwem, swoją bezradność i bezsilność, więc może teraz swobodnie skurczyć plecy, zwisnąć ciałem na otwartym blacie szafki, chwytać pragnącymi ustami powietrze, tłoczyć je do zlodowaciałych płuc, być przynajmniej w cierpieniu wolną, w tym jednym cierpieniu, które z wszystkich na pewno jest prawdziwe i na pewno niezawinione. Łucja, z czołem wciśniętym w kruszynki chleba, ostre i kłujące, myśli o tym, że słucha z niespodziewaną, zaskakującą ją samą radością bólu swego serca, w którym coś tam przestało się domykać i nie pomoże założenie nowej gumki uszczelniającej jak w kranie, aby przerwać przeciek, gdyż ten powtarzający się coraz częściej ból przynosi przecież pełniejszą nadzieję na całkowite już wyzwolenie, i po cóż mam być nikczemna, jeżeli mogę być szlachetna, myśli Łucja, po cóż życzyć mu śmierci, jeżeli mogę uwierzyć w swoją; niech

—

—

stanie się to moją najświętszą tajemnicą. Ukryję ją głęboko nie tylko dlatego, aby nie zasłużyć sobie na uderzenie obojętnego współczucia, którego niechęć, układna obcość stają się trudniejsze do zniesienia od najgorszej obelgi, lecz przede wszystkim dlatego, że niesie ona zapowiedź mojego zwycięstwa: ja nigdy nie bałam się śmierci, myśli Łucja, i swoje dzieci rodziłam bez krzyku; wzruszenie ramion przy diagnozie kardiologa, jakby nie tyczyła mnie, Łucji Gąsiorowskiej, mężatki, lat trzydzieści, matki dwojga nieletnich dzieci, niedoszłej aktorki, wtórnej analfabetki, dobrej kucharki, oszczędnej gospodyni, wykwalifikowanej sprzątaczkę, wzrost wysoki, oczy piwne, waga ciała mizerna, znaków szczególnych brak; ani nikogo bliskiego, choćby znajomego z widzenia lub słyszenia, nie znam tej pani, nie interesuję się nią, i tylko ta eucardina dla niej obchodziła mnie bezpośrednio, skuteczność doraźnego działania, dzięki któremu ta osoba, nazywana pieszczotliwie przez męża „cura domestica”, nie będzie musiała więcej urządzać demonstracji, toteż kiedy zaprowadziłam ją do lekarza, nie myślałam o niej wcale, nie

interesowała mnie przyczyna czy nawet skutek choroby, ale lek, który pozwoli chorobę tuszować, więc kiedy lekarz powiedział: źle, nie odczulam ani niepokoju, ani lęku, nawet żalu, i widziałam doskonale, że palce zapinające bluzkę nie drżały silniej niż zazwyczaj, cóż — źle to źle, wszystko jedno: źle czy dobrze, bo ani dobrze, ani źle również mnie nie dotyczą.

Podnosi się, obmywa twarz wodą, wyciera z blatu kruszynki chleba, które tak uporczywie uwierały jej czoło; chowa chleb w plastikowy worek, chleb nie powinien się przesuszyć. Jest spokojna. Przed chwilą zyskała pewność ocalenia. Kraje Pawłowi, który nawet nie spodziewa się, że ponownie utracił swoją przewagę, dwie grube pajdy drożdżowego ciasta, placka z kruszonką, przysmaku Baški i Jacka. Co mam wam upiec? Placek z kruszonką! placek z kruszonką! a potem małe i chytre paluszki wydłubują potajemnie, po kryjomu kruszonkę, rodzyнки, zostawiając w placku głębokie dziury. Kruszonki musi być dużo, jak góra, mam, pachnącej wanilią, złotobrzazowej, słodkiej. Kochasz mnie? Bardzo? Kocham cię, mam, bardzo. Kocham cię tak bardzo jak placek z kruszonką. Nie mocniej? Trochę mocniej.- Ociupineczkę. Baška i Jacek śpią już od dawna, sen mają dziecinnie ufny, spokojny, różowe cienie kładą się na oczach i policzkach. Koniecznie trzeba pójść z Jackiem do laryngologa, przepowiada sobie Łucja, idąc hallem. Naciska klamkę, pcha drzwi.

Paweł siedzi przy stole, czyta gazetę.

Zarzymuje się, zdruzgotana realnością tego obrazu. Chce zawrócić od niego, ale jak wtedy, gdy natknęła się na kłębowisko żmij w rozpalonych słońcem ruinach leśniczówki, stoi bezsilna, z krzykiem w gardle, krzykiem w piersiach, nie mogąc wydobyć ani głosu, ani jęku, nawet jałowego westchnienia protestu. Paweł siedzi przy stole, czyta gazetę. Zasłonięty nią szczelnie, spowity jak kokonem, opancerzony. Szklanka z wypitą w połowie herbatą, przysunięta obok niej, na samą krawędź stolika, kryształowa popielnica z tłącym się papierosem: szarosina spiralka leniwego dymu pełza wśród bordo astrów. Palce trzymające gazetę rozdzieliły się na segmenty;

fragment brzucha ucięty gazetą jak nożem; zawsze podarte w górę nogawki spodni. Jaskrawo zielone skarpetki, boucle! Milczenie. Cisza. Ani kroku w tył, ani w przód.

Paweł siedzi przy stole, czyta gazetę. Widzi go za nią i wie: on rzeczywiście ją czyta. Bładonie-bieskie oczy wodzą od linii do linii, wrażliwe na interpunkcję. Jesienne wykopki dobiegły pomyślnego końca, myślnik, i oto teraz trwa akcja ich skupu, przecinek, dokonywana przez Przedsiębiorstwo „Owoce, przecinek, Warzywa i Kwiaty”, kropka. Wypukłe usta, dolna warga lekko obwisła. Głowa nieco pochylona do przodu. Plecy wciśnięte w oparcie fotela. Milczenie. Cisza.

To jest największy, najokazalszy pokój z całego czteropokojowego mieszkania i trzeba przejść kilkanaście kroków, aby dotrzeć do stolika ustawionego w rogu pokoju pod kaloryferem. Gdy już tam dojdę, myśli Łucja, wcisnę mu talerz z ciastem w twarz, zmiażdżę szkło na oczach, oślepię go, rzucę mu ciasto pod nogi i zdepczę, podpalę gazetę i jego, niech spłonie, niech się pali skwierczącym płomieniem, coś zrobię, coś ważnego, plunę na to ciasto, zbezczeszczę je, niech mnie zabije zaraz moje serce. Jej spokój, nadzieja na zwycięstwo, upadły: Paweł siedzi przy stole, czyta gazetę. A jeśli nawet zabije to moje serce, on mnie pochowa i nie uroni jednej łzy, a więc jednak chodzi mi o tę jego łzę, myśli Łucja, chociaż wypieram się, że nie jest mi potrzebna? Niesie mu na talerzu dwa grube kawały drożdżowego

ciasta, posłusznie — pokonana, i teraz każdy krok mnie do niego zbliża, a nie oddala, myśli Łucja, i moja zła hardość siebie stała się bladym fantomem, którego się nikt nie lęka poza mną; niosę mu placek i swoją zmęczoną twarz clowna, nad którym ani litować się,

ani śmiać nie sposób, bo zdychać będę długo i mozolnie, coraz bardziej" skrofuliczna od nienawiści, poznaczona piętnem odrazy, wyschła, żylasta, odrażająca, zawsze na krawędzi szaleństwa, od śmierci przedzielona niedomykalną szczeliną w zastawce, zbyt wąską jednak, zbyt małą; podporządkowana ustalonemu porządkowi rzeczy: Paweł na swoim miejscu, w fotelu, przy stole — czyta gazetę.

Reprezentacyjny dywan jest pierwszorzędnej jakości: tłumi kroki, stopy zanurzają się w nim jak w łące, miękko i bezszelestnie — Paweł, nie-poruszony, czyta gazetę. Droga, jaką teraz Łucja przebywa od drzwi do stołu, wydaje się jej najdłuższą drogą, którą kiedykolwiek dokądkolwiek zmierzała, czas jakby się zatrzymał: spiralka dymu pełza wśród bordo astrów, milczenie, cisza, nic się nie przybliży, nic nie oddala; sens życia, który można przeliczyć na kroki, zmieścić w tej odległości od drzwi do stołu pod kaloryferem.

— Wreszcie! — odzywa się Paweł, opuszczając na wysokość oczu gazetę, która odcina mu nos i resztę twarzy. ?— Rodziłaś to ciasto czy co?

Błękitny stożek popiołu odrywa się od rozżarzonego papierosa, spada na połyskliwą powierzchnię stolika, drży; błękitnoszare drobiny osypują się z wierzchołka, toczą lawiną po stromym zboczu i naruszając prawa fizyczne, rządzące wnętrzem tej góry w milionowym pomniejszeniu, niszczą ją całą: Łucja ślini palce, zgarnia rozsypany popiół w szarą, bezkształtną plamę.

— Niezłe — mówi Paweł wkładając do ust odłamany kawałek ciasta. — Ostatnim razem było gorsze, nie tak wyrośnięte — popija łykiem herbaty. — Na niedzielę upiecz sernik. Dawno nie piekłaś sernika.

— Tak — odpowiada Łucja.

— Ale żeby miał dużo rodzyneków — kontynuuje Paweł ustami pełnymi żółtej papki. — Siadaj.

— Tak — mówi Łucja. Siada.

— Zapalisz? — pyta Paweł, podsuwa Łucji pudełko siłesii, dla mnie nie ma angielskich, myśli Łucja, sięgając po papierosa. — Nie znoszę twoich sportów, śmierzdą.

— Tak — zgadza się Łucja, wyjmując papierosa.

— Jutro oprócz bułek daj mi do pracy kawałek placka — ciągnie Paweł, wkładając do ust następną porcję ciasta.

— Tak.

— Przyjmij też do wiadomości, że od dnia jutrzejszego masz składać mi dzienne sprawozdania z bieżących wydatków. Mimo wszystko wolno mi chyba wiedzieć, na co wydajesz pieniądze.

— Tak.



— Chciałbym, abyś mnie dobrze rozumiała: nie zamierzam ingerować w sprawy domowe, nie interesują mnie szczegóły, lecz generalia. Na przykład zauważyłem, że płacimy wyjątkowo duże rachunki za gaz i elektryczność, w kuchni setka, w dziecinnym setka, w łazience setka, w ubikacji setka...

— Sześćdziesiątka.

— Przecież powiadam ci, że nie interesują mnie szczegóły. Chodzi o generalia: przeważają setki, czy tak?

— Tak.

— A więc wszędzie z powodzeniem mogą być sześćdziesiątki. Podobnie z gazem. Nie znoszę niechlujstwa, o czym wiesz dobrze, ani nieporządku, ani tym bardziej nie zamierzam namawiać do zaniedbywania higieny osobistej, uważam jednak, że kąpanie co drugi dzień dzieci to już lekka przesada. Jeżeli wykąpiesz je dwa razy na tydzień, wystarczy. Żeby to wszyscy kąpali się dwa razy w tygodniu, byłibyśmy narodem pachnącym czystością.

— Tak.

— Następnie, nie wiem, czy przypominasz sobie, nie tak dawno poruszyłem temat pasty do zębów. Podobnie jest z proszkami do prania. Zauważyłem, że używasz ich mnóstwo i kosztownych. W kuchni pod zlewem, widzę, stoją w szafce jakieś ludwiki, jawoxy, skrzaty, - siluksy, i coś tam jeszcze, nie pomnę. W łazience następna bateria proszków. Kiedyś, zanim wymyślono te wszystkie dziwne środki, prało się bieliznę zwykłym mydłem, a naczynia zmywało gorącą wodą bez dodatków. Nie jesteśmy tak bogaci, abyśmy mogli przeznaczać na te cele aż taką sumę, jaką ty musisz wydawać. I proszę, abyś się do moich uwag zastosowała już w najbliższej przyszłości.

— Tak.

— Jesteś po prostu bezczelna! — krzyczy nagle Paweł.

— Tak — zgadza się Łucja. Nie patrzy na męża. Nie patrzeć, myśli.

— Nawet nie udajesz zainteresowania! Nawet nie raczysz wysłuchać tego, co mówię!

— Ależ słucham. Cały czas, uważnie. Powtórzyć?

— Jeszcze kpisz w żywe oczy: powtórzyć! powtórzyć! — krzyczy Paweł. — Kukła, nakręcona katarynka: tak, tak, tak! Nie masz nic innego do powiedzenia? To wszystko, co potrafisz? Uprzedzam cię: jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz.

— Tak — przyznaje potulnie Łucja.

— Boże! — krzyczy Paweł. Zrywa się z miejsca. Trzaska pięścią w stół. — Boże! Daj cierpliwość!

— Tak — kiwa głową Łucja. To moje pokorne słówko, myśli, jest kulą, którą mu wysyłam, aby go ugodziła. Zaraz poderwie się z miejsca, zwinie się jak człowiek trafiony, wciśnie głowę w ramiona

obronnym gestem; może zasłoni oczy?

Paweł kurczy plecy, osuwa się w fotel, siedzi chwilę nieruchomo, wargi mu drżą, jakby zamierzał się rozpłakać, myśli Łucja, rozluźnia kołnierzyk koszuli, wolno, bezmyślnie podnosi dłoń do czoła i zostaje już tak: z zasłoniętymi oczami i czołem.

— Posłuchaj, Łucja — odzywa się. — Posłuchaj, błagam. Musimy się jakoś porozumieć. Ja... nie mam domu. Zadręczasz mnie codziennie.

— Tak — mówi Łucja.

— Łucja! — krzyczy Paweł, odejmuje ręce od twarzy, oczy mu błyszczą. — Nie przekraczaj granicy! Pozwól mi być człowiekiem!

— Tak — mówi Łucja.

— Być człowiekiem — powtarza Paweł. — Wracam do domu i zamieniam się w bydlę. Prowokujesz mnie bezustannie. Zaczynam cierpieć na rozdwojenie jaźni: ja, taki opanowany, spokojny, tracę panowanie nad sobą. Jeżeli nie potrafisz inaczej — przynajmniej zostaw mnie w spokoju. Nie patrz na mnie; nie odzywaj się, nie podchodź, nie zbliżaj. Czego ty chcesz, powiedz?

— Niczego.

— Łucja, proszę... Powiedz, dlaczego ci przeszkadza moja gazeta? Taki przychodzę zmęczony z pracy! — woła Paweł. — Czy ty tego nie widzisz? To jest mój dom, budowany z trudem przez tyle lat, otwierasz mi drzwi i nie patrząc na ciebie wiem, że stale trafiam pod zły adres. Staram się poruszać jak najciszej, nie wchodzić ci w drogę, milczę podczas kolacji, zasłaniam gazetą. Gdzie się mam schować, do mysiej dziury? Siedzisz naprzeciwko mnie przy stole, nieruchomymi oczami śledzisz mój każdy kąsek, który wkładam do ust, przyglądasz się tak, jakbym kogoś zabił, poćwiartował, udusił. Kiedy usiłuję coś powiedzieć, zamierzając przeciąć to narastające milczenie pomiędzy nami, najczęściej gubię się, tracę i wypowiadam jakieś koszmarnie bzdury, jak dziś, o tych telewizorach, że staniały. Ale gdy zaczynam opowiadać ci o swojej pracy — ziewasz, kręcisz się na krześle, jakby po tobie mrówki chodziły, więc o czym mamy mówić ze sobą? Dziś, na przykład, dzwonią do mnie z ministerstwa, grom z jasnego nieba mniej by mnie zaskoczył: kredyt na budowę wieżowca dla naszego zjednoczenia został cofnięty. A my zaangażowaliśmy do tej pory w budowę kilka milionów złotych. Gdyby jeszcze na budowę była rzeczywista asekuracja w aktach prawnych, ale jej nie ma, przez trzy ostatnie lata wydreptywałem ścieżki, kupowałem kwiaty sekretarce ministra, stawiałem kolacje rozmaitym urzędnikom z departamentu, aż wreszcie na swoją własną odpowiedzialność, prawą ręką za lewe ucho, omijając paragrafy, zaczęliśmy inwestycję. Nie na papierze, wszystko na gębę — wszystkie obietnice, zezwolenia. Postawić przed faktem dokonanym,

może się uda, może się upiecze ta pieczeń. Tydzień temu jeździłem do ministra resortu, obiecał inwestycję zalegalizować. Dziś telefon, że zezwolenia, którego mi udzielił w rozmowie w cztery oczy, nie uda się przeprowadzić oficjalnie; a przecież nie schowam budowy pod kapelusze, nie każę rozebrać na makulaturę; wracam do domu spóźniony o pół godziny na obiad, a ty mnie witasz dziką awanturą, że kartofle ostygły, że nie jesteś moją służącą, aby warować przy kuchni. Jezu! Jaki jestem zmęczony! Jak mam dosyć tego wiecznego użerania się, wyczekiwania w przedsiódkach ministerstw; tej odpowiedzialności, wiecznie brzęczących telefonów na moim biurku, panie dyrektorze to, towarzyszu dyrektorze, koniecznie, natychmiast, bezapelacyjnie; planów, budżetów, swojej własnej kariery, tego oszałamiającego awansu, podpisywania milionowych operacji i jednocześnie rachunku za kwiatki do stołówki zakładowej! Czy ty, na litość Boską, Łucja, nie widzisz, jak trudno mi żyć? Nie możesz pomóc?

— Mogę — odpowiada Łucja. Odwrócona bokiem do męża, ociera szybko oczy: nie chce pokazać mu swoich łez; wypiera się ich, jeszcze harda, ale już zboląta, już bolejąca nad swoją własną nikczemnością; siedzi bokiem, ostentacyjnie, z głową odchylną do ściany, wstydzi się łez i wzruszenia, które nieoczekiwanie dławi ją w gardle. Niełatwo przyznawać się, nawet mając twarz schowaną w cieniu ściany, do własnej podłości; „dwojgu zmarłym w cmentarzu zakątku dawna miłość śni się od początku”, myśli Łucja, nie spojrzeć na niego, gdy wybuchnę głośnym płaczem, rzucę mu się na szyję i zaczniemy wybaczać sobie wszystko, obiecywać nowe życie, jak wiele razy, jak setki razy, tysiące razy, ale jeszcze przed końcem pojednania zabrzmiały fałszywe tony, któreś z nas potrąci nie tę strunę, co potrzeba, historia zacznie się od początku; będziemy jednak udawać, że — nieprawda, jest dobrze, cudownie, a usta sztywne, cudze i słowa sztywne, chrzęszczące.

— Znowu kpisz sobie ze mnie — mówi cicho Paweł.

— Ależ nie! — krzyczy Łucja, płacze. — Jeżeli tylko potrafię ci pomóc, Paweł? Zaufaj mi, proszę, błagam! Dlaczego nigdy nie rozmawiasz ze mną jak teraz? Dlaczego żyjemy tak bardzo obok siebie, przedzieleni odległością nie do pokonania, jak na antypodach?

— Chyba nie jest tak źle z nami? mówi Paweł. Wyciąga poprzez stół rękę; Łucja kładzie na nią swój mokry od łez policzek, przymyka oczy, tak zostać, myśli, na zawsze. Nie powiedziec więcej ani jednego słowa, milczeć.

— Przepraszam cię — mówi Łucja.

— Sądzę, że w sumie, ogólnie biorąc, jesteśmy niezłym małżeństwem — ciągnie Paweł. — Nie wyobrażam sobie życia z inną kobietą. Powinienem się więcej tobą zająć, moja biedaczko. Za dużo pracujesz, taka zawsze dzielna, zapracowana, zaharowana. I skąd w tobie tyle siły, czy wiesz, że nieustannie cię podziwiam? Nasz dom dzięki tobie jest piękny, a ja nie wiem, co to znaczy mieć urwany guzik przy koszuli. Zawsze cię kochałem, Łucjo.

— I ja — mówi Łucja.

— A pamiętasz, zaczynaliśmy od łyzeczek — uśmiecha się Paweł.

— Tak, od łyżeczek — potakuje Łucja, podnosi policzek: ręka męża zostaje pusta na stole.

— Brakuje nam tolerancji, chyba w tym błąd, prawda? Za dużo pracujemy, to drugi błąd. Ale antypody? Już ty, jak coś powiesz... antypody? Powinnaś 'Odpocząć. Gdy nasze dzieci podrosną, wyślę cię na urlop. Pojedziesz sobie do naszego domu wczasowego, do Szklarskiej, tam będą koło ciebie skakać na paluszkach, przynosić śniadania do łóżka, kawę do łóżka, przytyjesz, nabierzesz sił i wrócisz, a my cię spotkamy na dworcu z kwiatami, a w domu wywiesimy transparent: „Witamy naszą kochaną mamę” — śmieje się Paweł.

— A ja — mówi Łucja — ugotuję wam dobry obiad, upiekę tort śmietanowy i zabiorę się do prania i sprzątnięcia.

— O, nie — protestuje Paweł, nie wyczuwając drwiny w głosie żony — skądże! Pranie oddamy do pralni, mieszkanie uporządkuje sprzątaczką, a na obiad pójdziemy do restauracji.

— A potem? — pyta Łucja.

— Co: potem? — nie rozumie Paweł. — Potem będzie dobrze. Za parę lat dzieci podrosną, już niedługo do szkoły, to załatwię ci wczasy w naszym domu wczasowym w Szklarskiej...

— Już raz mówiłeś — przerywa Łucja.

— Najważniejsze, abys nabrała sił, odpoczęła; bo ja nawet nie mogę marzyć o odpoczynku. Już za ostatnie dwa lata nazbierało mi się półtora miesiąca zaległego urlopu. Pamiętasz, w tym roku wezwali mnie po dziesięciu dniach telegramem.

— A ja zostałam z dwojgiem małych dzieci w wiejskiej chałupie i mordowałam się przez trzy tygodnie nosząc wodę, paląc w czterdziesto-stopniowy upał w piecu, dzieciom trzeba dać jeść, zachciało ci się prymitywu, bez światła, bez wody; miałam piękny odpoczynek, trudno lepszy wymarzyć dla siebie!

— Nie denerwuj się — uspokaja Paweł. — Wiem, wiem, niedobrze się ułożyło. Rzeczywiście, w takich warunkach nie mogłaś odpocząć. Ale ja wróciłem do pracy, nie do zabawy. I po co się zaraz licytować, kto więcej, komu gorzej? Chętnie zamieniłbym się z tobą, wolałbym codziennie sprzątnąć mieszkanie odkurzaczem i froterką, potem sobie pójść z dziećmi do parku, pochodzić po sklepach — wy to przecież lubicie — niż odpowiadać za rozwojowe przedsięwzięcie, w którym zatrudniam ponad dwustu pracowników, a miesięczny budżet wyraża się sumą kilkunastu milionów złotych. Chciałbym móc, tak jak ty, za nic nie odpowiadać. Chętnie zamieniłbym swoje zmęczenie na twoje, twoją odpowiedzialność na moją.

O, Boże, myśli Łucja, i po co ta rozmowa? Sło-masłomasłoma. Dwoje głuchych, każde mówi swoje, drugiego nie słysząc.

— Nie powinnaś zresztą narzekać, twoje gospodarstwo zmechanizowane — froterka, odkurzaczyk, pralka, wyżymaczka, robot kuchenny. Włączyć kontakt i gotowe.

— Tak, zmechanizowane — potwierdza Łucja.

- Masz sokowirówkę, mikser; nie żałuję pieniędzy, aby ci ulżyć w pracy — wylicza Paweł.
- Tak, nie żałujesz.
- Na każde twoje imienny sprawiam ci zmechanizowaną niespodziankę.
- Tak, na każde.
- Na ostatnie kupiłem ci robota, trzy tysiące złotych, pełny zestaw, możesz nawet mięso przekręcać elektrycznie, który to mąż wydaje trzy tysiące złotych na robota chcąc sprawić swojej żonie przyjemność?
- Tak, który?
- No, widzisz. Doceń mnie, proszę. Narzekałaś, że całymi dniami siedzisz w kuchni, nie mając do kogo ust otworzyć, kupiłem ci na gwiazdkę radio tranzystorowe. Zawsze przyjemniej mieszać w garnku, gdy muzyczka brzęczy.
- Tak, przyjemniej.
- No, widzisz! A ty mówisz: antypody! Jak się nam dobrze rozmawia. Czasem się pokłócimy, ale kto się czubi, ten się lubi. I, jeżeli krytykuję cię, że wydajesz zbyt dużo na te swoje proszki, to nie dlatego, że skąpie, ale dlatego, że są inne, ważniejsze wydatki. W moich intencjach nie leży sprawianie ci przykrości ani znęcanie się nad tobą, zapewniam. Często jednak czuję się pomijany, odsuwany, potrzebny tylko i wyłącznie do przynoszenia pieniędzy. Wiele decyzji podejmujesz bez uzgodnienia ich ze mną. Nie dalej, jak parę dni temu: idę do łazienki umyć ręce, a tu dozorca przybija nową szafkę na toaletowe drobiazgi. Owszem, estetyczna, elegancka, lecz nie poinformowałaś mnie nawet, że zamierzasz ją kupić; sama, poza moimi plecami, jak złodziej, pod moją nieobecność, kupujesz, nie pytając, czy uważam za konieczny podobny obstalunek. Są pewne sprawy, które po prostu wypada uzgodnić wspólnie. A ty zazwyczaj stawiasz człowieka przed faktem dokonanym.
- I pan minister cofa kredyty. Wynajmę się do mycia okien, oddam ci za tę nieszczęsną szafkę. Powiedz, a oddychać wolno bez ciebie?
- A jednak z tobą nie można jak człowiek z człowiekiem — mówi z żalem Paweł.
- Za szafkę odpokutowałam: przez tydzień nie odzywał się inaczej, jak: proszę podać, proszę zabrać, proszę zrobić. I chodził po domu trzaskając drzwiami, aż dzieci się przed nim chowały.
- Wypraszam sobie! Nigdy nie trzaskam drzwiami, to nie w moim stylu. To ty trzaskasz drzwiami. Rozbijasz talerze. Drzesz mi gazety. Urządzasz demonstracje. Myślisz, że nie widzę? — Paweł parska śmiechem. — Niewyżyta aktorka. Zaopatruje się nawet w akcesoria. Chodzi z eucardiną w kieszeni.
- Łucja chowa ręce pod stół, nie panuje nad nimi.
- A jeśli naprawdę jestem chora?

— Chora? Z urojenia — śmieje się Paweł. — Te pigułki to nędzny kamuflarz, zwykły szantaż. Sądzisz, że nie wiem, o co ci chodzi? Pragniesz mnie zmusić do współczucia. Ogromnie lubisz, kiedy ktoś lituje się nad tobą, stąd przyjaźń z Teresą, porządni ludzie nie chcą cię znać, nawet twoja rodzona matka nie lubi przychodzić do ciebie; jedynie przed Teresą możesz się poużalać, poudawać, zagrywać te swoje scenki z omdleniami. Gdy ktoś jest chory, kładzie się do łóżka, idzie do lekarza albo do szpitala, wyjeżdża do sanatorium — wywodzi Paweł; z żelazną, nieodpartą logiką, myśli Łucja, słuchaj go dobrze, uważnie, nie opuść ani słowa, dowiesz się ciekawych rzeczy. — Ja ci coś powiem, zupełnie szczerze, Łucja, ty zmień system, wymyśl coś nowego. Odgrzewane nie smakuje, powinnaś wiedzieć, jesteś niezłą kucharką. Ty mnie po prostu rozśmieszasz. Chora! Jeżeli za cokolwiek ciebie podziwiam, to właśnie za twoje niespożyte siły. Silniejsza od mężczyzny — obserwowałem wielokrotnie. Podczas ostatniego remontu táchalas meble z jednego pokoju dó drugiego; ja przesunąłem regał i wysiadłem, a ta szalała przez cały tydzień i nie spoczęła, aż wszystko lśniło. Gdybym miał wywiórkować chociaż jedną z podłóg, w następstwie z pewnością wzywałabyś pogotowie. Ty wiórkujesz z takim rozmachem, że i cykliniarz za tobą nie nadąży. To zresztą zdrowe: praca fizyczna. Tobie nie grozi ani miażdżyca, ani niedotlenienie płuc, ani zawał serca, tak jak mnie. Dzieci rodzi jak królicza, szafy przesuwają jak kulturysta i nosi w kieszeni eucardinę. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jaka jesteś śmieszna.

— Co ty wiesz o rodzeniu dzieci, Paweł? — mówi cicho Łucja, w ustach ma sucho, gorąco.

— Tyle, ile potrzeba. Wracałaś po trzech dniach ze szpitala i wyglądałaś jak... — Paweł przerywa, zastanawia się, kończy: — Jak jabłuszko.

— Jak jabłuszko? — pyta Łucja, oblizując spieczoną wargę.

— Kwitnące. Nie widać było, że rodziłaś. Nawet mieściłaś się od razu w swoje spódnice. Pamiętam zresztą doskonale, co lekarz do mnie powiedział: „Pogratulować żony. Jest jak z żelaza”.

— Jak z żelaza — powtarza Łucja. — O, Boże.

— Może nie tak powiedział? Może powiesz, że zmyślam?

— Nie. Nie zmyślasz — odpowiada Łucja. — Lekarz powiedział: „Jak z żelaza”.

— Po co więc wyolbrzymiać coś, co jest zwykłym aktem biologicznym? Gdyby was tak bolało, jak twierdzicie, nie rodziłybyście z taką ochotą — oznajmia Paweł, macha lekceważąco ręką. Pamiętam dobrze, jak się cieszyłaś, że wreszcie idziesz rodzić. Może nie tak było? — upewnia się. — No? Co milczysz? Żebyś ty zobaczyła teraz siebie, jak wyglądasz! Ktoś siedzący z boku i obserwujący nas mógłby odnieść wrażenie, że skamieniałaś z bólu: ściągnięte rysy, usta opuszczone boleśnie, oczy jakby przestonięte mgłą rozpacz — śmieje się Paweł.

— Ale nikt nie zobaczy — mówi Łucja.

— Żałujesz, prawda?

— Zostaw mnie w spokoju.

— Dlaczego? Ja twoich obelg wysłuchałem spokojnie, uważnie, nawet je sobie ponotowałem w pamięci. Będę pamiętał o wszystkim, co byłaś łaskawa mi powiedzieć. W odpowiednim czasie skorzystam. Poczekam: oliwa nierychliwa, ale na wierzch wyptywa. Zawsze — przekonało mnie życie — istnieje przynajmniej metafizyczna sprawiedliwość i na nią w naszym przypadku liczę. Poczekam, nie obrażam się. Nawet się nie unoszę, rozmawiam z tobą spokojnie, prawie jak przyjaciel — Paweł znowu się śmieje. — A ty za każde słowo prawdy z pazurami. Prawda w oczy kole, co? Najłatwiej w oku bliźniego widzieć słomkę, a w swoim i kłody nie dostrzec. Oburzają mnie do żywego twoje zarzuty. I nie myśl, że przechodzę nad nimi do porządku dziennego, puszczając koło uszu. Nie. Dziesiątki razy analizowałem swój stosunek do ciebie i muszę zawsze orzec, że jest on poprawny. Oczywiście, mam swoje wady, ale któż jest bez nich? Chodzisz głodna? Zaniedbuję dom? Nie daję pieniędzy? Brakuje ci na cokolwiek? W każdą niedzielę jeżdżę z dziećmi na spacer, a to do ZOO, a to za miasto, do lasu. Urlopy spędzamy razem, choć co roku już sobie obiecuję: ostatni raz jechałem z rodziną, przynajmniej przez miesiąc odpocząć od ciebie, od twoich pretensji. Ale to jest moim obowiązkiem jako męża i ojca spędzać z wami razem wolny czas. Te urlopy, kiedy jesteśmy już w ogóle bez przerwy razem, to istne piekło! — krzyczy Paweł. — Jestem szczęśliwy, kiedy zamykam za sobą drzwi tego domu, wychodząc do pracy! Przynajmniej przez część dnia mogę ciebie nie oglądać, odpoczywać od ciebie! A przecież — Paweł opanowuje się z trudem, mówi spokojniej — a przecież staram się udawać, że nic się nie zmieniło. Że wszystko jest pomiędzy nami, tak jak być powinno. Lżej mi z tym. Zresztą widzę: starasz się być dobrą żoną, dom jest czysty, zadbany, nie mam prawa ci czynić o dom zarzutów, pracowita aż do przesady, czysta aż do przesady, dbasz o dzieci i o mnie również, zawsze mam koszule czyste, guziki poprzyszywane, przynaję, gdyby nie ty, twoja pracowitość, umiejętność pszczędnego gospodarowania, nie mielibyśmy ani połowy tych rzeczy, które mamy. Twoja praca jest więcej warta, niż gdybyś poszła gdzieś na państwowy etat, bo i co ty byś mogła zarobić? Bez żadnych kwalifikacji, bez zawodu? Chcę być sprawiedliwy, Łucjo — mówi Paweł — ale ty zdobądź się również na odrobinę sprawiedliwości. Jeszcze nie jesteśmy takim najgorszym małżeństwem. Ani ja najgorszym mężem. Pieniądze oddaję, czasem się wtrączę, ale w dobrej wierze i w najlepszych intencjach, chodzisz przyzwoicie ubrana, zawsze pamiętam o rocznicy ślubu, o twoich imieninach, jestem na odpowiedzialnym stanowisku, liczę się, dzięki mnie i ty się liczysz, nie zdradzam cię, nie interesuję się innymi kobietami, chociaż mógłbym, nie biorę alkoholu do ust, nie włóczę się po knajpach, nie urządzam ci ordynarnych awatur, nie biję cię — mówi Paweł, a Łucja w myślach powtarza: nie bije mnie, prawda niezaprzeczalna, nie upija się ani nie włóczy po knajpach, również prawda, jest na odpowiedzialnym stanowisku, też nie do podważenia, dzięki temu tytułują mnie: pani dy-rektorowo.

— Wypiszę to wszystko złotymi zgłoskami — odzywa się Łucja. — Albo wyszyję makatki, które powieszę w swoim pokoju na widocznych miejscach: Nie bije! Nie pije! Jest na stanowisku! Nie zdradza! Memento, Łucjo! Odmawiaj co wieczór nowennę dziękczynną. Ogłoś w gazecie: Nie pije! Nie bije! O, Boże. Lepiej byś milczał, Paweł. Lepiej oboje milczmy. Nie mówmy nic do siebie, nigdy. Zamieńmy się w głuchoniemych. Błagam cię, przestań mówić do mnie. I ja przestanę. To nie do wytrzymania, ten bełkot, jaki prowadzimy ze sobą. Zalety męża: nie bije, nie pije, na stanowisku, ma samochód. Zalety żony: guziki przy koszulach są, krawaty wyczyszczone wiszą, spodnie odprasowane czekają, rosół z domowym makaronem wspaniały, zrazy po nelsonsku kruche. Dobre małżeństwo: on wraca z pracy na odpowiedzialnym stanowisku do domu, ona czeka na niego z obiadem. Mieszkanie na wysoki połysk, ani

pyłka, dzieci — nie, dzieci w to wplątywać nie będę, w nasz bełkot, w nasze życie, one na to nie zasługują. Chociaż dzieci ocalić. Ale jak? Nie wiem. W każdym razie nie przez niedzielne wywożenie ich na spacer do ZOO czy do lasu. Dzieci, wierzę, że je kochasz, wierzę, że dlatego zabierasz je co niedziela samochodem za miasto. Nie, nie, jesteś dobrym ojcem, pamiętam, jak nie spałeś trzy noce, gdy Jacek chorował na szkarlatynę. Ale one na nas patrzą. Jezu! — woła Łucja. — Kilka dni temu, słyszę, Jacek płacze. Biegnę do nich, Jacek siedzi w kącie, nieszczęśliwy, szlochający, Baśka, jak to Baśka, wieczna psotnica, grzmoci go ile sił. „Baśka, nie bij dziecka, jak ci nie wstyd, bijesz młodszego od siebie.” „A kiedy on się nie chce ze mną bawić w mamusię.” „A, bo ona, mamo, powiedziała, żebyśmy się bawili w mamusię i tatusia, i kazała mi być mamusią. Ja nie chcę być mamusią. Ja chcę być tatusiem.” „A właśnie że ja nie chcę być mamusią, wolę być tatusiem, jestem starsza i musisz mnie słuchać, jak mamusia tatusia.” Czy ty rozumiesz, Paweł? „Musisz mnie słuchać, jak mamusia tatusia.” Biedne dzieci, żadne nie chce nawet w zabawie być mamusią? Jeszcze małe, a potem, później? Jak mam przed nimi .udawać swoje szczęście rodzinne? Patrzcie, patrzcie, ludzie, jakie dobre małżeństwo: zawsze czysta, codziennie wytrzepana wycieraczka przed zawsze doszorowanymi drzwiami do państwa Gąsio-rowskich. On nie pije, nie bije, ona czeka z obiadem. Wzór, ideał. O, Boże! —? woła Łucja. Poczucie krzywdy, przegranej, klęski ostatecznej, straconych lat młodości, która już minęła, nadziei prawdziwych i urojonych wybuchu w niej z namiętną siłą i pragnie mu wszystko to wytłumaczyć, raz jeszcze spróbować od nowa, od początku, cofnąć czas, zniszczyć pamięć, zapisać ją na nowo, przywołać umarłe uczucie, znowu kochać. — Paweł, jeżeli tylko zechcemy sobie pomóc, ja tobie, ty mnie, jeszcze może się nam uda? Mam trzydzieści lat, a czuję się tak, jakbym przeżyła już całe swoje życie. Aż dziwię się: trzydzieści lat, dopiero, nie, niemożliwe, przecież jestem bardzo, bardzo stara. „I pomarli oboje bez pieszczoty, bez grzechu, bez ły szczęścia na oczach, bez jednego uśmiechu”. My się nawet do siebie już nie uśmiechamy, nie potrafimy. Pamiętasz, jak kiedyś przyniosłeś mi róże? Na nasze pierwsze spotkanie? mówi Łucja i jest gotowa raz jeszcze zapomnieć: róże za pół darmo, róże z koleżeńskiej przeceny, cóż szkodzi, myśli, że już wtedy był oszczędny, wszedł w małżeństwo z kapitałem oszczędności na książeczce. — Kochałeś mnie, ja ciebie, to się powinno liczyć. Kochałeś mnie, ja ciebie, a potem? Co się stało z nami potem? Popelniliśmy jakiś błąd, a może on już tkwił we mnie, w tobie? — Całymi dniami, myśli Łucja, powtarzam swoje życie, codziennie przeżywam je na nowo, szukając tego błędu. — Nie mogę zrozumieć — mówi — dlaczego zmarnowaliśmy daną nam szansę na szczęście? — Pewno, myśli, że można nie być zawsze szczęśliwym, ale być tak krótko, nieprawdziwie, i płacić potem aż taką cenę? — Lżej byłoby znosić się wzajemnie, łatwiej, nie pamiętając, że kiedyś kochaliśmy się — mówi Łucja, podnosi na Pawła oczy zalane łzami, chciałabym się wyprzeć, mnie się tylko wydawało, że go kochałam, wydawało się, ponieważ chciałam kogoś kochać, i jemu pewno również, oboje ulegliśmy mistyfikacji, ponieważ jej potrzebowaliśmy. — Spotkajmy się jeszcze raz, na nowo. Spróbujmy, a jeśli się uda? Pobraliśmy się i byłam zachwycona tym długofalowym planem, rozkładem naszego przyszłego życia, który mi przedstawiłeś. Rozplanowałeś dokładnie: co najpierw kupimy i co będziemy stopniowo kupować, ile trzeba odkładać miesięcznie. Dzieliłeś pieniądze na kupki: ta na życie, ta na przyjemności, a ta na dorabianie się. Raz na miesiąc do kina, raz na kwartał do teatru. Zestaw stołowy na raty, na dywan trzeba odłożyć osobno, dywanów nie dają na raty. Mieszkanie mamy, rodzice są starzy, oddają nam dwa pokoje. Starzy rodzice, stare meble. Starzy rodzice znaleźli się tak uprzejmie, że pomarli szybko, kolejno, w ciągu drugiej zimy naszego małżeństwa, stare meble powędrowały do komisji i następny etap planu na życie można już było realizować bez przeszkód: tu mój gabinet, tu pokój stołowy, a jednocześnie bawialnią, bo jak przyjdą



goście, to trzeba mieć gdzie ich przyjąć, tu pokój dziecinny, tu twój. Od początku wiedziałeś, co i jak, dokładnie, w którym miejscu. Tu telewizor, tu fotel, tam kryształ. Tu ja, tu ty. Z ołówkiem w ręku, systematycznie zaprogramowane. Najpierw meble, potem dzieci. Dzieci najwcześniej za pięć lat. Brzydzą się kobiet w ciąży, nie możemy sobie pozwolić na dziecko. Ogłupiała, jeszcze wierząca w szczęście, jeszcze z nadzieją na miłość, nie chciałam, abys się mną brzydził. Ale zaraz jedna ciąża, potem druga; ich bezpośrednie konsekwencje: koniec z ambicjami, koniec z marzeniami o teatrze. Obliczyłam przy pierwszej — mam dwadzieścia trzy lata, gdy urodzę, będę miała prawie dwadzieścia cztery; jeszcze rok odczekać, zanim dziecko z czystym sumieniem będę mogła oddać do żłobka — i już dwadzieścia pięć lat; zanim skończę brakujące do dyplomu trzy lata — bije mi lat dwadzieścia osiem; za późno, na wszystko za późno. — Dlaczego za późno? — krzyczy Łucja.

— Skończyłaś?

— Nie, nie skończyłam! Posłuchaj mnie, Paweł. Mówisz: „jak z żelaza”. To prawda, tak powiedział lekarz, ale to tylko część prawdy. Zapomniałeś, że szłam rodzić o miesiąc wcześniej i Basię, i Jacka.

— Przecież upewniałem się, nie groziło ci żadne niebezpieczeństwo — mówi Paweł. — I po co wszystko wypominać?

— Boże! — krzyczy Łucja, jak mu powiedzieć, aby zrozumiał, aby odrzucił tę obojętność, cięższą od kamienia, cięższą od śmierci? — jak ty zawsze wszystko wiesz, jak ty to robisz, że wiesz tak dobrze, tak pewnie? Nie odprowadziłeś mnie nawet do szpitala. Spakowałam do teczki drobiazgi, koszulę, szlafrok, mydło, ręcznik i zamknęłam drzwi na klucz, i poszłam, sama. Szłam i płakałam, ludzie oglądali się za mną. Ileż razy przebywałam tamtą drogę do szpitala, do tej pory nie pojmuję, dlaczego szłam nią sama? Gabinet profesora — przypomina sobie Łucja — do którego polecił mnie twój znajomy. „Musi pani położyć się u nas wcześniej, ciąża jest powikłana, nie ma niebezpieczeństwa, ale trzeba nad panią czuwać, stąd te uporczywe bóle. Zaopiekujemy się panią i będzie wszystko dobrze, proszę się nie martwić”; zatroskana

—

—

twarz obcego człowieka, pochylonego nad moim olbrzymim brzuchem, już zsiniałym od popękanych naczyń krwionośnych, od podskórnego wylewu. „Proszę się ubrać i poprosić do mnie męża”. „Ja przyszłam tu sama”. „Nie rozumiem, jak to sama? w tym stanie sama? A gdzie mąż?” — niedowierzające, zdziwione pytanie, myśli Łucja, które tak bardzo mnie upokorzyło, jak uderzenie w twarz, uświadamiając

mi moją samotność, odczuwaną już wcześniej: Paweł, dzwonił ten twój przyjaciel, załatwił mi na dziś o dwunastej wizytę w klinice u profesora; ach, tak? o dwunastej? bardzo dobrze, że załatwił; Paweł! Słucham cię? Przysuń mi pieczywo, dziękuję, więc? przebadaj cię i wreszcie się uspokoisz, przestanie ci się zdawać, że od ciąży się umiera, skończył jeść śniadanie, włożył płaszcz, kapelusz, długo składał jakieś papiery na biurku: wróć dziś później, mam konferencję, przygotuj solidny obiad, będę wściekle głodny — więc pragnąc choć trochę usprawiedliwić się, obronić, przekonać samą siebie, że jestem jednak kochana: „Mój mąż nie mógł ze mną przyjść, ma dziś ważną konferencję w ministerstwie”. „Ach, konferencję? — powiedział profesor — cóż, w takim razie oczekuję pani pojutrze, głowa do góry” — i do tej pory nie wiem, czy chciał mnie po prostu pocieszyć, że powikłanie nie jest groźne, czy też wyrazić swoje współczucie, a może natchnąć otuchą na przyszłość: głowa do góry? mąż panią kocha? Nigdy chyba dotkliwiej nie uświadomiłam sobie twojej obojętności, Paweł! — woła Łucja. — Wróciłam do domu, ugotowałam obiad, przyszedłeś około piątej, już było ciemno, listopad, zjadłeś i nawet nie zapytałeś o wynik badania, a ja czekałam na to przez cały wieczór i noc, i następny dzień — milczenie, cisza. I kiedy już zrezygnowana powiedziałam ci, że idę do szpitala, nawet nie rozumiałeś, o czym mówię: jak to, dziś? Przecież jeszcze nie twój czas, masz miesiąc do rozwiązania. A potem się wściekłeś, stałeś i wrzeszczałeś nadę mną, że mówię ci o tym w ostatniej chwili, gdybyś wiedział od razu, zamówiłbyś sobie obiady w stołówce. — I wyszedł, trzaskając drzwiami, myśli Łucja, akurat taki nawał spraw, koniec roku, zamykamy plan i budżet, co będę robił przez ten miesiąc. — Szłam ulicą i płakałam. Dopiero przed szpitalem ochłonęłam — mówi Łucja — jakże ja wejdę tam: zapłakana? Więc schowałam się na schodach w sąsiednim domu, czekając, aż się uspokoję, ale ludzie, którzy schodzili lub wchodzili na schody przyglądali mi się podejrzliwie — tak mi się zdawało, że patrzą na mnie podejrzliwie — weszłam wyżej, aż na strych, było zimno, cuchnęło myszami, i tam czekałam, aż będę mogła pójść do izby przyjęć jak gdyby nigdy nic, jakby na porządku dziennym, normalnie, prawie zawsze, zjawiały się brzemiennie kobiety same, z teczką w ręku. — Pamiętam, myśli Łucja, stały dwa biurka, za biurkami siedziały dwie kobiety w białych fartuchach, a na ławce młoda dziewczyna z chłopcem: trzymali się za ręce. — Boże! — krzyczy Łucja — a ty gdzie byłeś? Dlaczego szłam sama, dźwigając swój brzuch i swój ból, dlaczego musiałam chować się na brudne schody, aby czekać na odzyskanie twarzy, która już nie była moją twarzą? — Kobieta w bia-

łym fartuchu, przypomina Łucja, zapytała: A gdzie mąż? — Zawsze wszyscy pytali: a gdzie mąż? — krzyczy Łucja. — A potem, gdy spodziewałam się Jacka, już nie zastanawiałam się, czy mnie odprowadzisz, czy nie, już się prawie przyzwyczaiłam, po prostu: zadzwoniłam po taksówkę. Podałam szoferowi adres, myśli Łucja, spojrzął na mnie w lusterku nad kierownicą i puścił oko: panienka bez męża? Dowcipny. — A jak oszczędzaliśmy na samochód — mówi Łucja cicho, opierając głowę o stół — i nie było pieniędzy, aby oddać bieliznę pościelową do prania, i w łazience, obok wanny, przy wywalonym

kotle, z nogami poparzonymi wrzącymi mydlinami, dostałam krwotoku, a później poszłam, jak zwykle sama, doskrobać resztę i wracałam sama, tłumacząc cię przed lekarką, że ktoś musiał zostać w domu z dziećmi, dzieci są małe, chore, bardzo chore, tak się złożyło, prawie je uśmierciłam, czterdzieści stopni gorączki i właśnie mąż oczekuje lekarza. Nie było taksówek, nie pamiętam, dlaczego nie wracałam taksówką, może mi tak weszło w krew to oszczędzanie? i milicjant wylegitymował mnie, sądząc, że to jakaś pijana kurwa czepia się ścian. Czasem — kończy Łucja, bardzo zmęczona — myślałam, że ty jesteś z kamienia. Istnieje chyba jakaś granica obojętności, nie wiem, nie wiem.

— Skończyłaś?

— Paweł!

Podnosi głowę, z trudem, jest taka ciężka: Paweł patrzy na nią wstrząśnięty.

— Łucjo — mówi Paweł — to straszne. Ja... jeżeli tak wszystko odczuwasz, to straszne. Nie sądziłem, że jest w tobie aż tyle zapiekłej goryczy. — Boże, spraw, abyśmy porozumieli się ze sobą, myśli Łucja, może jeszcze nie jest za późno? — Dlaczego nigdy o tym nie mówiłaś? — ciągnie Paweł, kłamie, myśli Łucja, niech kłamie, wszystko jedno, mówiłam mu, tyle razy, czy ważne, że mówiłam? niech kłamie, uwierzę mu i kłamstwo zamieni się w prawdę.

— Więc tak mnie widzisz? Naprawdę tak: jak potwora? Nie, nie mam do ciebie żalu, dziękuję za szczerość, to dobrze, Łucjo, że wreszcie coś ważnego sobie powiemy. Chylę czoła przed twoją prawdą o mnie, do głębi wstrząśnięty. I nie wiem, co mam zrobić, jak przekonać, że istnieje również i moja prawda. Powiedz mi tylko, Łucjo, jak potrafiłaś tego dokonać, tyle lat żyć pod jednym dachem z potworem? Naprawdę: taki jestem?

— Nie, nie, to nieprawda, chciałam cię dotknąć, obrazić, już nic więcej, ani słowa, wystarczy — płacze Łucja. — Masz ze mną ciężkie życie, mój biedaku.

— Obrazić? W taki sposób? To okrutne — zdumiewa się Paweł. — Nigdy nie wiem, kiedy grasz, a kiedy jesteś sobą. Nie odwoziłem cię do szpitala, ponieważ nie chciałaś. Pamiętasz? Dlaczego udajesz, że zapomniałaś?

— Nie chciałam? Nie chciałam? Niemożliwe — teraz Łucja się dziwi.

— Kazałaś mi jechać na naradę do ministerstwa. Rozstrzygała się sprawa mojego awansu na wicedyrektora, uznałaś ją za pierwszoplanową. Naprawdę, wciąż nie pamiętasz?

— Tak — uśmiecha się Łucja przez zęby; myśli: wszystko jedno, nieistotne, kazałam, nie kazałam, prawda, nieprawda, liczy się tylko to, że chciał być wtedy ze mną.

— A gdy leżałaś w szpitalu, rzucałem wszystko i przybiegałem do ciebie. Każdego dnia, ani jednego nie opuściłem. Łucjo, na litość boską, dlaczego chcesz widzieć mnie gorszym niż jestem? — woła Paweł, załamując ręce tak silnie, że trzaskają stawy. — Dlaczego wymyślasz te straszliwe, obciążające historie? Parę lat temu nie mogłem patrzeć, jak się męczysz w domu: maleńkie dzieci, olbrzymie mieszkanie i ta

twoja obsesyjna chęć ustawicznej pracy, jakbyś się w niej zapamiętywała — wynająłem ci sprzątaczkę. Kobięcina po tygodniu przyszła do mnie płacząc, że z tobą nie może wytrzymać. Pracze przy którymś tam praniu urządziłaś awanturę, że niszczy twoją bieliznę piorąc ją w śmierdzących proszkach; kiedyś znowu poprosiłem żonę naszego portiera, czy nie zechciałaby przyjść do nas i umyć okna. Przyszła, umyła — a ty następnego dnia z zimną zajadłością rozkręcałaś okna i myłaś od nowa. Powiedziałem sobie wtedy: umyłam ręce. Niech się męczy, co mnie to obchodzi? Łucja, gdybyś potrafiła się zdobyć choć na odrobinę sprawiedliwości, minimum samokrytycyzmu — nasze życie odmieniłoby się o sto osiemdziesiąt stopni. Od początku nie można było z tobą wytrzymać, ale ostatnio przekraczasz wszelkie granice! — unosi się Paweł. Wstaje, zaczyna chodzić po pokoju, od ściany do ściany, tam i z powrotem. Zatrzymuje się przed Łucją.

— Widzisz — mówi — widzisz, znowu krzyczę. Przepraszam... Wszystko dlatego, że nie mogę zrozumieć, jaki masz powód w fałszowaniu faktów? Oskarżasz mnie, powinnaś więc dysponować uczciwym, obiektywnym, a nie urojonym materiałem dowodowym. Przecież z tą ostatnią skrobanką: czy ja ci kazałem dźwigać kocioł? Nawet mi nie powiedziałaś, że jesteś w ciąży! Nic, ani słowa! A o krwotoku? Chodziłaś przez kilka dni po domu, zielona na twarzy i bez słowa, aby potem przy okazji jakiejś kłótni wyciągnąć dobijający mnie argument: przez ciebie krwotok, przez ciebie, bo jesteś potworem bez serca. Muszę ci się uczciwie przyznać, Łucja: nie wierzyłem w ten twój krwotok. Sądziłem, że to zwykły szantaż. Dopiero od lekarza dowiedziałem się, że tym razem mówiłaś prawdę. I wtedy również nie pozwoliłaś się odwieźć, kazałaś mi zostać z dziećmi, bo dzieci nie mogą być same, bez opieki. Tak było?

— Tak. Tak było — potwierdza Łucja. Zapytał, myśli, znad szklanki herbaty: mam cię odwieźć? Dziękuję, pojedę sama. Kiedy wrócisz? Niedługo. Mydliny zmieszały się z krwią; ścierałam i ścierałam. Po co o czymkolwiek mówić? Aby narazić się na zarzut szantażu? Histerii? Przewrażliwienia?

— Jestem pewny, że spytałem, czy cię odwieźć. Odpowiedziałaś przecząco, jak zawsze, ponieważ nigdy nie życzyłaś sobie mojej pomocy. Ale potem wziąłem trzy dni z urlopu i zajmowałem się tobą, dziećmi, domem.

— Tak — mówi Łucja.

— Gdzieś kołatało we mnie poczucie winy; kupiłem ci zegarek, nosisz go do tej pory. Gdybyś mnie poprosiła, pomógłbym przenieść kocioł do łazienki.

— Tak, oczywiście, pomógłbyś.

— No widzisz! Cieszę się, że porozmawialiśmy z sobą tak szczerze. Nie trzeba myśleć o sobie źle, po co się wzajemnie oskarżać? Przeżyliśmy razem niemało, trzeba to ocenić. W następnym miesiącu, jak otrzymam premię, dorzucę ci z trzysta złotych, może zechcesz kupić sobie jakiś upominek, twarzowy

sweterek, zdaje się, że nie masz zbyt dużo sweterków? Co, Łucjo?

— Nie, nie mam.

— Takie odniosłem wrażenie — ciągnie Paweł; rozpromieniony swoją szczodrością, myśli Łucja. — A gdy pojedę do Anglii, przywiozę ci dużo pięknych rzeczy. Co byś chciała najbardziej?

— Wszystko jedno.

— A czego ci brakuje?

— Niczego.

— No, no, Łucjo, nie bądź taka skromna, wszystkim nam brakuje dużo rzeczy. I uśmiechnij się, dlaczego wyglądasz mi na zasmuconą? — mówi uśmiechając się Paweł, wyciąga poprzez stół dłoń. — No, proszę o uśmiech. „Jak banderę wciągnij uśmiech na swój maszt” — śpiewa basem.

Łucja uśmiecha się.

— Teraz lepiej. Jesteś wciąż ładna, gdy się uśmiechasz — ujmuje rękę Łucji, przyciąga do siebie. — Ta rączka taka mała, taka mała, taka zimna — mówi Paweł całując. — A taka dzielna, oddana, tkliwa — znowu całuje. — Już wiem, co na pewno przywiozę ci z zagranicy! — wykrzykuje. — Solidny materiał na płaszcz. Prawda, dobry pomysł?

— Dobry.

— No widzisz, jakie pomysły ma twój mąż! Napijemy się jeszcze herbatki? Paweł puszcza dłoń Łucji.

— Możemy — odpowiada Łucja. Wszystko możemy, napić się herbatki również, myśli.

— To zrób swemu mążkowi dobrej herbatki. Żebyś nie miała zbyt wiele kłopotu, zaparz od razu do szklanki.

— Dobrze — zgadza się Łucja. Nie ma sił ruszyć się z miejsca, podnieść — siedzi, a ręka, którą uwolnił ze swojej Paweł, leży przeciągnięta wzdłuż stołu. Wyprawię jej pogrzeb, myśli Łucja, pochowam, obsieję kwiatkami. Obstaluję wieniec: tu spoczywa w spokoju wiecznym prawa ręka dyrektorowej Łucji Gąsiorowskiej. Prosi o zmiłowanie. Przeżyła lat trzydzieści.

— A może byś w niedzielę, jak będzie ładnie, pojechała z nami do lasu.

— Mogę pojechać — zgadza się Łucja.

— Świetnie, świetnie? — cieszy się Paweł — zrobimy sobie śniadanie na trawie. Piękna w tym roku jesień, nawet nie masz pojęcia, jak pięknie jest w lesie.

— Nie mam — mówi Łucja.

— Ale to tylko twoja wina: zawsze na niedzielę odkładasz mnóstwo zajęć. Trzeba sobie tak

zorganizować pracę w ciągu tygodnia, żeby chociaż kawałek niedzieli mieć wyłącznie dla siebie.

— Trzeba — przytakuje Łucja, ręka jej leży nieruchoma. Pogrzeb będzie uroczysty, światła, gromnice, kadzidło.

— Dzieci są szczęśliwe w lesie. Biegają, bawią się w chowanego, zbierają mech i kamyki, które oczywiście wyrzucam, trudno śmieci przywozić do domu. Jacek w ubiegłą niedzielę nazbierał cały koszyczek wspaniale czerwonych muchomorów i za nic w świecie nie pozwolił się przekonać, że to są trujące grzyby. Aż się rozplakał, biedaczek. Nie wszystko złoto, co się świeci. Cóż, jeszcze z niego mały brzdąc, nie rozumie.

— Właśnie, nie rozumie.

— Ale muszę się przyznać, że sam żałowałem tych muchomorów, taki piękny grzyb, a niejadalny, w dodatku trujący. Przyroda jest przewrotna.

— Nie wszystko złoto, co się świeci — mówi Łucja.

— Dziecku trudno uwierzyć: jeśli jest ładne, musi być dobre. Nawet Baśka, chociaż duża, uparła się, że znalazła bursztyn. Taki sobie zwykły kamyczek, tyle że brązowy. Bursztyn, tatusiu, i bursztyn. Musiałem jej zrobić cały wykład o bursztynach i tłumaczyć ich pochodzenie.

— Biedna Basia — mówi Łucja.

— Dzieci są śmieszne. Cóż za wyobraźnia. Wiesz, a ja nie pamiętam, abym sobie wyobrażał w dzieciństwie takie rozmaite niestworzone historie. Kamyk to kamyk — i nic więcej. Matka moja zawsze twierdziła, że byłem od dziecka rzeczowy i konkretny. Pewno dlatego zostałem ekonomistą — śmieje się Paweł.

— Pewno — przytakuje Łucja.

— Koniecznie powinnaś układać sobie pracę w tygodniu tak, aby móc z nami jeździć. Odetchniesz świeżym powietrzem, odprężysz się, odpoczniesz. Znakomity relaks.

— Tak — potwierdza Łucja. — Znakomity.

— Ja odpoczywam świetnie. A dzieci! jakie rumieńce, jaki apetyt w lesie! Ile byś nie zrobiła nam jedzenia, wszystko zjedzą i jeszcze muszę po drodze kupować słodycze, ciastka. Dwa tygodnie temu wstąpiliśmy do chałupy, no, nie taka znowu chałupa — poprawia się Paweł — zupełnie przyzwoity dom, murowany, nowy, nic masz nawet pojęcia, jak się wieś zmienia, buduje.

— Nie mam, rzeczywiście.

— I dobrze, i dobrze — cieszy się Paweł, zapala papierosa — najwyższy czas: byliśmy tacy zacofani. W stosunku do Zachodu o pięćdziesiąt lat; nie tak łatwo nadrobić wieloletnie straty i nie tak szybko ani łatwo dogonić Zachód, lecz już jest znacznie lepiej, z roku na rok, zmiany zaczynają być widoczne gołym okiem. U tej gospodyni, do której wstąpiliśmy dwie niedziele temu, telewizor, pralka, łazienka w domu,

łazienka! u chłopca, no, no. Byłem nawet zdumiony, a że pogadaliśmy sobie o tym i o owym, wyjaśniła, że wszędzie, gdzie buduje się od nowa, wszędzie chłopcy planują sobie łazienki. Czasy balii i wspólnego szorowania wszystkich w jednej wodzie przed wielkim świętem skończyły się, proszę pana, powiedziała do mnie. Słyszałaś coś podobnego: skończyły się! Ja u siebie łazienkę kafelkami wyłożyłam i mam taką, jak ludzie w mieście. Rzeczywiście, bo nam pokazywała. I wiesz, zauważyłem nawet kubki ze szczoteczkami do zębów. Prawdziwa rewolucja.

— Rewolucja — zgadza się Łucja.

— Ta gospodyni ma kurzą fermę. Właśnie od niej przywożem ci wtedy jajek. Sprzedała nie na mendle, a na kilogramy — jak do skupu. To się bardzo opłaca, na kilogram wchodzi od szesnastu do osiemnastu jajek, jak mniejsze to . osiemnaście, większe — szesnaście. Za świeże jajko, duże, płacisz w sklepie po trzy złote za sztukę, więc za szesnaście trzeba zapłacić... szesnaście razy trzy — mruży Paweł — czterdzieści osiem złotych, a tam zapłaciłem za kilogram zaledwie czterdzieści. Całe osiem złotych różnicy. Ile u nas wychodzi jaj miesięcznie?

— Dużo.

— Ale ile? Czekaj, ja sam zjadam codziennie na śniadanie dwa jajka. Oprócz niedzieli. To jest: dwadzieścia sześć dni razy dwa, czyli pięćdziesiąt dwa jaja. Na mnie jednego! — ekscytuje się Paweł swoimi obliczeniami. — To będzie dwa, prawie trzy kilogramy. A więc już na mnie jednym można oszczędzić w ten sposób miesięcznie dwadzieścia cztery złote. A przecież używasz jeszcze jaj do ciast, do kolacji, dajesz dzieciom. Mnóstwo, mnóstwo. Jeżeli będziemy zaopatrywać się w jaja bezpośrednio na wsi, możemy, zaokrąglając, zyskać miesięcznie jakieś sześćdziesiąt złotych. To dużo.

— Tak, dużo.

— Świeże były te jaja?

— Świeże.

— No widzisz! — woła z triumfem Paweł. — Pojedziemy w niedzielę i kupimy na zapas. Możemy wziąć i z dziesięć kilo. Włożyć do soli, mogą leżeć. Te ze sklepu nie są już takie pewne.

— Nie są.

— Można też u tej gospodyni kupić drób. Kurczaki, kury. Powiedziała, że jak bez patroszenia, to kurczaka odda za czterdzieści złotych sztuka. Ile kosztuje kilogram kurczaka w sklepie?

— Czterdzieści dwa złote — odpowiada Łucja. Realizacja planu skupu w pełnym toku, myśli. Żeby on wreszcie przestał. Żeby wreszcie przestał!

— Weźmiemy jednego na próbę i jak oczyścisz, zważymy. Zobaczymy, czy będzie się nam opłacało. Popatrz, tyle lat jeżdżę z dziećmi w niedzielę na wieś i na myśl mi nie przyszło, że można połączyć przyjemne z pożytecznym. Człowiek chodzi z głową w chmurach, zamiast myśleć o sprawach dnia powszedniego. Ładnie to powiedziałem, prawda: z głową w chmurach, zamiast myśleć o sprawach dnia

powszedniego? — uśmiecha się do Łucji.

—? Jezu, ładnie!

— I tylko przez przypadek: dzieciom zachciało się pić, a wypiliśmy już herbatę i kompot, więc myślę sobie, podjedziemy gdzieś do jakiejś chałupy i kupimy mleka. No i trafiliśmy do tej naszej gospodyni. Mlekiem poczęstowała, nie chciała pieniędzy, i sama zapytała: nie życzy pan sobie jajek? A dzieciom bardzo się u niej podobało, nie opowiadały ci?

— Nie.

— Tam był taki malutki piesek, Puszek, i Jacek zupełnie oszalał: weźmy Puszka, ja chcę Puszka, a Baśka z kolei złapała kota i cały kram: Baśka kota do domu, Jacek psa. Miałem z nimi skaranie boskie, wiesz, jak się na coś uprą, to wtedy trudno im cokolwiek wytłumaczyć.

— Wiem. Trudno.

— Powiedziałem, że mamusia by się gniewała. Mamusia tak się codziennie nasprząta, a wy chcecie mamusi jeszcze psa i kota. Nie wolno myśleć jedynie o swoich przyjemnościach, trzeba zawsze myśleć o innych.

— Trzeba — potakuje Łucja i omal nie płacze: mną postraszył, myśli, patrzcie, jaki troskliwy. — Chciałabym mieć małego pieska albo kotka, Paweł — mówi Łucja.

— Oszalałaś? Po co taki kłopot? Nie znoszę psów, a tym bardziej kotów! — woła z oburzeniem Paweł. — I niehigieniczne. Tam gdzie są psy albo koty, dzieci zawsze chorują na roba-czycę. Nie życzę sobie mieć w domu żadnych zwierzków.

?— No cóż — mówi Łucja. Zaciska ręce. No cóż, myśli, jak nie, to nie. No cóż, zaraz zacznę krzyczeć. Nie wytrzymam dłużej.

— Można też kupić u naszej gospodyni indyka. Dawno nie piekłaś indyka, chyba ostatni raz na święta wielkanocne.

— Tak, na święta.

— Mniam, mniam — cmoka Paweł — a ja tak lubię indyka. Cóż to za delikatne mięso. A ty tak cudownie nadziewasz szyjkę, migdałki, rodzynki — lubuje się wspomnieniem.

— Tak, nadziewam.

— Cieszę się, naprawdę, że pojedziesz z nami. Zrobimy to uroczyście: weźmiemy kurczaka na zimno, chlebek świeżutki, masełko, składane krzesła i stolik, rozstawimy pod drzewem, można wziąć też maszynkę turystyczną, butla jest nabita, wtedy byś mogła ugotować bigosu, zrobisz bigos na niedzielę?

— Tak, zrobię.



— No widzisz! Upieczesz kurczaka, ciasto, ugotujesz bigos, przygrzejemy go sobie w lesie, będzie prawdziwa uczta. Nie masz nawet pojęcia, jak cudownie smakuje jedzenie na świeżym powietrzu, wspaniale! Aż poczułem się głodny. Co z tą herbatą?

— Już idę.

— I jeszcze jeden mały kawałek placka. Aż się krępię — sepleni Paweł wstydliwie — zbyt dużo mówiliśmy o jedzeniu, rzeczywiście nie powinienem jeść tyle na noc. Czekaj, wiesz co? Kupię specjalnie dla ciebie na niedzielę jedną coca colę, ty tak lubisz coca colę. Będzie przyjemnie, co?

— Bardzo przyjemnie — odpowiada Łucja. — To pójdę zrobić herbatę.

W łazience płucze usta. Wargi jej drżą, jest zboląta. Umrzeć, myśli. Tylko tyle chcę, czy to wiele? Przekłęte serce. Dlaczego to tylko niedomykalność zastawki, a nie na przykład angina pectoris?

Objając się o ściany, jak pijana, idzie do kuchni. Nie myśleć, postanawia, absolutnie o niczym, bo i po co? Pogodziliśmy się, ludzie! pogodziliśmy się, dostanę butelkę coca coli, którą lubię, specjalnie dla siebie. Kupimy też dziesięć kilo jaj na zapas, taniej, włożę je do soli. I indyka. I kurczaka, ale jednego, gdyż należy sprawdzić, gdzie się bardziej opłaca: ze wsi czy ze sklepu? Oskubię, wypatroszę, zważę, a potem wspólnie, rodzinnie przeliczymy. Opłaca się? Upiekę ciasto, ma być sernik. Nagotuję gar bigosu. Będziemy siedzieli na rozkładanych krzeselkach przy turystycznym stoliku w cieniu dobrego drzewa: pogoda jak drut, piękna, prawda? — Tak, piękna. — Złota polska jesień. — Tak, złota polska jesień. — Znakomity bigosik, schabiku też włożyłaś? — Tak, schabiku też włożyłam. — I szyneczki? — I szyneczki. — To świetna rzecz mieć samochód i móc tak sobie wyjechać na świeże powietrze: złota jesień. — Tak, świetna. — Bierze się sprzęt turystyczny, maszynkę gazową, taki bigosik i jedziemy, jedziemy, tu się nam nie podoba, a tu się podoba, więc robimy sobie biwak. Nie to, co pociągiem, prawda? — Prawda. — Niedługo, gdy nastąpi w naszym kraju eksplozja motoryzacji, gdy wypuszczą naszego małowitrazowego fiata, będzie trudno o spokojne miejsce bez ludzi, poproszę o dokładkę bigosu, świetny, Łucjo, świetny. — I tak, uroczyste, z ustami zapchanymi bigosikiem, pełni zachwyty dla piękna przyrody: pogodzeni, wiodący ze sobą niefrasobliwą pogawędkę. A ja wypiję coca colę. — Cieszysz się? — Cieszę. — Zadowolona jesteś? — Zadowolona. — Dobrze ci? — Dobrze. — Wypoczęłaś? — Wypoczęłam. — Jakbyś sobie potrafiła odpowiednio zorganizować pracę w ciągu tygodnia, każdej niedzieli mogłabyś z nami jeździć. — Tak, mogłabym. — Dla twojego dobra. — Dla mojego. — Nie myśleć. Nigdy więcej. O niczym. — Piękna pogoda. — Piękna. — Słońce świeci. — Świeci. — Niebo bez chmury, jak latem. — Jak latem. — Nie myśleć! — krzyczy Łucja.

Czeka przy kuchence, aż zagotuje się woda. Pogodziliśmy się: ta rączka taka mała, taka mała, taka zimna. Nie myśleć. Jeżeli to jest myślenie: bigos, kurczaki, jaja, zważyć, taniej. Sło-masłomasłoma. Plan wykonany. Myślenie: odtąd — dotąd. Od problemu tańszych jajek do zagadnienia opłacalności kurczaka. Dlaczego? Dlaczego tylko o tym, dlaczego zawsze, cały czas: sło-masłomasłoma, przecież myśli są niepodległe i mogą myśleć o wszystkim — o niebieskich migdałach, dalekich podróżach, spełnionej miłości, szalonych ambicjach. Dlaczego więc myślę: kran przecieka, zawołać dozorcę? drzwi skrzypią — naoliwić? Dlaczego gwiazdy są dalekie i nieobecne? Kiedyś, gdy byłaś dzieckiem, Łucjo, stawałaś się królowną: piękną, mądrą, dobrą, albo dzielnym rycerzem, walczącym ze smokami. Tańczyłaś na linii pod

wysoką kopułą cyrku i na scenie Metropolitan Opera. Zarzucano cię kwiatami, poświęcałaś się też badaniom nad cudowną szczepionką, jak łowcy mikrobów, jak Pasteur, Reed, Koch. Przypomnij sobie swoje sny po tej lekturze. Odkrywałaś również nowe pierwiastki, jak Maria Curie-Skłodowska. Czekalaś z niecierpliwością wieczoru, aby, przykryta kołdrą przez matkę, nie spać jeszcze długo: przeżywać swoje przygody. Noc należała do ciebie. Wstawiałaś rano silna, pewna zwycięstwa nad dniem. Kto ci broni teraz snów? Dlaczego nie grasz na scenie obok Laurencja Oliwiera? Nie sięgasz po role Elektry, Antygony, Amelii, Klitemnestry? — wyciąga rękę ponad czajnikiem: „Tak, nienawidziłam go. Tak, nareszcie się dowiesz, jakim on był, ten twój ojciec nadzwyczajny. Tak, po dwudziestu latach pozwolę sobie na rozkosz, jak Agata”. — Czajnik gotuje się, wyłącza gaz. Idąc do kredensu, mówi: „Jest pewna kobieta, która należy do wszystkich. Jest na świecie tylko jeden mężczyzna, do którego ona nie należy”. — Potrzęsa szklanką. „Od dnia, w którym się zjawiał ze swoją kędzierzawą brodą, aby mnie zabrać z domu tą ręką, której mały palec zawsze unosił, znenawidziłam go. Unosił go biorąc szklankę — odgina mały palec, patrzy ze wstrętem — unosił trzymając cugle, choćby koń miał ponieść, unosił trzymając berło w dłoni i nawet, kiedy mnie samą trzymał w objęciach, czułam na plecach dotknięcie czterech tylko palców i szalałam — garbi się, kuli, stara uczynić mniejszą niż jest, aby nie czuć dotknięcia. — A kiedy o świecie wydał na śmierć twoją siostrę, Ifigenię, widziałam małe palce obu jego rąk unoszące się w górę na tle słońca. Król królów, śmiechu warte. Był pompatyczny, niezdecydowany, głupi. Był najpróżniejszy z najpróżniejszych. Król królów to zawsze był mały palec i ta broda, której nic nie potrafiło rozkręcić”. Łyzeczka herbaty do szklanki, trzy łyżeczki cukru. „I dawał mi znak tą ręką z odstawionym palcem i szłam uśmiechnięta. Dlaczego? I kazał mi całować usta pośrodku złotego runa i przybiegałam, aby je ucałować. I całowałam. Dlaczego?” Ewentualnie jeszcze jeden maleńki kawałeczek placka. „Bojąc się twierdziłam, że jest bogiem. Król nad królami — jedyna racja tego tytułu, że uzasadnia nienawiść nad nienawiściami. A wiesz, Elektro — Łucja zatrzymuje się z nożem w ręku, pochylona nad drożdżowym plackiem z kru-szonką jakby nad żywą ofiarą — co uczyniłam w dzień jego wyjazdu, kiedy jeszcze widać było jego okręt na horyzoncie? — wbija nóż w ciasto z taką siłą, że półmisek i trzonek noża pękają. — Kazałam zabić na ofiarę byka, najbardziej kędzierzawego, z brodą całą w splotach i około północy wśliznęłam się sama jedna do sali tronowej, by chwycić berło pełnymi garściami” — krew tryska ze skaleczonej dłoni, ścieka na pulchne ciasto, skapuje na podłogę.

— Tyle krwi —? mówi Łucja. Odrzuca nóż, wkłada dłoń pod kran; na posadzce zostaje strużka krwi. Zlew i jego ściany czerwienieją w oka mgnieniu. — Tyle krwi —? mówi Łucja. Owija dłoń w ściereczkę do wycierania naczyń. Przesiąka natychmiast. — I jak ja teraz będę prała? Prawa ręka.

Odrzuca ściereczkę. Wkłada rękę pod strugę zimnej wody. — Odcięłam sobie kawałek paznokcia, ohyda. — Opiera się o zlew, ciemnieje przed oczyma. — Będzie schodził paznokieć, a mam tyle pracy. Prawa ręka. Dlaczego nie lewa?

Paweł, który nie doczekał się herbaty, wchodzi do kuchni. Podbiega do Łucji, przytrzymuje.

— Matko święta, coś ty sobie zrobiła? — krzyczy. — Tyle krwi! Cała kuchnia w krwi! Pokaż. Ścięłaś sobie paznokieć — blednie; to ściska, to puszcza jej rękę. — Co robisz? co robisz? — woła, biegnie od kredensu do zlewu, otwiera szafki, szuflady — • trzeba zdezynfekować, ściśnij, zatamować krew, czekaj, nie mdlej, siadaj, tyle krwi, gdzie są krople na serce? To jodyna, cholera! Łucja, oprzyj się o ścianę, tak,

na kawałek cukru czy na wodę? ile? trzydzieści? wypij, proszę — nalewa krople, podaje Łucji, przytrzymuje jej głowę, gładzi po plecach. — Może zastrzyki przeciwțęczowe potrzebne, czym się tak skaleczyłaś? — polewa tryskający nieprzerwanie krwią palec wodą utlenioną, woda się pieni, syczy, zapieka — jak to się stało, Łucjo? — i nie czekając na odpowiedź znowu przewraca w szufladzie z lekami — gdzie jakiś bandaż, do diabła?

daj rękę, boli? bardzo boli? biedaczko. Postaram się ostrożnie, bądź dzielna — zakłada opatrunek — teraz nie możesz nic robić, tak się skaleczyć, straszne, czekaj, założymy jeszcze całą rękę na temblak — robi z bandaża temblak, wiąże — zaraz zadzwonię do Kazia, dowiem się, czy dobrze ci opatrzyłem — obejmuje Łucję — chodź, musisz się położyć — prowadzi hallem, sadza w swoim fotelu — oprzyj głowę, wyciągnij nogi, nie przejmuj się, wszystko będzie dobrze, powiem Kaziowi, to jutro do niego pojedziesz do szpitala i tam ci chirurg oporządzi rękę.

Pochylony nad Łucją, pełen niepokoju, dotyka ostrożnie jej czoła, włosów. Nie udaje, myśli Łucja.

Nie zważając na ból w skaleczonej ręce, przypada do Pawła. Obejmuje go mocno, gwałtownie. Chowa twarz w jego szerokich ramionach, szuka dla niej schronienia, wypiera się swojej twarzy, który raz już w ciągu jednego wieczoru, zawstydzona nikczemnością swoich pragnień.

— Dobrze już, dobrze — mówi Paweł.

Nie chce go puścić od siebie. Zostać tak, myśli. Nigdy więcej nie spojrzeć na siebie w lustro. Zamiast zabijać kędzierzawego byka, trzeba było zniszczyć sobie twarz.

Paweł dotyka jej włosów, szyi. Chce podnieść jej twarz, oderwać od siebie, lecz Łucja przywiera jeszcze silniej, oślepla z żalu. I jednocześnie szczęśliwa: po raz drugi dzisiaj. Kocham cię, Paweł — mówi. — Kocham cię, myśli, gotowa obciąć sobie rękę, obydwie, aby móc tak być przy nim, prawdziwie, twarzą przy jego twarzy.

— Łucjo, biedactwo — mówi Paweł. — I ja cię kocham.

Unosi wreszcie jej twarz, gładzi czoło, policzki, dotyka ust. Łucja poddaje się pieszczocie jego palców z zamkniętymi oczami, bez podejrzeń, wierzy im. Wierzę, myśli.

— Boli? — pyta stroskany Paweł.

Łucja uśmiecha się: niech boli. Co tam, głupstwo, niech boli.

— Nie boli — mówi uśmiechnięta.

— Jaką ty masz twarz... — mówi Paweł i Łucja pragnie ją znowu schować, zgubić, co on w niej zobaczył, myśli, przejęta nagłym lękiem, moje niedawne pragnienie: zabić? moją nadzieję: wpaść pod samochód?

Maleńką, jak piąstka — kończy Paweł, dotyka brwi, powiek. — Jak piąstka, wprost niewiarygodne, jaka maleńka. I siwych włosów masz pełno — rozgarnia włosy na skroniach, czole — i tu, i tu, wszędzie, Łucjo,

jesteś nieomal siwa — woła ze zdumieniem. — Ja wyłysiałem, ty posiwiłaś, popatrz, niby człowiek jeszcze młody, a przecież stary.

Ostrożnie sadza Łucję w fotelu. Ponownie, w niedowierzaniu, dotyka włosów: — Siwa — mówi. — Ale wiesz, z daleka nie widać. Przy twoim popielatym kolorze włosów. Ładnie ci z tym.

— Naprawdę? — uśmiecha się Łucja. Myśli: Jutro pójdę do fryzjera. Każę sobie ułożyć włosy. Przeszanę się czesać w ten śmieszny, staroświecki węzeł. Zacznę dbać o siebie. Umaluję sobie rzęsy.

— Masz piękne włosy — mówi Paweł. — Gęste. Miękkie. Nie przejmuj się. Chcesz zapalić?

— Tak, chcę.

— Mam tu jeszcze kilka cameli — Paweł wyjmuje papierośnicę, w której trzyma reprezentacyjne papierosy. — Jak pojedę do Anglii, przywiozę ci mnóstwo pięknych rzeczy. Powiedz — mówi, podając Łucji ogień — co być chciała?

— Przywieź mi serce w czekoladzie — śmieje się Łucja.

— Nie żartuj. Mówię poważnie.

— Mówię bardzo poważnie.

— Nie żartuj. Już sobie wcześniej umyśliłem: materiał na płaszcz. Ale co jeszcze?

— Kup sobie kilka koszul, wszystkie są zniszczone — mówi Łucja.

— Nie, nie. Tylko tobie. Ani sobie, ani dzieciom.

— Ach! — woła Łucja — zapomnieliśmy o herbacie. Już pewno wystygła. Zrobię ci świeżą — podrywa się.

— Siedź, siedź, nie będę pił już herbaty, nie należy tak się pompować na noc. Wypal spokojnie papierosa. Urwę się jutro wcześniej z pracy, dadzą sobie radę i beze mnie, dasz mi listę zakupów, po drodze kupię, co potrzeba. Boli?

— Trochę.

— Do Kazia zadzwonię jutro, dziś nie wypada, zbyt późno.

— Nic mi nie będzie — śmieje się Łucja. — Trochę poboli i przestanie. Do wesela się zagoi.

— Do jakiego wesela? — pyta Paweł.

— Naszego! •— woła Łucja ze śmiechem. — Urządzimy sobie nasze nowe wesele, chcesz?

Zaprosimy dużo gości. Kupimy szampana. Upiekę kołacz weselny. Włożę ślubną suknię. Jeszcze ją trzymam, już niemodna, ale przerobię. Tak,

136

tak, przerobię. Zwężę rękawy i wytnę dekolt. Albo nie — dekolt niedobrze, za chuda jestem, o mój dekolt można tłuc jajka na twardo. Ach, coś tam wymyślę i będę miała przepiękną suknię ślubną. Jak nową. Pamiętasz, ładnie wyglądałam?

— Pięknie — mówi Paweł — miałaś rozpuszczone włosy, prawda? Czemu płaczesz?

— Nic, nic, nie zwracaj na mnie uwagi. Tak sobie. Z radości. Cieszę się.

—? Czemu się cieszysz?

— Że pamiętasz. To przecież było tak dawno.

— Dlaczego miałbym nie pamiętać? Nawet pamiętam, jak byłaś ubrana, wtedy, w pociągu. Gdy weszłaś do przedziału, aż pojaśniało.

— Taka byłam ładna? — upewnia się Łucja ocierając łzy.

— Taka byłaś ładna — mówi Paweł i grozi Łucji palcem. — Kokietka, jeszcze kokietka? Przecież wiesz o tym doskonale.

— Jak byłam ubrana? Powiedz.

— Zaraz, zaraz — Paweł przymyka na chwilę oczy — przede wszystkim bardzo, bardzo opalona. I włosy, prawie srebrne.

— Sądziłeś, że je rozjaśniam — mówi z dumą Łucja — a ja ich nigdy ani tknęłam farbą.

— Chciałem ci ustąpić miejsca? — przypomina sobie Paweł — ale uprzedził mnie taki jeden, siedział przy oknie.

— Pamiętam! — woła Łucja — i pytał się, dureń, czy nie przeszkadza mi otwarte okno! Upał nie do wytrzymania, ukrop, cóż za lato, a ten okno chciał zamykać.

— Starał się ciebie poderwać — śmieje się Paweł.

—

?HİSSjSSsSto :

- Taki albinos.
- Jaki znowu albinos? Brunet, ognisty? — śmieje się Paweł.
- Wszystko jedno: brunet czy albinos — śmieje się Łucja. — Ani na niego spozrzałam.
- Już wiem — woła Paweł. — Tak, na pewno: miałaś na sobie taką niebieską sukienkę z haftem.
- Nie sukienkę, a spodnie, głuptasie! — śmieje się Łucja. — Byłam w spodniach, potem nimi froterowałam podłogę. Nie pamiętasz? Takie płócienne spodnie w wąskie czarno-białe paseczki. A w niebieskiej sukience z haftem przyszłam na nasze pierwsze spotkanie. Później Baśce uszyłam z niej fartuszek.
- Śmieją się oboje, patrząc na siebie, odmłodzeni wspomnieniami. Tak, myśli Łucja, nie wszystko jest między nami stracone. Nie wszystko umarło. Jeżeli się pamięta takie głupstewka...
- Nawet nie wiesz, jaka kiedyś byłaś śliczna — mówi Paweł.
- Wiem — odpowiada śmiejąc się Łucja — moi chłopcy mi mówili. I ty również.
- Twoi chłopcy — pochmurnieje Paweł.
- Pamiętasz — ciągnie Łucja, nie zważając na pionową zmarszczkę, nagle przecinającą czoło Pawła — przyszli wszyscy na nasz ślub, moi kochani, przynieśli mi w prezencie taką śmieszoną szczotkę z piór bażancich i całe wiadro mar-geritek.
- Zachowywali się jak w cyrku — odzywa się chłodno Paweł. — Jakiś kretyń grał na trąbce, ciskali confetti, kaszę.
- To Stefan! zrobił karierę — mówi zmieszana Łucja — chociaż w szkole nie cieszył się opinią orła. A teraz, główne role w filmie, ciągle w telewizji...
- Gorszące widowisko, bezczelna błazenada! — przerywa Paweł. — Gdyby nie powaga chwili, wyrzuciłbym na zbity pysk! I masz co wspominać: swoich chłopców! — kończy ze złością.
- Ależ, Paweł, dlaczego?
- Urządzili z mojego ślubu darmowe przedstawienie! Aż urzędnik zwracał uwagę, żeby ciszej. Coś

się tak nadeła? Po co te pozy tragiczki ze spalonego teatru? Człowiek ma ślub tylko raz w życiu i przez tych twoich „chłopców”, z którymi się puszczałaś...

— Paweł!

— Może powiesz, że należałaś do świętych?

— Po co to, Paweł? Znowu sceny? Daj spokój, dość już mnie wymęczyłeś. Dlaczego psujesz nastrój?

— Nie myśl, że jestem o ciebie jeszcze zazdrosny, też coś! Teraz, kiedy wyglądasz jak wieszak, a nie jak kobieta! — prychnął Paweł pogardliwie. — Ale wtedy tak, przyznaję się ze wstydem do niemęskiej słabości: byłem! Patrzyłem na tych twoich „chłopców” i myślałem: z którym? Z tym czy z tamtym? A może i z jednym, i z drugim, i trzecim, i ze wszystkimi? Zamiast ślubu — kompromitacja. Ten cymbał z trąbą, jeszcze teraz, jak patrzysz na niego w telewizji, oczy ci zachodzą mgłą rozkosznych wspomnień.

— O, Boże — mówi Łucja.

— To też prawda: zawsze chciałem mieć żonę której nie musiałbym się wstydzić. Ładną, reprezentacyjną; ważne, aby żona była do rzeczy, żeby budziła podziw, uznanie, nawet zazdrość.

Jest przyjemnie słyszeć człowiekowi: ale masz piękną żonę, jest urocza. Sam ostatecznie też ani garbaty, ani kulawy, zawsze podobałem się i podobam kobietom. No i przechytryłem, tak, tak, z twojej urody zostały tylko włosy, nic więcej, popatrz ty na siebie, jak wyglądasz: twarz jak piąstka, same gnaty, a co widzę jakiegoś typa w telewizji, myślę: może mój szwagier?

—? Ale z ciebie łajdak — mówi cicho Łucja. — Ale łajdak.

1— To ty się łajdaczyłaś, nie ja! — syczy Pa-, weł. — Ze mną też po tygodniu poszłaś do łóżka. Nawet nie udawałaś. Robiłaś to prędko. Już wtedy, chociaż byłem zakochany jak sztubak, uderzyła mnie ta twoja łatwość.

— Należało o niej powiedzieć. O tej łatwości.

—? Bo co?

— Dałabym ci w pysk, i to.

— Innym też dawałaś w pysk? Przyprowadziła na mój ślub pułk koleżków. Widziałem, jak na ciebie patrzyli: spałaś przynajmniej z połową. Sami krewni. Wyzuta z elementarnego poczucia wstydu, całowała się ze wszystkimi, na moich oczach, dobrze patrzyłem: w usta cię całowali i ty całowałaś ich w usta. Aż moja matka powiedziała później: jak ona mogła w ten sposób. Moja matka od początku była przeciwna, powtarzała mi: taka to z niejednego pieca chleb jadła, te dziewczyny współczesne są amoralne.

— Twoja matka, twoja matka! — woła Łucja.

— Byłaś szczęśliwa, gdy umarła! — krzyczy Paweł.

— Stara jęzda — krzyczy Łucja. — Szafki w kuchni zamykała na klucz! Spiżarnię, swoje pokoje, wszystko na klucz. Cały czas patrzyła mi na rękę. I na usta. Jedzenie stawało mi ością w gardle, liczyła mi każdy kąsek. Znaczyła swoje marchewki kredą! Jezu, trudno, abym po niej płakała!

— Teraz wychodzi szydło z worka: kto z nas dwojga jest potworem —• woła Paweł.

— A ty, płakałeś po niej? Jeszcze jej z domu nie wynieśli, a już segregowałeś te wszystkie łachy, układałeś na kupki, to jeszcze dobre, to zupełnie porządne, to jak się połata, wytrzyma, to na szmaty? — krzyczy Łucja.

— Ach, ty?—? mówi cicho Paweł. — Powiem ci teraz coś, czego ci nigdy nie wyjawilem. Kiedy postanowiłem się z tobą mimo wszystko ożenić, przysiągłem sobie, dałem najświętsze słowo honoru: ożenię się, ale uczynię wszystko, tak pokieruję twoim życiem, żebyś nawet w myślach, nawet w marzeniach nie ośmieliła się kiedykolwiek westchnąć do tej swojej szkoły! Ty niedoszła aktorko. Postanowiłem: nigdy do niej nie wrócisz. Śmiałem się nieraz w duchu, słuchając twoich planów: „Baśka skończy roczek, oddam ją do żłobka, wrócę do szkoły”. Byłaś zachwycająca. Przechabawna.

— Nienawidzę cię.

— O, możesz mi wierzyć, że i ja ciebie nie kocham — uśmiecha się Paweł szeroko.

— Kłamiesz.

— Nie kłamię. Przypomnij sobie: najpierw nie zgodziłem się, abyś miała dziecko. Pamiętasz? Ale moja nieoceniona matka, ona znała życie, zbesztła mnie: co robisz? Niech rodzi dzieci, inaczej ci bryknie i tyle ją zobaczysz. Jak chcesz mieć żonę w domu, zrób jej dziecko. Sądzisz, moja droga, że tak nagle, ni stąd, ni zowąd — jeśli pierwszego nie chciałem, zaaprobowałbym drugie? Odsunąłem na bok względy praktyczne, że dziecko w początkach małżeństwa, które dopiero się dorabia, jest kulą u nogi. Niełatwo mi było, ale moja matka miała rację. Nic tak nie wiąże kobiety jak dziecko. „Baśka skończy roczek, oddam do żłobka, wrócę do szkoły.” Pamiętam, jak wciąż i wciąż uczyłaś się tekstów. Grałaś. Przed drzwiami w kuchni. W łazience do wanny wygłaszałaś monologi. Wzruszająca naiwność. A więc — jedno za mało, trzeba ci zafundować drugie. Abyś nie miała czasu na nic. Bo mnie, moja kochana, nie aktorka w domu potrzebna, aż takich ambicji nigdy nie miałem, mnie potrzebna żona, solidnie wypełniająca swoje obowiązki. Jestem i byłem konserwatystą. Dlatego też cię nie zdradzam, to wbrew moim zasadom, zawsze byłem uczciwy. No i miałem rację. Jeszcze czasami, gdy chodziłaś z Jackiem, zwracałaś się w kierunku szafy, mówiąc: „O, panie! jeśli w zamku są czeluście, z czeluści ogień bucha, a ty każesz wskoczyć — to wskoczę”. Widzisz, jak pamiętam? — śmieje się Paweł. Łucja wstaje. Zabić, myśli.

— Tak, tak, moja śliczna — śmieje się jej w plecy Paweł.

Znowu ta długa droga. Od stolika do drzwi. Uciec. Dokąd można uciec? Na koniec świata. Gdzie jest koniec świata?



— Zawsze wszystko, co robię, robię z planem — goni Łucję śmiech. — Kiedyś nawet nauczyłem się kawałek wiersza Tuwima: panno, madonno, legendo, ale to nie było potrzebne, mógłbym cię mieć i bez tego.

Odgradza się od niego i jego śmiechu drzwiami. Gdzie jest koniec świata, myśli.

Nie może zostać sama. Wie o tym. Nie może tam wrócić, do niego. Boże, myśli, jak łatwo zabić człowieka. Zabiłam go przed chwilą. Nie przypuszczałam, że to tak łatwo.

Jacek pokasłuje. Dzieci, myśli Łucja, Boże, nawet dzieci. Nie uda się ich oszczędzić, nic nie ma świętego. Tylko do nich mogę uciec. Tylko przy nich jest mój koniec świata.

Pochyla się i dotyka wystającej spod kołdry piętki Jacka. Jaka jeszcze mała. Bezbronna. Okrywa ją kołdrą. Więc to tak, mój synu, myśli, i ty zostałeś zaprogramowany. Ja i ty, i Basia. Łącznie z reprezentacyjnym dywanem, kryształową popielnicą i fotelami z importu.

Basia jęczy przez sen. RzUCA się na tapczanie. Zaraz spadnie, myśli Łucja, i co się jej śni takiego, co może straszyć we śnie? Ostrożnie przesuwA córkę, kładzie na poduszkę. Włosy jak moje, popielate, aż srebrne, myśli Łucja. Dotyka czoła: jest zimne i wilgotne. Klęka, obejmuje śpiące dziecko. Trzeba cię było wyskrobać, myśli Łucja, jak tamto pierwsze, które kazał wyskrobać Paweł. Pani do nas nie wróci, szkoda, powiedział rektor. Wszyscy o tym wiedzieli poza mną. Urodzę dziecko — będę miała dwadzieścia cztery lata, zanim oddam do żłobka — dwadzieścia pięć — za późno. Za późno — należało wyskrobać albo się wystrzeżać miłości do końca. Owoc miłości. Oto nasz owoc miłości, powiedział Paweł, gdy przynieśli mu dziecko. Biedactwo moje — Łucja znowu dotyka czoła córki, przeraża ją jego chłód — byłaś brzydka, naga czaszka bez włosów, bez brwi i rzęs, z fioletowymi powiekami. I gdyby nie pulsujący ruch ciemienia, maleńkiej podskórnej żyłki na skroni, można by pomyśleć, że leżała przy mnie, wezbranej radością, pośmiertna maska nieukształtowanego embriona.

Basia uśmiecha się przez sen, owija rękami wokół szyi matki, szuka jej ustami, całuje: mamO? I już śpi dalej, różowa, wciąż uśmiechnięta, zaciskając małe palce na szorstkich palcach Łucji. Zraniony palec rwie przejmującym bólem, nic to, myśli Łucja. Ściskaj, jest twój, należy do ciebie. Jesteś i cokolwiek by się stało: jesteś, nic innego się nie ,liczy.

Z dłonią unieruchomioną w małych rączkach dziecka, czując jego ciepły oddech, uspokojone już bicie serca, nawet wklęsłość pod oczami, powtarza: jesteś. Po raz drugi wydaje na świat swoje dziecko. Równie bez krzyku, równie zbolAła. Przypomina się jej któraś z nocy, ta grudniowa, kiedy nie próbowała już kłaść się spać, czuwając przy dziecku. Ciągłe płakało. Suchym, monotonnym płaczem. Dopiero przed chwilą tuliła je w ramionach, przewijała, całując w przelocie małą, pomarszczoną piętę, jakże nagą, jakże bezbronną, jakże własną —? wciąż jeszcze czuła ją pod napinającą się boleśnie skórą brzucha, ta wyzwolona piętka wprawiała w tak bolesne zachwycenie, że gotowa była modlić się do niej jak do najświętszej relikwii. Nie płacz, prosiła przewijając pośpiesznie w suche pieluszki, zdumiona posiadaniem na własność pomarszczonej piętki i przerażona jednocześnie, że dziecko płacze, a i szczęśliwa, że płacze: a więc jest, żyje, krzykiem wśród nocy objawia swe niezaprzeczalne istnienie. Brała dziecko na ręce. Przymykała do siebie: wtedy cichło. Zwierało kreseczki ust w szczelną szparkę. Kołysała dziecko,

patrzyła, widziała: było piękne. Bez brwi i rzęs, było piękne. Z ciemieniem oddychającym pulsująco w nagiej czaszce, dziurą będącą życiem, od śmierci oddzieloną jedynie cieniutkim jak jedwab płatem skóry. Z sinymi plamami na czole i policzkach tak nieprawdopodobnie małych, że aż nieprawdziwych: dwa gołębie jaja, kruche i łamliwe, jak je ocalić, jak obronić? — było piękne.

Patrzy na śpiącą córkę, przypomina sobie tamtą noc dokładnie, minuta po minucie, godzina po godzinie. Swoje nieodparte pragnienie: zamknąć w dłoniach głowę dziecka, zapamiętać na zawsze drgnienie powiek, obrysowanych siecią żyłek jak atlas świata, bezbrowego czoła, ruch małych ust w twarzy, nie będącej jeszcze twarzą; swoją radość zespoloną z lękiem/przejmującym do bólu, może nawet silniejszym od radości: płacze? dlaczego wciąż płacze? przecież ma sucho, dobrze; pulsowanie ciemienia, żyłki na skroni, tej przerażającej granicy między życiem a śmiercią, którą można przekroczyć jednym nieostrożnym miłosnym ruchem; szepty, modlitwy, błagania i zaklęcia: nie płacz, otwórz oczy, nie płacz, granat ślepych oczu, skurcz policzków małych jak gołębie jaja. I ten grudniowy brzask, obrośnięty brudną mgłą jak włosiem, pełznący wzdłuż ścian pokoju. Smużył się szarozielonymi zaciekami po podłodze, myśli Łucja, jakże go się bałam, nienawidziłam, kleił sobą wszystko. Lecz kiedy mętne światło dotarło do kąta, w którym ukryłam się wraz z dzieckiem, wtedy zobaczyłam siność policzków i przerażona położyłam rękę na głowie małej: ciemię milczało, jeszcze tylko gdzieś głęboko, gdzieś daleko, w samym środku, szarpała się jakaś pojedyncza niteczka. Umarło, umarło! A kiedy później, w szpitalu, lekarz rozłożył bezradnie ręce i powiedział: tylko cud, żądałam cudu od Boga, rozkazywałam Mu, groziłam, że go przeklnę.

Serce córki bije spokojnie pod dłonią Łucji. Jesteś, myśli. Tamtą noc się nigdy nie powtórzy. Zawsze cię uratuję. Zawsze ocalę. Nawet przed sobą.

Jacek znowu pokastuje. Koniecznie jutro do laryngologa, myśli Łucja. Łagodnie wysuwa rękę z uścisku Basi: dziecko uśmiecha się przez sen. Moje biedactwo, myśli Łucja. Nieświadome, niewinne, spokojne i ufne. Boże, pozwól je ocalić. Niech nie rosną, ani ona, ani Jacek, na obraz i podobieństwo nasze.

Podchodzi do Jacka. Otula go; piętka wysuwa się uparczywie spod kołdry. Jaka jeszcze delikatna, myśli Łucja. Przysiada na brzegu łóżka, obok syna. Jacek oddycha chrapliwie, przez w pół-otwarte usta, lekko obrzmiałe jak u Pawła. Będzie chory, myśli Łucja, koniecznie do laryngologa, chyba zdecyduję się na usunięcie migdał-ków. Nos zatkany, tak zawsze zaczyna się u niego przeziębienie. Paweł również inauguruje swoje choroby katarem. Jaki podobny do niego — przeraża się nagle, dostrzegając uderzające podobieństwo syna do męża — i chociaż wiedziała o nim od dawna, dotąd nie czuła się zagrożona, nawet nie zwracała uwagi, uważała, że tak musi widocznie być: Jacek podobny do Pawła, Basia do niej, syn do ojca, córka do matki, już śliczna, mała madonna o oliwkowej cerze; lecz teraz buntuje się przeciwko temu podobieństwu, pochyla się nad śpiącym dzieckiem z krzykiem protestu — nie chce, aby jej syn, tylko jej, nikogo więcej, przypominał w czymkolwiek ojca. Dotyka brwi: ten sam łuk, zna dobrze jego wypukłość, kiedyś błdziła, Kochając, po twarzy Pawła, pragnąc zapamiętać każdy jej najdrobniejszy rys, utrwalić na swoich dłoniach, jak na kliszy; identyczny, mały nos, czoło wysokie, usta napęczniałe, dolna warga już lekko odstająca. To straszne, myśli Łucja, jaki podobny, tak wyglądać musiał Paweł będąc dzieckiem.

Ściera drobne kropelki potu, zebrane w zagłębieniu podanej do przodu brody. Tak samo Paweł, myśli

Łucja, gdy śpi — krople potu zbierają się pod dolną wargą, która, pozbawiona przez sen swojej zwykłej stanowczości, opada miękko, odsłaniając rąbek zębów.

Szarpie dzieckiem mocno, brutalnie. Jacek jęczy, przewala się przez ręce, siada opornie, leci czołem na jej piersi, wzdycha. Łucja przemocą odchyła jego twarzyczkę, usta małego krzywią się w podkówkę: mamuś? pyta żałośnie i tak straszliwie bezbrinnie, że Łucja, wstrząśnięta własnym okrucieństwem, puszcza go i mały leci jak kawał drewna z powrotem na poduszkę. Bródka mu drży, zasłania ją, wciąż jeszcze na wpół śpiący, obiema rączkami. O, Boże! myśli Łucja. Chwyta te trzepoczące małe dłonie w swoje i jakby schwytała zranionego ptaka, czuje ich drżenie senne, bezbronne, odsłonięte, stara się je uciszyć, uspokoić, natchnąć wiarą i otuchą.

Jacek otwiera oczy, mamuśka, mówi, uśmiecha się szczerbatym uśmiechem: zgubił niedawno dwa przednie zęby, z których każdy, po starannym umyciu, został uroczyście owinięty w watę i schowany do wymoszczonego jedwabiem pudełka po pierścionku, dołączony do również uroczyście przechowywanych mleczaków Baśki. I ten szczerbaty uśmiech, nagle ufny, bo rozpoznający matkę, szeroki, serdeczny, w niczym nie przypominający wąskich uśmieszków Pawła, boli Łucję jeszcze silniej, bardziej dotkliwie niż bezbronność trzepoczących małych dłoni. Boże, Boże, Boże, myśli Łucja, mamuśka, powtarza Jacek znowu, poszerzając uśmiech, szczęśliwy, że zamiast duszącej zmory, która go zbudziła ze snu, spostrzega pochyloną nad sobą twarz matki.

— Spij — mówi Łucja. Oczy dziecka przyglądają się jej uważnie, już rozbudzone, ciemnobrązowe, wilgotne od łez. — Śpij. — Ostrożnie kładzie zdrową dłoń na małej twarzyczce i szeroko rozstawionymi palcami zamyka powieki. Jak umarłemu, myśli ze zgrozą, cofa rękę i aby ożywić te powieki, które przed chwilą uśmiercała, całuje je. —? Mamuśka, powtarza mały. Jest roz-anielony. Obejmuje matkę za szyję, przyciąga ją do siebie i trzyma. —? Śpij — mówi Łucja. Już śpi, uścisk rączek na szyi zelżał. Łucja wstaje, układa zwisła z tapczanu rączkę małego na kołdrze. Całuje ją: przepraszam. Już nigdy więcej, myśli Łucja, nie skrzywdzę. Nie obrażę, nie skalam. Nie masz oczu Pawła, masz moje. Nie będziesz rósł na wzór i podobieństwo jego ani moje. Nie pozwolę, nie dopuszczę, ochronię.

Nieskazitelny ład dziecinnego pokoju — ten widok: wszystko na swoim miejscu, poraża ją. Ubranka dzieci poukładane równo, porządnie na dwóch krzeselkach przysuniętych do tapczanu.

Nic nie zwisa, nic nie spada. Nogawka spodni do nogawki, prawda, spodnie załatać. Dwa białe puszyste misie, przywiezione z zagranicy, siedzą sztywne, czyste — niekochane — na regale. Nie wolno się nimi dzieciom bawić, są zbyt białe, zbyt puszyste i zbyt drogie: reprezentacyjne, aby pieściły je paluszki lepkie od cukierków, aby całowały je umorusane marmoladą usteczka. W dzień każdy z misiów zajmuje przydzielone mu miejsce na tapczanie swego właściciela, prezentuje smutny pyszczek z martwymi paciorkami oczek obok kolorowych poduszek cepeliowskich. Kolekcja samochodzików Jacka, od wozu strażackiego do najnowszego modelu mercedesa, ustawiona jak pod linijkę, odkurzona, czysta, lśniąca, wciąż nowa. Ołowiane żołnierzyki w pudełku nie tęsknią do porcelanowych tancerek, ani jeden nie wypadł z szyku, raz, dwa, lewa, lewa, żaden nie śmie ruszyć z prawej. Lala Basi w stroju krakowianki wyczesana, z symetrycznie rozmieszczonymi lokami ze sztucznych włosów, opiera się nosem o poręcz lalkowego wózka. Na serdaczku nie brakuje ani jednego cekinu, ani jedna wstążka nie oderwana, nie

rozsypał się ani jeden koralik. Nawet papucie dzieci stoją na baczność. Szereg książek wystawia grzbiety z za oszklonego regału, czyste książki, bez zaschłej kropli fzy. Ani papierka na dywanie. Czystość. Ład. Porządek. Zgroza. Sprzątnij, Jacusiu, swoje klocki, nie wolno rozrzucać. Baśka, zobacz: papierek. Podnieś. Czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci — nauki umoralniające Pawła, myśli Łucja, a ja nauczam ich codziennie tych wszystkich bredni: jeżeli chcesz oglądać książeczkę, umyj najpierw rączki. Żeby kózka nie skakała, toby nóżki nie złamała. Możesz wyjść na podwórze, Jacek, tylko broń cię, Boże, żebyś wieształ się na trzepaku. Nie biegaj za dużo. Nie krzycz. Czego się Jaś nie nauczył, tego Jan nie będzie umiał. Basiu, do twoich obowiązków należy codzienne ścieranie kurzu na regale. Trzeba przyzwyczajać się do porządku. Nie wszystko złoto, co się świeci, Basiu, nie rusz tego kwiatka, róża kole, rzekła matka, Basia mamy nie słuchała, ukłuła się i płakała. Z okazji imienin mamusi powiedz, Basiu, wierszyk o róży, która kole. Dygnij. Uśmiechnij się. Nie garb się, stój prosto. Słucham: — Rzekła matka, nie rusz kwiatka. — Co za głupie dziecko. Trudno. Daj teraz mamie laurkę. Przynajmniej laurkę wyrysowała starannie. Pamiętaj, Basiu, zawsze wszystko należy wykonywać starannie, jeżeli człowiek pragnie osiągnąć w swoim życiu coś, liczyć się, musi zawsze wszystko wykonywać starannie. A róża, chociaż jest piękna, kole. Basia mamy nie słuchała, ukłuła się i płakała. Co mama Basi mówiła, no, co? Basiu, nie rusz kwiatka, bo kwiatek, chociaż taki piękny, kole. Mamy i taty zawsze trzeba słuchać, bo zawsze mają rację. Zgroza, myśli Łucja. Dwa upiory, mama i tata. Konsekwentnie realizują plan wychowywania przyszłych potworków. Od jutra, myśli Łucja, będziemy tu razem wspólnie śmiecić: wycinać przepiękne serwetki z bibułek. W koguciki i gwiazdeczki, w księżycy i słońca. Pamiętam, wycinałam takie, jak byłam mała. Najpiękniejsze serwetki: składałam w kilkoro gazetę i powstawały wielkie obrusy. Nigdy, aż do momentu rozłożenia gazety, nie wiedziałam, jakim wzorem je obdarzę, ile radości, ile oczekiwania! Będziemy wycinać serwetki, dzieci! chce zawołać Łucja. Rozbierać krakowiankę, rozrzucać ołowiane żołnierzyki. Popsujemy białego mercedesa. Ukochamy puszyste miśki. Ulepimy kolorowy łańcuch na choinkę i pokleimy dywan i podłogę, i nasze włosy, i nosy, wszystko. Będziemy śmiać się głośno, skakać, krzyczeć, śpiewać. Nauczę was piosenek, przecież wy wcale nie umiecie śpiewać? Głupich, najgłupszych, takich: „Było morze. W morzu kotek. Na wierzchołku siedział zając i uszami poruszając śpiewał tak: Było morze...” Śmiałam się do łez z zająca, który siedział na wierzchołku kołka i ruszał uszami. I z zajączków, które się pasły na zielonej łące. „Na zielonej łące, raz, dwa, trzy, pasły się zające, raz, dwa, trzy, a to była pierwsza zwrotka, teraz będzie druga zwrotka: Na zielonej łące, raz, dwa, trzy...” — śpiewa cichutko Łucja i uśmiecha się do wspomnień z odległego dzieciństwa: potrafiłam, myśli, wyśpiewywać w taki sposób do trzydziestej trzeciej zwrotki. Dlaczego akurat do trzydziestej trzeciej? Nie wiem, nie pamiętam, może ta cyfra oszałamiała mnie swoją wielkością, była największą, jaką znałam, wzbudzała grozę albo poczucie potęgi? Nic to, moje biedactwa, Teresa ma rację, jakież smutny jest pokój dzieci, w którym nie wala się ani jedna zabawka. Od jutra inaczej. Ulepimy najdłuższy na świecie, najbardziej jaskrawy łańcuch na choinkę. Pajacyki ze spiczastymi czapeczkami, uróżowane buzie nad słomianą kryzą. Posrebrzane orzechy i rajskie jabłuszka. Czerwone serca z glansowanego papieru, tęczowe pawie oczka. Wszystko, czego nie znosi Paweł. Wszystko, co pamiętam ze swego dzieciństwa. Wszystko, co wyrzucił z mojego życia. Przykazania katechizmu zastąpił przysłowiami i rozdziela swoje nauki z miną apostoła: pamiętaj, Basiu, nie odpowiadaj ojcu, bo pokorne ciele dwie matki ssie, a harde żadnej. Lepiej jest ssać dwie matki niż żadnej, prawda? Boże, myśli Łucja, czy on w tym swoim wspaniałym przedsięwzięciu, samodzielnej jednostce z perspektywą rozwoju, też zajmuje się cytowaniem nie swoich mądrości: Towarzysze, reasumując, pragnę zaznaczyć, że kto pod kim dołki

kopie, ten sam w nie wpada.

— Łucja! — woła Paweł. — Łucja!

Obudzi dzieci, myśli Łucja. „Basia pójdzie na medycynę, Jacek na politechnikę. I na medycynie, i na politechnice mam znajomości”. Basia ma sześć i pół lat, Jacek pięć i pół, Basia będzie lekarzem, Jacek inżynierem, ich dalsze losy też już zaprogramował.

— Łucja!

Zamyka za sobą drzwi. Plama nad klamką: trzeba wymyć. Nie, niczego nie wymyć, niech będzie.

— Czego wrzeszczysz, dzieci — mówi Łucja, wchodząc do gabinetu.

— Siadaj. Porozmawiamy.

— Nie chcę z tobą rozmawiać — Łucja nie przekracza progu.

—? Życzę sobie.

— Życz sobie. Nie mam ochoty, rozumiesz? Dość się narozmawialiśmy. Realizacja planu skupu nie odbędzie się, plan nawalony. Baśka nie pójdzie na medycynę ani Jacek na politechnikę. A na choinkę ulepimy najdłuższy na świecie łańcuch, taki kolorowy, że aż kłujący w oczy. Nie będziesz ubierał choinki. Obwieszał ją symetrycznie bombkami: jeżeli na gałęzi z lewej strony wiszą dwie bombki złote, to na równoległej gałęzi z prawej strony też powiesimy dwie złote — mówi Łucja.

— Co tobie? Zwariowałaś?

— Nie. Albo tak: zwariowałam!

— Nie mogę z tobą rozmawiać na taką odległość. Chodź i usiądź.

— Nie chcę siadać.

— Łucja!

— Pocałuj mnie, wiesz gdzie?! — krzyczy Łucja.

— Chciałem ci wyjaśnić. To nie była prawda, co mówiłem! Uwierz mi, proszę. Przebacz, zaufaj ostatni raz. Boże, co się ze mną dzieje?

— Jesteś w znakomitej formie — woła Łucja od drzwi.

— Przestań kpić, proszę, proszę! Bądź lepsza ode mnie, wybacz!

Łucja milczy. Stoi wciąż w progu; Paweł siedzi w fotelu, nagle zmięty, zrozpaczony, prawie płacze; i żadne z nas nie uczyni kroku, nie ruszy się ze swoich miejsc, z tych przeklętych miejsc, w które nas

wpisała własna niemożność, myśli Łucja.

— Nie mam ci nic do wybaczenia — mówi.

— Zacięta. Uparta. Zła. Przecież cię proszę...

— A proś, proś, choćby do końca świata! — krzyczy Łucja. — A ja? Mało cię razy prosiłam?

— Ty? Ty mnie kiedykolwiek o coś poprosiłaś? Ty nie umiesz prosić ani się ukorzyć. Ale ja potrafię, wiem, jak bardzo cię uraziłem...

Ty? Mnie? Uraziłeś? — wybucha śmiechem

Łucja. — Biedaku! Ty mnie nie jesteś w stanie fczaić ani dotknąć

Paweł cofa się w głąb fotela, kurczy, wciska głowę w ramiona.

— Przynajmniej postarałabyś się zachować pozory — mówi, gdy śmiech Łucji cichnie.

— Tak jest, panie Pozór. Postaram się. Ale nie muszę.

— I powiedz: dlaczego znowu mnie obrażasz?

— Lepiej zapnij koszulę. Brzuch ci widać.

— Znów mnie obrażasz. Zawzięłaś się i marzysz tylko o tym, aby mnie jak najboleśniej dotknąć — mówi Paweł. — Czy my naprawdę nie potrafimy porozmawiać z sobą jak ludzie?

— Aby rozmawiać z sobą jak ludzie, trzeba być ludźmi — odpowiada Łucja. — • Nie spełniamy tego warunku. Ani ty, ani ja. My już nie ludzie. My — mąż i żona.

Odwraca się, trzaska drzwiami.

— Łucja! — wrzeszczy Paweł.

Pocałuj mnie, myśli Łucja. Żebym miała grzebień czarodziejski, rzuciłabym za siebie i pomiędzy nami wyrosłyby niebotyczne góry. Aby się jeszcze silniej odgradzić od męża, zamyka drzwi od hallu. Zapala światło w korytarzu, setka, niech się pali, pozapalam wszędzie, wszystkie, myśli, zaciąga łańcuch na drzwiach wyjściowych. Szczęka stal, co ja robię? myśli Łucja. Paweł kocha się w zamkach, łańcuchach, zasuwach — drzwi obite dla lepszego zabezpieczenia przed złodziejami żelazną listwą, cztery zamki, zasuwą, łańcuch, gruby, solidny; w nocy nie wolno otwierać drzwi balkonowych: złodziej może się spuścić z dachu, wspiąć po rynnie na trzecie piętro, zlecieć z nieba, zewsząd czyhają złodzieje, układają strategiczne plany do wielkiego napadu. Cóż z tego, że mieszkanie ubezpieczone, przyjdą, okradną, ograbią, jest co wynosić, nie otwieraj nikomu drzwi inaczej niż przez łańcuch, teraz przebiegają się za

listonoszy, inkasentów, napadają na kobiety, które są same w domu. Nie wpuszczaj żebraczek, nie udzielaj pomocy. Na litość boską, nie zgub kluczy. Obsesja złodziei, myśli Łucja, drzwi obramowane metalowymi okuciami, wały obronne nie do sforsowania, cztery zamki, zasuw, łańcuch. Twierdza. Gdyby mógł, wstawiłby jeszcze kraty w oknach. Nic nie stracić. Niczego nie zgubić. Nie upuścić, nie potłuc, nie zniszczyć. Żeby wszystko należało do kategorii rzeczy niezniszczalnych, nieużywalnych. Szklanki z nietłukącego szkła. Buty z wiecznej skóry. Nie wy-mydlające się mydło. Dostałem okazynie kupon wełny, podobno nie do zdarcia. Ta jesionka będzie nie do zdarcia. Ten sweterek dla Jacka będzie nie do zdarcia. Jacek wyrośnie z niego, a sweterek jak nowy. Oddasz do komisju i niewiele się straci. Człowiek, który się dorabia — a dorabia się w gruncie rzeczy przez całe życie — nie powinien pozwalać sobie na luksus rzeczy nietrwałych, tandetnych: wszystko zawsze w jak najlepszym gatunku, nie do zdarcia. Gwoździak może się przydać. Śrubka również. Kawałek szpulki, stoiki, butelki. Wymyjesz i sprzedasz. Butelka złotówkę, słoik czterdzieści groszy. Gazety odkładane jedna na drugą, papierowe torby: makulatura. Kilogram złotówka. Obywatelski obowiązek. W służbowym pokoju przy kuchni skład rupieci. Poskręcane druty, wygięte gwoździe, śruby bez gwintów, kawałki zardzewiałej blachy, przeżartych robactwem desek, drewna. Korki, kapsle. Butelki po winie, których nie przyjmują w sklepie, niech stoją, może się przydadzą, grzech wyrzucić. Obtłuczone pokrywki, stare buty, dziurawe, ze zdartymi zelówkami, wyszczerbione naczynia: obity półmisek, pęknięty wazon, cukiernica bez ucha. Dziurawe wiadro od śmieci. Skarbiec rodzinny państwa Gą-siorowskich. Biurko, w którym trzyma swoje, już prywatne, intymne skarby: trochę zagranicznych miedzaków, los na loterię państwową, książeczki samochodowe, dokumenty, metryki, rachunki opłat za gaz, elektryczność, telefon, wszystko posegregowane, ułożone datami, spięte spinaczami, paragony ze sklepów; swoje pieniądze, bo ich nie nosi ze sobą, można zgubić, zostać okradzionym. Dlaczego ty, Łucjo, nosisz w portmonetce aż tyle pieniędzy? Nigdy więcej, ile potrzeba. Biurko zamknięte na klucz. A klucz od biurka, myśli Łucja, gdzie chowa klucz od biurka? Klucz rzucony w morze, nic nas nie rozłączy, tylko ty, o Boże. — O, Boże — jęczy Łucja, zdejmując łańcuch z drzwi.

Nie ma ucieczki, to twierdza. — Nikt nas nie rozłączy — powtarza. Idzie do kuchni. Zmywa naczynia. Ustawia na suszarce. Bandaż szarzeje ciężki od wody.

Szoruje zlew. Zamiata posadzkę, nalewa wody do plastikowego wiaderka, wsypuje garść zbyt drogiego proszku, klęka i postękując myje posadzkę. Krew zakrzepła w rude plamy. Obrzydliwe, myśli Łucja. Gdyby ją ktoś teraz zapytał, co robi, nie potrafiłaby odpowiedzieć. Musiałaby się zastanowić: co robię? Po prostu, posuwając się na klęczkach, zmywam posadzkę. Posadzka ułożona z białych kafelków, łatwo się brudzi. W dodatku pochlapana krwią. Posadzka powinna być czysta. Trzeba więc ją przemyć wodą z proszkiem.

Wlewa wodę do ubikacji, w łazience płucze ścierką od podłogi, wieszka na kaloryferze. Optu-kuje wiaderko, odnosi do kuchni, chowa do szafki pod zlewem. Wyjmuje z lodówki mięso, jarzyny. Obiera, myje, zalewa wodą, wrzuca przyprawy, nastawia smak na zupę. Wraca do łazienki. Trzeba posegregować bieliznę do prania. Palec krwawi ponownie: bandaż poczerwieniał. Niech krwawi, myśli Łucja. Wydaje się jej rosnąć pod bandażem, puchnąć, sinieć. Niech sinieje, myśli. Pulsuje w nim gorączka, boli. Niech boli, trudno.

W lustrze nad umywalnią widzi swoją twarz: jak piąstka. Rzeczywiście, jak piąstka, myśli. Wystające kości policzkowe, wpadnięte policzki, wyostrzony nos. Dwie głębokie krechy od nosa do ust. Strumyczki uśmiechu, jak mówi Basia. Będę się zawsze uśmiechać, o tak. Ale przeraża się swoim uśmiechem, jest trupi, myśli. Łucja Gąsiorowska, miss krematorium. Porusza się z wrodzoną gracją, chrzęszcząc kośćmi.

— Ty — mówi Łucja do tej twarzy jak piąstka — opamiętaj się. Do psychiatry!

Twarz porusza ustami. Policzki jeszcze silniej wpadają w jej głęb. Grozi im owiniętym kikutem palca.

— Nienawidzę was. Nienawidzę tej pani z dziurami w twarzy zamiast policzków. Jest stara, brzydka i musi iść czym prędzej do psychiatry. A może nigdy nie była ani młoda, ani ładna? Może tylko wyobrażała sobie, że tak było? No, i co z tego? — pyta.

Pokazuje język swojemu odbiciu. Rozbić luostro, myśli. Odwraca się, otwiera klapę brudo-wnika: na białą posadzkę wysypują się lawiną zmięte, szare sztuki bielizny. Bucha odór zastarzałego potu, słodkokwaśny, silny.

— Jezu! — mówi Łucja,

Cofa się o krok. — Jezu — mówi — ile tego! A trzy tygodnie temu prałam.

Przysiada na brzegu wanny, powtarzając: ?— Ile tego. — Palec rwie. Jak tym paluchem, myśli. Patrzy na rozwaloną bieliznę: poszwy, ręczniki, serwety, prześcieradła, koperty, kalesony, koszule.

— To niemożliwe, skąd tego tyle? — powtarza.

Za każdym razem dziwi się, przerażona, skąd tego tyle. Jakby brudna bielizna spadała z nieba, jakby ją tu ktoś złośliwie podrzucał. A muszę, myśli Łucja, w tym tygodniu zmienić nam wszystkim bieliznę, jak to popiorę tym paluchem?

Wysuwa stopę i dotyka jakiegoś prześcieradła. Z tym paluchem, myśli. Same brudy. Zawsze brudy. Tylko brudy. Co drugi dzień tak zwana mała przepierka. Co tydzień większa, już z gotowaniem ścierek i, co gorzej, poplamionych serwet. Co trzy tygodnie, jak w zegarku, olbrzymie pranie. Kocioł bielizny, który trzeba dźwignąć z piecyka, odsuwając twarz od buchającej pary, śmierdzącej mydlinami, potem kocioł zestawić na podłogę, uważając, aby nie wymknął się z naprężonych ramion na nogi. Już raz się poparzyłam, blizny pozostały, myśli Łucja. Może powinnam zapisać się do klubu ciężarowców? Ile waży taki kocioł?

Podwijając rękaw sukienki, sprawdza swoje mięśnie.—Złoty medal olimpijski dla Łucji Gąsiorowskiej — mruczy zaciskając palce na przedramieniu. Prawie je nimi obejmuje, ohyda, myśli Łucja. Ta rączka taka chuda, taka chuda. Urządzą podwórkowe jasełka i zagram śmierć, będę

dobra.

Kocioł zestawić z piecyka na podłogę to pierwszy etap treningu. Potem, zaciskając zęby, dźwignąć znowu, jeszcze trochę, no, jeszcze podrzucić w górę, na wysokość kolan i drobiąc kroki, z karkiem



wygięty w pałąk tak silnie, że każdy mięsień pracuje oddzielnie — przebiec kuchnię, do łazienki. To drugi etap. Ręce mdleją, kocioł prawie z nich wypada, ostrożnie, ostrożnie, trzask, ześlizgując się po nogach —? wali o posadzkę. Para bucha. Trzeci etap zakończony pomyślnie. Odpocząć. Odpoczywam, myśli Łucja, nawet nie mając sił na rozprostowanie pleców, czasem boję się, że już takie zostaną, garbaty pałąk. Odpoczywa, pochylona nad kotłem jak nad kadzidłem, ze zwieszonymi rękami. I wreszcie czwarty etap, najtrudniejszy: podrzucić kocioł do góry, na wysokość wanny, przechylić. Pęka czoło i czaszka. Łamie się krzyż, pękają mięśnie brzucha: teraz przeczekać. Cofnąć twarz. Ostrożnie, ostrożnie. Pusty kocioł spada z brzękiem na posadzkę, turla się, wylewając resztki brudnych mydlin. Cała łazienka tonie w kłębach smolistej pary. Po ścianach, lustrze spływają jej skroplone strużki. Po ścianach, lustrze i twarzy Łucji, która, wciąż wygięta w pałąk, dysząc ciężko, siada na podłodze obok pustego kotła.

— Jezu — mówi Łucja.

Schyła się, przykłęka, segreguje bieliznę: kolorowa na jedną stronę, biała na drugą. Słyszysz brzęk podskakującej na garnku pokry-

wki. Wstaje, biegnie do kuchni: zupa kipi. Zmniejsza gaz. Trzeba naczynia pochować, już obeschtły. I wyciągnąć kocioł z antresoli. Jutro muszą wstać o piątej, postanawia Łucja.

Odwija palec z bandaża. Wygląda okropnie: opuchł, rozdał się, mięso wywała się spod resztki odstającego paznokcia. Nie należało moczyć, zwłaszcza w proszku, myśli Łucja. I wzrusza ramionami. Nie należało, śmieszne, a kto za mnie zrobi?

— Chyba rzeczywiście jestem z żelaza —

mruczy Łucja, szukając w apteczce maści ichtio-  
lowej. Przyłożą i wyciągnie. Owinę ceratką, ce-  
ratka nie przepuści wody. A paznokieć i tak zej-  
dzie. Jutro, jak uporam się z praniem i wywieszę  
bieliznę na strych, zrobię temu paluchowi kąpiel  
z rumianku i szalwii, przyłożę maści, jakoś się  
wygoi. Nie pójde do lekarza. Z Jackiem trzeba  
pójść, a jeśli Jacuś w ogóle jutro nie wstanie?  
Może lepiej zostawić go w łóżku? Tak, zostawię.

Ugotuję mu rosółek z kurczaka. Trzeba kupić

I            ćwiartkę kurczaka, rano, jak pójdę po mleko

i bułki. Jutro ma być grochówka, prawda, jeszcze groch namoczyć, ciężkostrawne dla niezdrowego dziecka — krzywiąc się z bólu, ściąga palec ceratką, lekko obwiązuje gumką. — Teraz powinien być suchy. Będzie dobrze. Co tam. Od tego się nie umiera. — Wynosi ze służbówki drabinkę, zdejmuje kocioł. — Gdy w ubiegłym roku pośliznęłam się tu, w kuchni, ze stojem konfitur w rękę i wbiłam sobie szkło w dłoń — mówi głośno, odstawiając drabinkę do służbówki — też nie poszłam do lekarza i wygoiło się — odsuwa kocioł nogą w kąt. Wstaną o piątej, myśli, i najpierw nastawię kocioł. Do szóstej wygotuję po raz pierwszy, do siódmej wypłuczę i wykręcę. Gdy Paweł będzie jadł śniadanie, nastawię drugą turę. Zanim dzieci wstaną, powinnam zdążyć uprać pierwszą partię i sprzątnąć po śniadaniu Pawła. Potem pościelę mu tapczan, ach, nie! zmienię mu obleczenia i wyrzucę kołdrę na balkon, niech się wywietrzy. Potem przygotuję śniadanie dla dzieci, pomogę się im ubrać, umyć; żebym nie zapomniała o kurczaku dla Jacka. Rano trzeba zmierzyć mu temperaturę. I dać profilaktycznie polopiryny z witaminą c. Mleko z masłem i miodem. Dziecko trzeba będzie przenieść do mego pokoju, wywietrzyć mu pościel.. Do południa powinnam całkowicie skończyć pranie. No i zdążyć sprzątnąć, choć trochę. Potem wyskoczę po zakupy. Co ugotować na to przekłete drugie danie? Ewentualnie mogę skręcić mięso z zupy i pobawić się w lepienie pierożków. Nie, pierożki nie, za dużo pracy. Może sos chrzanowy i będzie po prostu sztuka mięsa? Paweł nie lubi sztuki mięsa. Mam go w nosie. Lubi czy nie lubi.

O            Jezu, myśli Łucja, lepiej zrobić rizotto z mięsa

I            ryżu, trochę pieczarek, żółtego sera, będzie mi później przez tydzień marudził, że karmię go żyłami za jego własne, ciężko zapracowane pieniądze na odpowiedzialnym stanowisku. Kupić kilo ryżu. Cukier, herbatę, wędlinę, owoce. Pasta do podłogi. Wiórki. Na deser zrobię kompot, i niech mnie pocałuje. Albo nie: upiekę jabłka, dzieci przepadają za pieczonymi jabłkami. No tak: do wpół do drugiej powinnam mieć solidnie zaawansowany obiad, skończone zupełnie pranie i sprzątanie. O drugiej, myśli Łucja, zacznę płukać bieliznę. — A potem — mówi — położę się na podłodze i zdechnę.

Zajęta układaniem swojego harmonogramu zajęć nie słyszy kroków męża. Gdy więc staje za jej plecami, Łucja krzyczy przeraźliwie:

— Aaaa!

— Łucja! Zwariowałaś? Przymyka oczy, opiera się o kredens.

— Przestraszyłeś mnie.

— Bardzo — zaczyna Paweł powoli — bardzo stałaś się nerwowa. Co z twoimi rękami? Co ty z nimi robisz?

Łucja szybko chowa ręce pod fartuch.

— Nic. Nic. Przestraszyłam się. Czego chcesz? No, czego?

— Łucjo.

Paweł zbliża się, przystaje przed nią, szuka jej dłoni pod fartuchem, pokonując opór, wywleka, chowa w swoje.

— Spokój, spokój — mówi. Otwiera ręce: złapana w uścisk dłoni Łucji dygoce konwulsyjnie.

— Zostaw — mówi Łucja. Wydziera rękę i chowa ją za plecy. — Zostaw!

?— Chyba jednak jesteś przepracowana — odzywa się Paweł po dłuższej chwili milczenia. — To było straszne ?—? otrząsa się i spogląda na żonę z przerażeniem i odrazą — jak w epilepsji.

Teraz Łucja milczy.

— Przeszedłem ci jeszcze raz powiedzieć: to nie była prawda.

— Co: nieprawda?

— Wszystko. Co ci mówiłem. Przyznaję: chciałem ci ubliżyć.

— Ublizas mi codziennie od lat, przyzwyczaiłam się.

— Uwierz mi, proszę. Ja naprawdę wierzyłem, że będziesz mogła wrócić na studia. Tamto, co powiedziałem, jest nieprawdą.

— Boże drogi — mówi Łucja. — Boże drogi, jakież to może mieć teraz znaczenie? Prawda czy nieprawda? Śmieszne.

— Ależ ma, kolosalne! Nie rozumiesz? Łucja kręci przecząco głową.

— Daj spokój, Paweł. Zostaw mnie. Idź sobie.

— Czy ty nie rozumiesz — krzyczy Paweł, chwyta Łucję za ramiona — że zawsze ciebie kochałem? I nic na to nie poradzę: jestem wciąż zazdrosny i niepewny ciebie. Kiedy sobie przypomnę, jak szybko cię miałem. Znaczy: tak z każdym. I tych twoich bezczelnych fagasów, pewnych siebie. Patrzyłaś na nich inaczej niż na mnie, nawet inaczej się do nich śmiałaś. Każdy człowiek — mówi już ciszej Paweł — ma prawo do wspomnień, a ja się ich wypieram. Bo one są piekłem. Tak, piekłem. Nigdy nie kochałem żadnej kobiety tak jak ciebie. Nawet nie sądziłem, że jestem zdolny do takiego uczucia. Czy ty wiesz, że uczyłem się dla ciebie wierszy? Tego Tuwima? Tyle o nim mówiłaś. Dorosły mężczyzna, po wyższych studiach, z tytułem magistra, uczył się jak szczeniaczek rymowanek. Moja matka twierdziła, że mnie opętałaś. To nie jest normalne, mówiła. Ona chyba miała rację. Przez cały czas, od momentu gdy cię poznałem, nie miałem innej kobiety. I teraz również nie chcę. Dlaczego? — Zbrzydłaś, tylko te włosy — mówi Paweł i dotyka włosów Łucji — chuda, kłótniwa, głupia, o niczym z tobą nie można rozmawiać, na niczym się nie znasz, nic nie umiesz, cofnęłaś się w rozwoju, wpadłaś w powtórny analfabe-

—

—

tyzm, a ja wciąż, tylko ciebie... — pochyla nad Łucją twarz pokrytą kropelkami potu.

— Słuchaj, Paweł — mówi Łucja — wyjdź stąd.

— Łucja! — krzyczy Paweł.

— Będzie lepiej dla ciebie i dla mnie, jeżeli stąd wyjdiesz — mówi cicho Łucja.

— Żebyś wiedziała, jak cię czasem nienawidzę za to, że muszę cię kochać. ,

— Słuchaj — mówi Łucja — odejdz. To nie twoja rola. Nie twój kostium. Żle ci w tym.

— Moja matka mówiła: po co się zaraz żenić? Nieżeń się, przecież jesteś mężczyzną, wiesz, jak to się robi.

— Słuchaj, Paweł? — mówi Łucja przez zaciśnięte zęby — błagam cię, nie mów mi ani słowa więcej, ani jednego, o swojej matce.

— Będziesz cierpieć, mówiła. Miała rację. Każdy prawdziwy mężczyzna chce mieć za żonę uczciwą kobietę.

— Słuchaj, Paweł — mówi Łucja.

— A ten Tadeusz Teresy, po co on tutaj przychodzi? Nie jestem w stanie cię sprawdzić, co robisz, kiedy mnie nie ma w domu! — krzyczy Paweł.

— Ty biedny głupcze — mówi Łucja z litością. — Nienawidzę cię.

— A ten chłopak na wakacjach dwa lata temu?

— Wyjdź stąd.

— Spałaś z nim, widziałem.

— O, Boże — mówi Łucja.

— Matka dwojga dzieci, a zachowywała się jak pensjonarka. „Może się pan napije z nami kawy? Może zje z nami obiad?” — krzyczy Paweł, — Może to, może tamto! Nawet malowałaś się dla niego! Nigdy się nie malujesz, a wtedy nagle zaczęłaś się malować. Może powiesz, że dla mnie?

— Idź stąd! Tu jest kuchnia, moje królestwo: ijarnki, proszki do szorowania, kocioł do bielizny. Idź stąd. Wynoś się!

— Jeżeli nie spałaś, to tylko dlatego, że was pilnowałem. Ale chciałaś, co na jedno wychodzi.

— A więc dobrze: chciałam! — mówi z mściwością Łucja. — Bardzo chciałam. Był młody, miał gładką, czystą skórę, pachniał wodą. Kiedyś stanęłam za nim, gdy wyszedł z jeziora, patrzyłam na jego smukłe plecy i prawie chłopięcą szyję. Pomyślałam: dotknę jego ramienia. Wyciągnęłam rękę. Ale nie dotknęłam i przeklinam siebie, że nie ośmieliłam się dotknąć! — krzyczy Łucja z furią. — Rozumiesz? Przeklinam siebie. A teraz wynoś się stąd, wynoś się na zawsze, ale szybko.

Paweł potrząsa Łucją.

— To kłamstwo! Kłamiesz!

— Zadowolony jesteś? Przecież chciałeś to usłyszeć? — krzyczy Łucja wprost w otwarte usta Pawła.

— Nigdy nie uwierzę. Kłamiesz!

Jeżeli chociaż raz zdobędziemy się na powiedzenie prawdy o sobie, natychmiast zaczynamy się jej wypierać, myśli Łucja. — Prosiłam cię, abys stąd poszedł. Dlaczego mnie nie usłuchałeś? — mówi.

— Ach, ty! — mówi Paweł. Jeszcze chwilę zaciska palce na ramieniu Łucji. Obejmuje ją, przytula do siebie. — Przepraszam. Co ja na to poradzę, co poradzę. — Całuje po włosach, gładzi

po plecach. — Przepraszam — powtarza. — Co ja poradzą, co poradzę?

Łucja stoi przy nim sztywna, poddaje się jego rękom i ustom z tępą biernością automatu.

— Przyjdiesz do mnie? — pyta Paweł. Łucja całuje go w spocony policzek. Musiałam to zrobić, usprawiedliwia się w myślach.

— Słuchaj, Paweł — zaczyna, przetyka ślinę. Za nic, myśli. Nigdy. Nie teraz.

Wyswobadza się z jego objęć, jeszcze raz całuje go w policzek. Za nic, myśli. Nie teraz. Potem. Ale nie teraz.

— Słuchaj, Paweł — mówi szybko. — Palec mnie boli, głowa boli, krzyż boli. Może jutro.

Paweł milczy. Unosi tylko nieco wyżej brwi.

— Palec boli, bardzo boli, i głowa. Już późno — powtarza Łucja, wycofuje się na środek kuchni.

?— Zawsze szukasz jakiejś wymówki — odzywa się Paweł — ilekroć cię o to proszę. A przecież nie powinienem prosić.

— Pranie — mówi Łucja, przetykając ślinę — nowe pranie, palec boli, głowa.

— Zawsze cię coś boli albo strzyka, albo łamie — Paweł daje krok w stronę Łucji; Jezu, nie ucieknę, myśli Łucja — albo mdli, albo będzie mdliło. Z tamtymi cię nie mdliło ani nie strzykało, co? Cóż, nie będę prosił. Jakoś wytrzymam. Postaram się wytrzymać. Od tygodnia już zawsze wieczorem zaczyna cię boleć albo strzykać. Ale pamiętaj, ostrzegam: dłużej nie pozwolę się szantażować. Jestem zdrowym mężczyzną, silnym, witalnym, o normalnych reakcjach i prawidłowym popędzie. Aż wstyd, abym o takich sprawach mówił. To należy do twoich obowiązków. Ale nie, to nie. Jakoś to sobie inaczej załatwię.

Trzaska drzwiami od kuchni.

— Jeszcze ci pościelę i podam śniadanie do łóżka! — krzyczy za nim Łucja, bo wie, że już jej nie usłyszy. — Przygotuję kąpiel z szyszką sosnową. Wyprawię uroczysty obiad! Żebyś mi tylko dał święty spokój. Żebyś się ode mnie odczepił.

Otwiera apteczkę, szuka środków uspokajających. Może, myśli, jak łyknę ze cztery miltowny, będzie mi wszystko jedno.

Wysypuje tabletki. Kiedyś mnie szlag trafił od tego świństwa, myśli, nalewa wody do szklanki, popija, połyka. Woda jest silnie chlorowana, cuchnąca. Palec rwie przejmującym bólem, już nie tylko palec, a cała ręka. Żeby mi się tylko jakaś cholera nie przyplątała! Siada przy stole, splata ręce. — Jezu — mówi — przestańcie dygotać. Bo założę wam kaftan bezpieczeństwa.

Skaleczony palec, owinięty w kokon bandaży, nieforemny, kanciasty, drga na stole. Jak nie do-rżnięty kurczak, myśli Łucja z obrzydzeniem. Kiedyś sobie poobcinał wszystkie palce. Po kolei. Przeszła mu zdradzać.

Wiele od uchylonego okna. Łucja podnosi się, zamyka. Ciemno. Noc. Jak wtedy, kiedy przyszedł zapytać, czy Baśka jest na pewno jego dzieckiem. — Możemy to sobie łatwo sprawdzić — wystarczy zbadać krew jej i moją. Leżał obok żony w łóżku, przyszedł w nocy. Basia spała obok w łóżeczku, naprzeciwko czarny kwadrat nieba ujęty w białe ramy okna — jak przepaść.

- Nie rozumiem — mówi Łucja, stojąc przed kuchennym oknem, do Pawła, który leży obok niej, sześć lat temu. Paweł ma zamknięte oczy, krople potu na • skroniach, bok przyciśnięty do jej boku.

— Nie rozumiem. — Zdumiewa ją do tej pory zazdrość Pawła: ujawniła się niespodziewanie, była całkowitym zaskoczeniem. Przez te trzy miesiące, kiedy się spotykali, aż do ślubu, i potem do urodzenia córki, nigdy, ani razu, nawet nie uczynił aluzji. Na ślubie sam całował się jak z dubeltówki ze wszystkimi przyjaciółmi Łucji. Później szli środkiem szpaleru, pod rękę, obrzucani confetti i kaszą, w ślad za nimi dudnił bas trąby Stefana. Paweł uśmiechał się, co chwila pochyłał, całując swoją nowo poślubioną piękną

żonę, która ginęła za naręczem margeritek. Razem z nią snuł później dalekosiężne plany: musisz koniecznie wrócić na studia, szkoda, abyś marnowała swój talent i urodę. Bezapelacyjnie. Skrobała marchew na jarzynkę, obierała ziemniaki, tłukła mięso na bitki i uczyła się ról: „Królu! powiedz mu, że on domu tego panią zhańbił, że podłe serce mu w piersiach uderza, ani serce Polaka, ni serce rycerza. Powiedz mu, że my biedne kobiety bronim się wzgardą, więc ja pogardzam”. Z zaciekłością tarła bieliznę na tarze, pralkę Paweł kupił dopiero wtedy, gdy urodził się Jacek, pralka zajmowała ostatnie miejsce na liście większych domowych inwestycji, ale jednak przed odkurzaczem i froterką. Pochylona nad wanną, z rękami w mydlinach, w rytm podskakującej pralki powtarzała: „Że, choćbym nierządnicą była, nie skorzysta, bo jeszcze dlań będę za dumna, za czysta”. Wieczorem, siedząc naprzeciwko swego męża, pytała: — Przygotowuję Amelię, chcesz posłuchać? „Powiedz mu, że nikogo nie mając za stróża, mogłabym mieć mściciela, lecz mam go za tchórza. I wzgarda moja litość urodziła we mnie. Ale powiedz mu, królu, że zrobił nikczemnie.” — Brawo! — wołał Paweł, klaszcząc — brawo!

— Nie rozumiem — woła Łucja. Grozi pięścią przepaści za oknem. Nie chce uwierzyć, jeszcze teraz, w aż taką premedytację. Nie mówił prawdy. Kłamał.

Wielogodzinne, ciągnące się późno w noc, śledztwa, przesłuchiwanie. Powiedz, powiedz, myśli Łucja. Rok milczenia i nagle wybuch, eksplozja. Szepty nabrzmiałe nienawiścią. Obok śpi dziecko, ciszej. Powiedz, powiedz. Ile, z kim, jak. Przepytywał z nieruchomą twarzą, zamkniętymi oczami. Ty chyba oszalałeś, Paweł. Powiedz. Powiedz. Muszę wiedzieć. Zazdrość, która się nagle wyzwoliła, czy zazdrość starannie maskowana, aż do czasu, w którym uznał, że może sobie pozwolić na jej ujawnienie, myśli Łucja, rozpocząć grę, ponieważ stał się silniejszy, poznał swoją siłę i wie, że nie potrafię się obronić? Gniótł jej napęczniałe pokarmem piersi, świadomie zadawał ból i szeptał: a z tym rudym, wysokim, pamiętasz go? Jak się nazywał? Rudy, wysoki, w kusej marynarce i granatowym krawacie w białe grochy? Zapamiętał nawet krawat: granatowy w białe grochy, myśli Łucja, a ponieważ nie pamiętałam ani krawatu, ani jego właściciela, nie mogłam sprawdzić, czy jest to bluff, ten krawat: granatowy w białe grochy? Pokerowy chwyt? Żadnych atutów w ręku, najwyższa licytacja i zgarnięcie puli? Tak począł się Jacek, myśli Łucja, w jedną z tych koszmarnych nocy. Basia miała sześć miesięcy — dopiero przestała ją karmić piersią. Paweł nie pozwolił usunąć ciąży. Jedno przy drugim łatwiej się wychowa, twierdził. Brała gorące kąpiele, piła sporysz, dźwigała kotły. I choć starała się zachowywać pozory, długo nie umiała przezwyciężyć odrazy do tego dziecka. Nie wstawała do niego po nocach. Nie karmiła piersią. Mógł zachłystywać się płaczem — leżała, nie śpiąc, nie ruszając się z miejsca. Krzyk dziecka świdrował boleśnie — drżała, pociła się: nie wstanę. Przewijała brutalnie, szarpiąc małym ciałkiem. Pamięta: miał dziewięć miesięcy, gdy pociągnęła go za rączkę tak silnie, że wywichnęła ją w stawie. Zaniósł się płaczem, zsiniał. Rzuciła się na kolana, bełkotała: — Boże. — Rączka dziecka zwisała przekręcona jak u szmacianej lalki. Musiała zadać dziecku ból, aby je zacząć kochać. Wtedy też, po raz pierwszy, którejs nocy, urosła mi głowa, myśli Łucja, i wypełniła sobą pokój. Pamiętam swój strach: zadusi dzieci.

Nie ma po co, myśli Łucja, wracać, wspominać, rozmyślać. Dlaczego nie potrafię się od tego uwolnić? Po co ciągle, każdego dnia, stale, wiecznie, nieustannie pamiętam o tym, co było? I po co pytam: dlaczego? Dlaczego spotkałam go wtedy w pociągu? Dlaczego ten głupi miltown nie działa?

— Może byśmy się jednak pogodzili, co? —? Paweł wchodzi do kuchni. Już rozebrany, w pidżamie. Jak

on młodo wygląda, myśli Łucja, cofając się pod okno. Młody-stary mężczyzna z nieskazitelnym przedziałkiem, lśniącymi pa- • znokciami.

— Pić mi się zachciało — wyjaśnia Paweł. — \ ty, co tu jeszcze robisz?

— Nic — odpowiada Łucja. Czemu nie działa ten cholerny miltown, myśli.

— A mówiłaś, że masz tyle pracy. I że głowa cię boli. Kłamczuszka — mówi Paweł, podchodzi bliżej, opuszcza rękę na ramię Łucji. Dlaczego ten cholerny miltown nie działa? myśli Łucja. — Kłamczuszka. Moja kłamczuszka — poklepuje ją Paweł. — Cóż za kłamczuszka — jego ręka schodzi z szyi Łucji, chwytając za pierś.

— Zostaw — mówi Łucja. Jezu, myśli, dlaczego ten przeklęty miltown nic a nic nie działa?

— A, kłamczuszka — droczy się Paweł. Przyciska Łucję brzuchem do okiennej szafki. Brzuch ma ciepły, miękki. ? — Kłamczuszka — mówi, szukając wpółotwartymi ustami twarzy Łucji. Łucja zaciska z całej siły wargi, żeby jeszcze choć jeden miltown, myśli.

— Chodź, chodź — mówi Paweł. — No, nie udawaj, że nie chcesz. Kłamczuszka.

Przestaje się bronić. Bez sensu, myśli Łucja, bez sensu, po co? Stara się tylko uchylić twarz, chociaż twarz osłonić, schować, chociaż twarz, nic więcej nie mam, myśli podnosząc ręce ponad Pawłem, po co się oszukujesz, twarzy dawno nie masz; wyjmuje szpilki przytrzymujące jej długie, gęste włosy. Włosy spadają na twarz, odgradzając od ust Pawła.

Podczas gdy leży sztywna, bez jednej myśli, otepiała, z gęsią skórką na plecach, udach, piersiach, zniszczona swoją własną biernością, poddaniem, swoim posłuszeństwem, nie czując już nawet obrzydzenia ani odrazy, nie pamiętając o niczym, pragnąc jedynie swego unicestwienia — Paweł przysiadł na brzegu tapczanu.

— No, starucha — mówi Paweł, odwracając się do Łucji — już, już. Pora spać.

Łucja milczy.

— No, stara — Paweł wyciąga rękę, klepie Łucję po brzuchu.

— Umarłam — odzywa się Łucja.

Paweł śmieje się. Wciąż poklepując żonę, mówi: — Widzisz, jak było dobrze? No, dobrze było?

— Mógłbyś przynajmniej zęby umyć — mówi Łucja z nienawiścią.

— Nie marudź — Paweł jest syty, ociężały, słychać i senność, i ociężałość w jego głosie. Przeciąga się, ziewa znowu. — Spać mi się chce, nie zaczynaj, przebaczyłem ci.

— Tak, przebaczyłeś — mówi Łucja.

— No, idź spać. Albo się posuń, jeżeli zamierzasz spać dziś ze mną.



— Gdybym ci powiedziała... — mówi Łucja.

— Ech, daj ty mi święty spokój — energicznym ruchem spycha Łucję pod ścianę, kładzie się obok, wzdycha z ulgą, ziewa, cmoka. — Co za człowiek, nawet w nocy będzie truła.

— Gdybym ci powiedziała... — powtarza Łucja.

Paweł ostentacyjnie odwraca się plecami.

— Gdybym ci powiedziała... — uparcie powtarza Łucja. — Słuchaj, ja chyba jestem znowu w ciąży — kończy i sama jest zdumiona swoim kłamstwem.

— Jak to? — Paweł siada, odrzuca kołdrę.

— Zwyczajnie.

— Jesteś pewna? Byłaś u lekarza?

— Jeszcze nie byłam, ale...

— To nie zwracaj głowy — mówi ze złością Paweł. — Mam dość, powyżej dziurek nosa, twoich urojeń. Poprzednim razem nieomal rodziłaś. Najpierw sprawdź, a potem wpadaj w panikę.

— A jeśli? — pyta Łucja.

— Po co z góry uprzedzać fakty?

— A jeśli? — nie ustępuje Łucja.

— Jeśli jesteś, to się załatwi. Teraz daj mi spać, dobrze?

— Załatwi się? Aha, załatwi — powtarza Łucja, wybucha śmiechem. — Może ty za mnie pójdziesz na skrobankę? Ty za mnie załatwisz?

— O, Boże — mówi Paweł.

— Da siedemset złotych i załatwi. Jeszcze będzie narzekał, że nie planowany wydatek — śmieje się Łucja. — No więc tak, nie wiem, czy jestem. Może jestem, a może nie. Ale mógłbyś przynajmniej wyrazić zaniepokojenie.

— Dobrze. Niniejszym wyrażam zaniepokojenie. A teraz, do cholery, daj mi spać! — Paweł rzuca się na poduszkę, naciąga kołdrę na głowę.

— Paweł, pozwól mi wynająć sprzątaczkę — mówi Łucja — żeby chociaż przychodziła raz w tygodniu.

— Słuchaj, ty masz chyba paranoję — woła Paweł, wychylając twarz spod kołdry. — Nie nadążam za twoimi przeskokami myślowymi. Od urojonej ciąży do sprzątaczk. Znalazła sobie czas i miejsce na załatwianie swoich interesów. Idź do siebie.

Łucja kuli się pod ścianą. Zmarzła.

— Musisz mi w takim razie dać na lekarza.

Czterdzieści złotych. Zamówię sobie jutro wizytę w spółdzielni.

— Z jakiej racji mam ci dawać? — dudni spod kołdry stłumiony głos Pawła.

— Zawsze powtarzasz, że choroba należy do kategorii nieprzewidzianych wydatków, które ty pokrywasz ze swojej puli — odzywa się Łucja. Ma cały plan, jakie to proste, myśli, olśniona.

— Dobrze, dam! Mam natychmiast wstać czy łaskawie poczekaś do jutra?

—? Poczekać — mówi Łucja, uśmiechając się do siebie. — I drugie czterdzieści złotych na chirurga. Przecież sam powiedziałeś, że rękę powinien zobaczyć chirurg.

— Zadzwoń do Kazia, pojedziesz do szpitala i zrobią ci tam za darmo.

— Nie mogę jutro jechać do Kazia, Jacek jest chory, ma gorączkę. Razem osiemdziesiąt złotych. Albo zapłacę z domowych, a ty mi potem zwrócisz.

— Dobrze. Zwrócę. Nie marudź.

— Dobranoc, kochanie — oświadcza śmiejąc się Łucja. Wsuwa się spod ściany, wstaje, zbiera rozrzucone ubranie, wychodzi, zamyka drzwi. Nie sprawdzi, czy byłam, myśli. Powiem, że tak. Niech beknie, myśli Łucja. Niech wybuli siedemset złotych. Pójdę sobie w tym czasie do kina. Tyle lat nie byłam w kinie. Dwa, trzy? Do kina, a potem wrócę, położę się i zacznę jęczeć. Będę leżała trzy dni i ani palcem ruszę. Niech sobie weźmie wolne z urlopu. Będę chora. Będę umierająca. Będę udawała malignę. Będę plotła niestworzone rzeczy. O, Boże, wreszcie się wy-leżę. Wreszcie odpocznę. Kupię sobie sukienkę. Kupię Jackowi nowe spodnie, nie będę szyła ze h, Kupię Basi nowy bezrękawnik, nie będę biała tego starego łacha. Jak wyjedzie za «, kupię sobie butelkę szampana. Wszyst-"upi, : co będę chciała.

jsuwa nogą rozbebeszoną bieliznę na podłozniczki. Oddam do pralni i nie będę prała. Wynajmę sprzątaczkę i będę czytała książkę. Pójdę do teatru. Do wszystkich teatrów. Kupię sobie bilet na pociąg i pojedę byle gdzie, byle dalej. Wszędzie, gdzie mi się spodoba, j — Idiotka — mówi głośno.

Napuszcza wodę do wanny. Długo szoruje swoje kościste ciało, trze brzuch, piersi tak silnie, aż skóra przybiera kolor fioleto. Palec boli. Niech boli, myśli. Nienawidzi siebie. Swojego planu. Swoich pragnień. Swojej nienawiści. Każdej kosteczki, każdej myśli. Wszystkiego, co jest w niej i co z niej powstało. Nienawidzi swoich dzieci, które śpią w czystym, sterylnym, pomalowanym na łagodnie różowy kolor pokoju.

Wychodzi z wanny. Wyciera się. Kopie bieliznę, zgarnia jej całe naręcze i wyrzuca do góry, obsypuje się

sztukami prześcieradeł, serwet, ręczników.

W lustrze dostrzega swoją twarz: jak piąstka, piana w kącikach szerniałych ust.

? Zabić — mówi. I nagle wzbiera w niej szalony śmiech, widzi, jak ta twarz w lustrze-śmieje S)ę. też szalona. Niczego nie potrafi zniszczyć, nikogo nie odważy się zabić. Nawet roztrzaskać bistra.

^~ Na nic mnie nie stać — mówi głośno, wyraźnie do twarzy w lustrze. — Ani mnie, ani Ciebie. Nawet dla nienawiści szukamy usprawie-d|iwiających pretekstów.

— Nie stać — powtarza. Wkłada nocn4R|^| lę, szlafrok. Zbiera porozrzućane sztuki bie!rziiV wrzuca do wanny, puszcza wodę. Wsypuje próS szek. Zbyt drogi, myśli. Idzie do kuchni. Wypeł^' niona dymem: zupa, o której zapomniała, wygo\* towała się. Jarzyny i mięso zwęglone. Otwiera' okno. Garnek wyrzuca do śmieci. Ze służbówki przynosi starą gazetę, nakrywa spalony garnek.; maskuje ślady, Paweł nie powinien się dowiedzieć. Nie wiedząc o tym, że płacze, zawija rękawy szlafroka, rozkłada na stole koc do prasowania, włącza żelazko. Z szafy przynosi stos bielizny do prasowania.

Wreszcie, myśli płacząc, poprasuję całą zaległą, składaną już od tygodnia bieliznę. Najwyższy czas!